



Alistair MacLean
MRO CZNY KRZY ŻOWIEC

Przełożył Robert Ginalski

Spis treści

| | |
|---|-------------------|
| <u>Wtorek, 3.00 - 5.30.....</u> | <u>10</u> |
| <u>Wtorek, 8.30 - 19.00.....</u> | <u>18</u> |
| <u>Wtorek, 19.00 - środa, 9.00.....</u> | <u>30</u> |
| <u>Środa, 15.00 - 22.00.....</u> | <u>39</u> |
| <u>Środa, 22.00 - czwartek, 5.00.....</u> | <u>51</u> |
| <u>Czwartek, 12.00 - piątek, 1.30.....</u> | <u>58</u> |
| <u>Piątek, 1.30 - 3.30.....</u> | <u>69</u> |
| <u>Piątek, 3.30 - 6.00.....</u> | <u>81</u> |
| <u>Piątek, 6.00 - 8.00.....</u> | <u>90</u> |
| <u>Piątek, 10.00 - 13.00.....</u> | <u>100</u> |
| <u>Piątek, 13.00 - 18.00.....</u> | <u>113</u> |
| <u>Sobota, 3.00 - 8.00.....</u> | <u>125</u> |
| <u>Epilog.....</u> | <u>133</u> |

Prolog

Mały zakurzony człowieczek w małym zakurzonym pokoju. Zawsze tak o nim myślałem - ot, mały zakurzony człowieczek w małym zakurzonym pokoju.

Sprzątaczką nigdy nie przekroczyła progu tego gabinetu, którego okna, wychodzące na Birdcage Walk, stałe zasłaniały grube, ciemne od sadzy kotary. Nikt zresztą nie miał prawa wstępu do królestwa pułkownika Raine'a, chyba że on sam tam akurat urzędował. Jego zaś trudno byłoby posądzić o alergię na kurz, który zalegał dosłownie wszędzie. Na dębowej podłodze wokół wytartego dywanu. Na półkach, szafkach, kaloryferach, poręczach foteli i telefonach. Pokrywał smugami blat porysowanego biurka, upstrzony ciemnymi łatami w miejscach, gdzie pułkownik niedawno przesuwiał jakieś gazety czy książki. Pyłki wirowały uporczywie w promieniu słońca, wpadającym przez szparę między kotarami na środku okna. A choć światło potrafi płatać najróżniejsze figle, to nie potrzeba było szczególnie bujnej wyobraźni, by dostrzec patynę kurzu na rzadkich, zaczesanych do tyłu szpakowatych włosach i w głębokich bruzdach żłobiących szare, zapadnięte policzki i wysokie, cofnięte czoło pułkownika.

Wystarczyło jednak spojrzeć mu w oczy ukryte w grubych fałdach powiek, a zapominało się o kurzu. W oczy rzucające twarde błyski niczym kamienie szlachetne, oczy o barwie czystej akwamaryny wypłukanej z grenlandzkiego lodowca, tyle że ciut chłodniejsze.

Pułkownik wstał na powitanie, gdy ruszyłem ku niemu od drzwi. Wyciągnął do mnie zimną, kościstą dłoń takim ruchem, jak gdyby podawał mi łopatę, wskazał krzesło naprzeciwko jasnej fornirowanej płyty wstawionej z przodu biurka, a zupełnie nie pasującej do mahoniowej reszty, i usiadł. Siedział sztywno wyprostowany, z rękami lekko splecionymi przed sobą na zakurzonym blacie.

- Witaj, Bentall. - Jego głos doskonale pasował do oczu, pobrzmiwał w nim trzask pękającego lodu. - Szybko dotarłeś. Podróż minęła przyjemnie?

- Niestety nie, pułkowniku. Któremuś z naszych rodzimych potentatów przemysłu włókienniczego nie spodobało się, że wysadzili go z samolotu w Ankarze, żebym mógł zająć jego miejsce. Chce na mnie nasłać swoich adwokatów, a przy okazji załatwi, żeby BEA przestała obsługiwać trasy europejskie. Inni pasażerowie zbojkotowali mnie zupełnie, stewardesa traktowała mnie jak powietrze, a do tego rzucało jak cholera. Ale poza tym było miło i przyjemnie.

- Zdarza się - stwierdził sucho. Przy pewnej dozie dobrej woli ledwie dostrzegalny tik w lewym kącie jego ust można by wziąć za uśmiech, choć nie było to takie pewne, dwadzieścia pięć lat wściubiania nosa w cudze sprawy na Dalekim Wschodzie najwyraźniej doprowadziło do zaniku mięśni policzkowych Raine'a. - Spałeś chociaż?

Potrząsnąłem głową.

- Nie zmrużyłem oka.

- Szkoda. - Starannie ukrył swe zatroskanie i odchrząknął cicho. - No cóż, Bentall, niestety znów czeka cię podróż. Jeszcze dziś. Odlatujesz z Londynu o jedenastej w nocy.

Przez chwilę milczałem, dając mu do zrozumienia, że z trudem hamuję słowa, które mi się cisną na usta. W końcu z rezygnacją wzruszyłem ramionami.

- Znów Iran?

- Gdybym chciał cię przerzucić z Turcji do Iranu, to nie ściągałbym cię aż do Londynu, żeby ci o tym powiedzieć, już choćby ze strachu przed gniewem rodzimego przemysłu włókienniczego. - W kącie jego ust zaigrał następny cień uśmiechu. - Tym razem znacznie dalej, Bentall. Do Sydney. Zdaje się, że Australia to dla ciebie nowe terytorium?

- Do Australii? - Zerwałem się na równe nogi, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. - Do Australii?! Nie czytał pan mojego telegramu z zeszłego tygodnia, czy co? Osiem miesięcy pracy, wszystko zapięte prawie na ostatni guzik, brakowało mi tygodnia, góra dwóch...

- Siadaj! - przerwał tonem równie ciepłym jak jego oczy. Miałem wrażenie, że wylano mi na głowę kubek lodowatej wody. Raine spojrział na mnie przeciągle i rozgrzał głos do temperatury niewiele tylko niższej od tej, w której topnieje lód. - Doceniam twoją troskę, ale martwisz się niepotrzebnie. Miejmy nadzieję, że we własnym, dobrze pojętym interesie nie lekceważysz naszych, hm... przeciwników tak, jak najwyraźniej lekceważysz swoich pracodawców. Spisałeś się znakomicie, Bentall, i jestem pewien, że w każdym innym departamencie rządowym, który bardziej dba o takie drobiazgi, czekałby cię już co najmniej Order Imperium Brytyjskiego albo jakaś inna błyskotka. Ale w tej sprawie twój udział się skończył. Nie życzę sobie, żeby któryś z moich wywiadowców występował dodatkowo w roli kata.

- Przepraszam, pułkowniku - mruknąłem bez przekonania. - Nie znam całości...

- Ostatni guzik jest już prawie zapięty, że użyję twojej przenośni - ciągnął Raine, jak gdyby mnie nie usłyszał. - Przeciek, niemal katastrofalny przeciek informacji z Instytutu Badawczego i Zakładów Paliwowych Hepwortha zostanie wkrótce zatamowany. Raz na zawsze. - Obrzucił wzrokiem zegar elektryczny na ścianie. - Za jakieś cztery godziny. Ale już teraz możemy uznać, że sprawa ta należy do przeszłości. Ci z rządu będą dziś spać spokojnie.

Przerwał, rozplótł dłonie, oparł łokcie o blat biurka i spojrział na mnie ponad złączonymi czubkami palców obu rąk.

- A raczej powinni spać spokojnie - sprostował z cichym, suchym westchnieniem. - Ale w dzisiejszej dobie obłędu na punkcie bezpieczeństwa źródła ministerskiej bezsenności są niewyczerpane. Dlatego właśnie cię tu ściągnąłem. Przyznaję, że mógłbym skorzystać z innych agentów, choć żaden z nich nie ma twoich specyficznych - a w tym wypadku absolutnie niezbędnych - kwalifikacji. Gnębi mnie jednak niejasne, niesprecyzowane przecucie, że ta historia nie jest całkiem pozbawiona związku z twoim poprzednim zadaniem.

Sięgnął po plastikową składaną teczkę i pchnął ją w moją stronę.

- Rzuć na to okiem.

W pierwszej chwili chciałem odpędzić od siebie nadciągającą chmurę kurzu, lecz zdusiłem w sobie ten odruch, wziąłem teczkę i wyjąłem kilka spiętych kartek.

Były to wycinki prasowe z „Daily Telegraph” z ofertami pracy za granicą. U góry każdej kartki widniała grubo zakreślona czerwonym długopisem data, a niżej tak samo zaznaczone ogłoszenie. Najstarszy wycinek pochodził sprzed niecałych ośmiu miesięcy i w przeciwieństwie do pozostałych zawierał nie jedno, lecz trzy wyróżnione ogłoszenia.

Oferty zamieściły australijskie i nowozelandzkie firmy prowadzące działalność w zakresie techniki, inżynierii, chemii i prac badawczych. Jak można się było spodziewać, poszukiwano specjalistów z wysoko rozwiniętych gałęzi nowoczesnej technologii. Widywałem już podobne ogłoszenia, napływające z całego świata. Eksperti w dziedzinie aerodynamiki, miniaturyzacji, hipersoniki, elektroniki, fizyki, od radarów i najnowszych technologii paliw byli ostatnio w cenie. Jednak zakreślone ogłoszenia wyróżniały się nie tylko tym, że pochodziły z tych samych stron. Istotne znaczenie miał fakt, że proponowano posady na najwyższych szczeblach kierowniczych i dyrektorskich, z czym wiązały się astronomiczne w moim pojęciu wynagrodzenia. Gwizdnąłem cicho i zerknąłem z ukosa na pułkownika, lecz jego lodowate zielone oczy obserwowały jakiś punkt na suficie, oddalony o tysiące mil. Wobec tego raz jeszcze przejrzałem wycinki i schowałem je do teczki, którą pchnąłem z powrotem do Raine'a. W porównaniu z nim, dokonałem poważnego wyłomu w pokładzie kurzu zalegającego blat biurka.

- Osiem ogłoszeń - odezwał się Raine swym cichym, suchym głosem. - Każde ma ponad sto słów, ale w razie potrzeby potrafiłbyś je odtworzyć z pamięci słowo w słowo. Mam rację, Bentall?

- Chyba tak, pułkowniku.

- Nadzwyczaj rzadki dar - mruknął. - Zazdroszczę ci. No, słucham.

- Ta ogólnie sformułowana oferta dla specjalisty od napędu i paliw raketowych mówi o pracy przy silnikach umożliwiających dziesięciokrotne przekroczenie prędkości dźwięku. Takie silniki nie istnieją. W grę wchodzi tylko raketowe, w których rozwiązano już problemy metalurgiczne. Szukają wybitnego eksperta z zakresu paliw, a z wyjątkiem garstki zatrudnionych w wielkich zakładach lotniczych i na kilku uniwersytetach, wszyscy warci zachodu specjaliści w tej dziedzinie pracują w Zakładach Badawczych Hepwortha.

- Właśnie dlatego ta sprawa może się wiązać z twoją ostatnią robotą - przerwał mi, kiwając głową. - Chociaż to tylko domysł, który może się okazać zupełnie bezpodstawny. Prawdopodobnie to jeszcze jeden ślepy trop. - Machinalnie wodził palcem wskazującym po grubej warstwie kurzu. - Co jeszcze?

- Wszystkie oferty pochodzą z tych samych stron - podjąłem. - Z Nowej Zelandii albo ze wschodniego wybrzeża Australii. Wszystkie są pilne. Wszystkie mówią o bezpłatnym i umeblowanym mieszkaniu, o domu dla kandydata, który zostanie zatwierdzony, i o poborach minimum trzykrotnie wyższych niż te, na jakie najlepsi z nich mogliby liczyć u siebie w kraju. Najwyraźniej chcą przyciągnąć naszych najwybitniejszych fachowców. We wszystkich ofertach podkreśla się, że kandydaci powinni być żonaci, ale że nie ma możliwości zakwaterowania dzieci.

- Nie sądzisz, że to trochę dziwne? - wtrącił Raine od niechcienia.

- Nie, pułkowniku. Zagraniczne firmy często poszukują żonatych pracowników. W obcym kraju ludzie nie zadomawiają się z dnia na dzień. Tym, którzy mają na głowie rodziny, trudniej jest spakować manatki, wsiąść w pierwszy lepszy pociąg i wrócić do ojczyzny. Te firmy płacą tylko za przelot w jedną stronę. Kilkutygodniowe czy kilkumiesięczne oszczędności nie wystarczą na pokrycie kosztów powrotu całej rodziny.

- Ale tam nie ma mowy o rodzinach. - Pułkownik nie ustępował. - Tylko o żonach.

- Może obawiają się, że tupot małych nóżek zakłóci pracę wysoko płatnych mózgow. - Wzruszyłem ramionami. - Albo mają ograniczone możliwości mieszkaniowe. Albo dzieci będzie można sprowadzić później. Podają tylko tyle, że „możliwość zakwaterowania dzieci wykluczona”.

- I nie widzisz w tym nic groźnego?

- Na pierwszy rzut oka, nie. Z całym szacunkiem, pułkowniku, wątpię, czy i pan by coś w tym dostrzegł. W ostatnich latach nasi wybitni specjaliści masowo wyjeżdżają za ocean. Jeżeli jednak zdradzi mi pan to, co tak skrętnie pan przede mną ukrywa, być może zmienię zdanie.

W lewym kącie jego ust znów mignął przelotny tik - stary dawał upust swoim uczuciom na całego. Wyciągnął małą ciemną fajkę i zaczął czyścić cybuch scyzorykiem. Nie podnosząc wzroku, mruknął:

- Nie wspomniałem o jeszcze jednym zbiegu okoliczności. Wszyscy naukowcy, którzy zgłosili się tam do pracy, zniknęli... razem z żonami. Przepadli bez śladu.

Przy ostatnich słowach obrzucił mnie szybkim spojrzeniem swych arktycznych oczu, ciekaw mojej reakcji. Nie przepadam za ludźmi, którzy próbują bawić się ze mną w kotka i myszkę, więc popatrzyłem na niego z równie kamienną miną i spytałem zwięźle:

- U nas, po drodze, czy po przyjeździe?

- Ty chyba naprawdę nadajesz się do tej roboty, Bentall. - Stwierdzenie Raine'a niewiele miało wspólnego z tematem. - Wszyscy wyjechali z kraju. Czterej zniknęli po drodze do Australii. Władze imigracyjne Australii i Nowej Zelandii zawiadomiły nas, że jeden

wylądował w Wellington, a trzech inni w Sydney. Nic więcej na ich temat nie wiedzą. Przylecieli, zniknęli i kropka.

- Nie domyśla się pan, dlaczego?

- Nie. W grę wchodzi kilka możliwości. Nie mam zwyczaju tracić czasu na domysły, Bentall. Wiemy jedynie, że specjalistyczną wiedzę tych ludzi, mimo że pracowali w przemyśle, łatwo można wykorzystać do celów wojskowych... i właśnie to tak niepokoi nasz rząd.

- Czy przeprowadzono staranne poszukiwania, pułkownika?

- A jak myślisz? Zaczynam wierzyć, że policja na, hm... antypodach działa równie skutecznie, jak gdzie indziej. Ale to nie jest zadanie dla policji, nie sądzisz?

Rozsiadł się w fotelu i wydmuchując ciemne kłęby cuchnącego dymu w i tak już gęstą atmosferę pokoju, spoglądał na mnie wyczekująco. Byłem zmęczony, zirytowany i nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała nasza rozmowa. Raine oczekiwał po mnie przebłysku intelektu. Doszedłem do wniosku, że lepiej go nie rozczarowywać.

- W jakim charakterze mam jechać? Jako fizyk nuklearny?

Stary poklepał poręcz fotela.

- Wygrzeję ten stółek dla ciebie, mój drogi. Kiedyś może na nim zasiądziesz. - Górze lodowej jowialność nie przychodzi łatwo, ale jemu prawie się to udało. - Żadnych barw ochronnych, Bentall. Wyjeżdżasz dokładnie w tym charakterze, w jakim pracowałeś u Hepwortha wtedy, gdy odkryliśmy twoje unikalne talenty w innej, nieco mniej akademickiej dziedzinie. To znaczy jako specjalista od paliw. - Z kolejnej teczki wyciągnął następny wycinek prasowy i rzucił mi go nad biurkiem. - Przeczytaj to sobie. Dziewiąte ogłoszenie. Ukazało się dwa tygodnie temu, w tej samej gazecie co pozostałe.

Zostawiłem kartkę tam, gdzie upadła. Nawet na nią nie spojrzałem.

- Druga oferta pracy dla specjalisty od paliw - rzekłem. - Kto się zgłosił na pierwszą? Powinienem go znać.

- Czy to ważne, Bentall? - Głos Raine'a wyraźnie przygaś.

- Jeszcze jak - odparłem równie ponurym tonem. - Być może oni - kimkolwiek są - trafili na niewypał. Na faceta, który za mało potrafi. Ale jeżeli był to ktoś z najlepszych... wniosek nasuwa się sam, pułkownik. Zdarzyło się coś takiego, co zmusza ich do szukania następcy.

- To był doktor Charles Fairfield.

- Fairfield? Mój dawny szef? Wicedyrektor u Hepwortha?

- Któżby inny?

Nie od razu odpowiedziałem. Dobrze znałem Fairfielda, błyskotliwego naukowca i uzdolnionego archeologa-amatora. Cała ta sprawa coraz mniej mi się podobała, o czym pułkownik Raine łatwo mógłby się przekonać, gdyby zobaczył moją minę. On jednak z drobiazgową skrupulatnością lustrował sufit, jak gdyby spodziewał się, że w każdej chwili może mu zlecieć na głowę.

- Więc chce pan, żebym... - zacząłem, lecz przerwał mi bez pardonu:

- Otóż to, mój chłopcze. - W jego głosie brzmiało teraz zmęczenie. Widząc, jakie brzemię musi nosić, trudno było nie wykrzesać z siebie choćby krzty współczucia dla starego. - Chcę... ale nic ci nie każę. - Nadal nie odrywał wzroku od sufitu.

Przysunąłem sobie wycinek z gazety i spojrzałem na zakreślone czerwonym długopisem ogłoszenie. Było niemal bliźniaczo podobne do jednego z tych, które niedawno czytałem.

- Nasi przyjaciele chcą, żeby zgłaszać się od razu telegraficznie - stwierdziłem powoli. - Wygląda na to, że czas ich nagli. Wysłał im pan telegram?

- Podpisany twoim nazwiskiem i z podaniem twojego adresu domowego. Wierzę, że mi wybaczysz - mruknął sucho.

- Allison i Holden, Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych z siedzibą w Sydney - ciągnąłem. - Oczywiście to znana i poważana firma?

- Oczywiście - przytaknął Raine. - Sprawdziliśmy. Zarówno na ogłoszeniu, jak i na liście potwierdzającym nominację, który nadszedł cztery dni temu, figuruje nazwisko ich kierownika działu kadr. Papier firmowy jest autentyczny, ale podpis już nie.

- Wie pan coś więcej, pułkowniku?

- Żałuję, ale nie. Absolutnie nic. Bóg mi świadkiem, że chciałbym ci pomóc...

Zapadła cisza. W końcu oddałem mu kartkę i rzekłem:

- Czy pan o czymś nie zapomniał, pułkowniku? W tym ogłoszeniu, tak samo jak w pozostałych, mowa jest o żonatym mężczyźnie.

- Ja nigdy nie zapominam o rzeczach oczywistych - odparł bezbarwnym tonem.

Wlepiłem w niego wzrok.

- Pan nigdy... - przerwałem na chwilę. - Rozumiem, że dał pan już na zapowiedzi, a panna młoda czeka przed kościołem?

- Zrobiłem dużo więcej. - Znów przelotny skurcz policzka. Raine sięgnął do szuflady i rzucił mi pokazną, pękatą kopertę. - Pilnuj tego jak oka w głowie, Bentall. To twój akt ślubu. Ożeniłeś się w Caxton Hall, dziesięć tygodni temu. Jeśli chcesz, możesz to sprawdzić, ale wszystko powinno być w porządku.

- Nie wątpię - mruknąłem odruchowo. - Do głowy by mi nie przyszło, że mógłbym uczestniczyć w czymś sprzecznym z prawem.

- A teraz chciałbyś pewnie poznać swoją żonę - rzucił dziarsko pułkownik. Sięgnął po telefon, zdjął słuchawkę z widełek i polecił: - Poproście tu panią Bentall.

Zaczął wygrzebywać scyzorykiem popiół z fajki, w skupieniu wpatrując się w cybuch. Z braku lepszego zajęcia rozglądałem się leniwie, aż wreszcie zatrzymałem wzrok na jasnej płycie, przybitej do stojącego przede mną mebla. Wiedziałem, skąd się tam wzięła. Niecałe dziewięć miesięcy temu, tuż po katastrofie lotniczej, w której zginął poprzednik Raine'a, kto inny siedział na moim miejscu -jeden z ludzi pułkownika. Przeszedł on na stronę wroga i zaczął działać jako podwójny agent, o czym stary nie miał bladego pojęcia. Wysłany z pierwszą - i zapewne ostatnią - misją miał za zadanie ni mniej, ni więcej tylko zabić pułkownika Raine'a! Tak proste, że aż niewiarygodne w swej zuchwałości. Gdyby mu się powiodło, strata byłaby niepowetowana. Jako szef

bezpieki Raine - nigdy nie poznałem jego prawdziwego nazwiska - zabrałby do grobu tysiące sobie tylko znanych tajemnic. Stary nic nie podejrzewał, dopóki tamten nie wyciągnął broni. Agent natomiast nie wiedział - jak zresztą nikt w owym czasie - że pułkownik chowa pod fotelem lugera, odbezpieczonego i zaopatrzonego w tłumik. Moim skromnym zdaniem stary mógł się jednak postarać o coś lepszego na miejsce tamtej przestrelonej deski.

Rzecz jasna, Raine nie miał wtedy wyboru. A jednak nawet gdyby mógł rozbroić albo tylko zranić zdrajcę, i tak pewnie by go zabił. Był najbardziej bezwzględny człowiekiem, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem. Nie okrutny, po prostu bezwzględny. Cel uświęca środki, więc jeśli był dostatecznie ważny, nie istniały czyny, do których Raine by się nie posunął. Dlatego właśnie siedział na tym stołku. Kiedy jednak bezwzględność prowadziła do zaniku człowieczeństwa, nie wahałem się protestować.

- Czy pan poważnie myśli o wysłaniu ze mną tej kobiety, pułkowniku? - spytałem.

- Ja o tym nie myślę, Bentall. - Zajrzał do cybucha fajki z uwagą i skupieniem archeologa badającego krater wygasłego wulkanu. - Decyzja już zapadła.

Cisnienie podskoczyło mi o kilka kresiek.

- Zdaje pan sobie chyba sprawę, że żona doktora Fairfielda najprawdopodobniej podzieliła los męża?

Odłożył fajkę i scyzoryk na biurko i posłał mi kpiarskie, w swoim przekonaniu, spojrzenie. Zważywszy na te jego oczy, odniosłem wrażenie, że cisnął we mnie dwoma sztyletami.

- Czyżbyś podważał słuszność moich decyzji, Bentall?

- Podważam słuszność wysyłania kobiety tam, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa zginie. – Nawet nie próbowałem ukrywać gniewu w głosie. - I podważam celowość wysyłania jej akurat ze mną. Wie pan przecież, pułkowniku, że lubię działać w pojedynkę. Mógłbym pojechać sam i wyjaśnić, że żona zachorowała. Nie chcę mieć żadnej baby na głowie!

- Towarzystwo tej baby większość mężczyzn poczytałaby sobie za zaszczyt - odparł sucho.
- Radzę ci, przestań się o nią martwić. Jest sprytna, bardzo zdolna i ma w tym fachu wielkie doświadczenie... dużo większe niż ty, Bentall. Całkiem możliwe, że to nie ty będziesz się nią opiekował, lecz ona tobą. Potrafi dbać o siebie jak mało kto. Nigdy się nie rozstaje z bronią. Myślę, że...

Urwał w pół zdania, gdyż otworzyły się boczne drzwi i weszła młoda kobieta. Mówię „weszła”, bo tak zazwyczaj poruszają się ludzie. Ale nie ona... ta dziewczyna płynęła z gracją i czymś takim, co przywodziło na myśl tancerki z Bali. Jasnoszara wełniana sukienka w prążki ciasno opinała jej zbliżoną do klepsydry figurę, jak gdyby świadoma zaszczytu, jaki ją spotkał. Stroju dopełniał szary pasek oraz buty i torebka ze skóry jaszczurki w tym samym co pasek odcieniu. Właśnie tam, w torebce, musiała nosić broń, bo pod tą sukienką nie mogłaby ukryć nawet kapiszona. Miała proste, jasne, błyszczące włosy z przedziałkiem na lewym boku, zaczesane niemal całkiem do tyłu, a do tego ciemne brwi i rzęsy, orzechowe oczy i jasną, teraz lekko opaloną cerę.

Wiedziałem, skąd ta opalenizna, bo znałem dziewczynę. Przez ostatnie pół roku oboje pracowaliśmy nad tą samą sprawą, tyle że ona cały czas siedziała w Grecji i spotkałem ją wtedy tylko dwukrotnie, w Atenach. W sumie było to nasze czwarte spotkanie. Znałem ją, ale wiedziałem o niej zaledwie tyle, że nazywa się Marie Hopeman, urodziła się w Belgii, ale nie mieszkała tam, gdyż ojciec – technik zatrudniony w tamtejszych zakładach lotniczych Fairey - wywiózł swą żonę i córkę z kontynentu tuż przed kapitulacją Francji. Jej rodzice zginęli w katastrofie *Lancastrii*. Jako sierota wychowująca się w obcym kraju, szybko musiała nauczyć się dbać o siebie, a w każdym razie tak mi się wydawało.

Odsunąłem krzesło i wstałem. Pułkownik niezobowiązująco machnął ręką na powitanie i dokonał prezentacji:

- Pan i, hm... pani Bentall. Chyba się jeszcze nie poznaliście?

- Znamy się, pułkowniku - odparłem, jakby sam o tym nie wiedział.

Marie Hopeman spokojnie uścisnęła mi dłoń i równie spokojnie spojrzała mi prosto w oczy. Jeśli nawet tak bliska współpraca ze mną stanowiła spełnienie jej życiowych ambicji, to starannie ukrywała entuzjazm. Już w Atenach zwróciłem uwagę na tę pełną dystansu niezależność, która tak mnie u niej irytowała. Mimo to powiedziałem, co miałem do powiedzenia.

- Miło znów panią widzieć, panno Hopeman. A raczej byłoby mi miło, gdyby nie czas i miejsce. Pani chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, na co się naraża.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczyma, uniosła ciemne brwi, po czym odwróciła się rozbawiona, wyginając usta w uśmiechu.

- Czyżby pan Bentall w rycerskości i szlachetności swojej próbował się za mną ująć, pułkowniku? - zaszczebiotała.

- A tak, tak, niestety - przyznał Raine. - Ale skończcie z tym panem i panią. Ostatecznie jesteście młodym małżeństwem. - Przeciągnął drucik do czyszczenia fajki przez ustnik i pokiwał głową z zadowoleniem, widząc, że wychodzi z cybucha czarny jak szczotka kominiarza. – John i Marie Bentall - podjął marzycielskim tonem. – Moim zdaniem to bardzo dobre połączenie.

- Ty też tak uważasz? - spytała dziewczyna z zaciekawieniem. Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła wesoło. - Doceniam twoją troskę. To bardzo miło z twojej strony... - zawiesiła głos, po czym dokończyła: - John.

Nie przyłożyłem jej, bo wyznaję pogląd, że takie metody wyginęły bezpowrotnie wraz z jaskiniowcami, ale zrozumiałem, co czuli nasi protoplasci, gdy ich świerzbiły ręce. Zamiast odpowiedzi posłałem jej spokojny i – miałem nadzieję - enigmatyczny uśmiech, po czym odwróciłem się do Raine'a.

- Muszę kupić jakieś ubrania, pułkowniku - powiedziałem. - Tam jest teraz pełnia lata.

- W swoim mieszkaniu znajdziesz dwie spakowane walizki ze wszystkim, co może się wam przydać, Bentall.

- A bilety?

- Masz. - Pchnął ku mnie kopertę. - Przesłano ci je cztery dni temu za pośrednictwem Wagon/Lits Cook. Opłacone czekiem, wystawionym przez niejakiego Tobiasa Smitha. Nikt nigdy o nim nie słyszał, ale daj Boże każdemu mieć takie konto jak on. Nie polecicie w kierunku wschodnim, jak mógłbyś się spodziewać, lecz na zachód, przez Nowy Jork, San Francisco, Hawaje i Fidzi. Musicie tańczyć tak, jak wam zagrają.

- Paszporty?

- Oba znajdziesz u siebie w walizkach. - Z boku jego twarzy znów mignął tik. - Twój, dla odmiany, wystawiony jest na prawdziwe nazwisko. Z konieczności. Oni cię sprawdzą, twoje studia, karierę zawodową i tak dalej. Załatwiliśmy, żeby żaden ciekawski nie dowiedział się, że już od roku nie pracujesz u Hepwortha. W walizce znajdziesz też tysiąc dolarów w czekach podróży American Express.

- Mam nadzieję, że zdążę je wydać - mruknąłem. - Kto z nami leci?

Zapadła napięta cisza i znalazłem się pod obstrzałem dwóch par oczu - wąskich, zimnych jak lód i zielonych oraz wielkich, ciepłych i orzechowych. Marie Hopeman odezwała się pierwsza.

- Czy mógłbyś mi wyjaśnić...

- A mógłbym, mógłbym - wpadłem jej w słowo. - I pomyśleć, że podobno jesteś... zresztą, nieważne. Szesnaście osób odleciało stąd do Australii albo Nowej Zelandii. Osiem nie dotarło do celu. Pięćdziesiąt procent. To znaczy, że mamy tylko pięćdziesiąt procent szans na wylądowanie w Sydney. Dlatego w samolocie będzie z nami anioł stróż, żeby pułkownik Raine mógł nam postawić

nagrobek w miejscu, gdzie złożą nasze szczątki. Albo, co bardziej prawdopodobne, rzucić nam wieniec w fale Pacyfiku.

- Przewidziałem możliwość jakichś kłopotów po drodze - przyznał pułkownik oględnie. - Będzie wam towarzyszył opiekun... a raczej różni opiekunowie. Lepiej, żebyście nie wiedzieli, kim są.

Wstał i wyszedł zza biurka. Odprawa się skończyła.

- Jest mi naprawdę przykro - oświadczył na koniec. - Wcale mi się to wszystko nie podoba, ale ja też poruszam się po omacku i nie mam wyboru. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze. - Szybko wymienił z nami uścisk rąk, potrząsnął głową i mruknął: - Przykro mi. Do widzenia.

Wrócił na drugą stronę biurka.

Otworzyłem drzwi, przepuszczając przodem Marie Hopeman, i obejrzałem się, by sprawdzić, jak bardzo mu przykro. Ale on już się nami nie przejmował, pochłaniała go wyłącznie fajka. Gdy cicho zamykałem drzwi, siedział za biurkiem - mały zakurzony człowieczek w małym zakurzonym pokoju.

Wtorek, 3.00 - 5.30

Ci z pasażerów samolotu, którzy znali trasę Ameryka - Australia jak własną kieszeń, uważali hotel „Grand Pacific” w Viti Levu za najlepszy w zachodniej części Oceanu Spokojnego. Zapoznawszy się z nim pobieżnie, stwierdziłem, że mieli całkowitą rację. Staromodny, lecz imponujący budynek lśnił niczym srebrna moneta prosto z mennicy, a dyskretna i gościnna obsługa przeciętnego angielskiego hotelarza zbiłaby z nóg. Luksusowe sypialnie, wyśmienita kuchnia (wspomnienie złożonej z siedmiu dań kolacji pozostanie mi w pamięci przez długie lata), a do tego roztaczający się z tarasu widok na rozmyte we mgle szczyty gór po drugiej stronie zatoki, w której przeglądał się księżyc... wszystko to należało do innego świata.

A jednak na tym niedoskonałym świecie nie istnieje nic skończenie doskonałego - zamki w drzwiach sypialni hotelu „Grand Pacific” były po prostu do luzu.

Po raz pierwszy zdałem sobie z tego sprawę w środku nocy, gdy obudziło mnie poszturchanie w lewe ramię. Z początku nie zaprzętałem sobie jednak głowy zamkiem w drzwiach, lecz palcem, który mnie szturchał. Był to najtwardszy palec, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem. Miałem wrażenie, że jest ze stali. Pomimo zmęczenia i oślepiającego blasku lampy na suficie przemożem się, by otworzyć oczy, i w końcu skupiłem wzrok na swoim lewym ramieniu. Rzeczywiście, dźgał mnie kawał stali, a konkretnie samopowtarzalny kolt, kaliber 0,38. Na wypadek, gdybym miał jakieś trudności z rozpoznaniem,

co to takiego, właściciel pistoletu przysunął go tak, że prawym okiem mogłem sobie zajrzeć w głąb lufy. Pistolet, bez dwóch zdań. Przeniosłem spojrzenie z broni na owłosiony nadgarstek, biały rękaw i ogorzałą, kamienną twarz pod wyświechtaną czapką marynarską, po czym znów spojrzałem na kolta.

- W porządku, przyjacielu - odezwał się. Miało to wypaść chłodno i obojętnie, lecz zabrzmiało niczym krakanie zachrypniętego kruka w podziemiach zamku Makbeta. - Widzę, że to pistolet. Wyczyszczony, nasmarowany i w ogóle. Ale weź go lepiej schowaj. To niebezpieczna zabawka.

- Zgrywus, co? - odparł tamten zimno. - Musi pokazać zoneczce, jaki z niego bohater. Ale nie będziesz odgrywał bohatera, prawda, Bentall? Nie będziesz próbował żadnych sztuczek?

O niczym tak nie marzyłem, jak o tym, żeby odebrać mu pistolet i pomacać go nim po głowie. Widok wycelowanej we mnie broni sprawia, że odczuwam nader niemiłą suchość w ustach, a w dodatku zmuszam serce do nadprogramowej pracy, nie mówiąc już o podwyższonym poziomie adrenaliny. Właśnie zacząłem się zastanawiać, co jeszcze miałbym ochotę zrobić ogorzałemu, gdy ruchem głowy wskazał mi coś za moimi plecami.

Odwrociłem się powoli, żeby nikogo nie zdenerwować. Pomijając żółte białka oczu, facet po drugiej stronie mojego łóżka stanowił poemat w czerni. Czarny garnitur, czarny marynarski golf, czarny kapelusz i jedna z najciemniejszych twarzy, jakie mi się zdarzyło oglądać... wąska, napięta, z nosem jak kartofel - twarz czystej krwi Hindusa. Był chudy i niski, ale wcale nie musiał być duży, zważywszy, że trzymał strzelbę kalibru dwanaście, skróconą do jednej trzeciej pierwotnej długości dzięki odpiłowaniu obu luf zaraz za zamkiem. Miałem wrażenie, że zaglądam do dwóch nie oświetlonych tuneli kolejowych. Powoli odwróciłem się z powrotem do ogorzałego.

- Rozumiem. Mogę usiąść?

Skinał głową i cofnął się o kilka stóp. Spuściłem nogi na podłogę i spojrzałem na drugą stronę pokoju, gdzie trzeci mężczyzna, także ciemny, pilnował Marie Hopeman. Siedziała na krześle przy łóżku, w biało-niebieskiej jedwabnej sukience bez rękawów. Cztery jaskrawe

plamy ponad jej łokciem świadczyły dobitnie, że niedawno ktoś szarpnął ją bezceremonialnie za ramię.

Jeśli nie liczyć butów, marynarki i krawata, ja również byłem z grubsza ubrany, mimo iż już kilka godzin temu dowieziono nas wyboistą drogą z lotniska po drugiej stronie wyspy do hotelu.

Nieoczekiwany napływ pasażerów, którzy zostali na lodzie, wykluczał ulokowanie państwa Bentall w osobnych sypialniach hotelu „Grand Pacific”. Ale fakt, że świeżo upieczeni małżonkowie spali ubrani po szyję, nie miał nic wspólnego z fałszywą czy prawdziwą skromnością. Była to kwestia życia lub śmierci. Najazd niespodziewanych gości wynikał z nieprzewidzianego opóźnienia na lotnisku, spowodowanego czymś, co dało mi wiele do myślenia. Zaraz po zatankowaniu paliwa w naszym DC7 wybuchł niegroźny pożar. Ugaszono go wprawdzie natychmiast, lecz kapitan samolotu całkiem słusznie odmówił startu, dopóki z Hawajów nie przyślą mechaników, którzy ocenią, na ile poważne jest uszkodzenie maszyny. Mnie natomiast dużo bardziej interesowała przyczyna pożaru.

Zazwyczaj chętnie wierzę w zbiegi okoliczności, ale każda wiara ma swoje granice. Czterej naukowcy zniknęli wraz z żonami po drodze do Australii. Prawdopodobieństwo, że i piąta para - czyli my - także zaginie, wynosiło jeden do jednego, a ostatnią po temu okazję stwarzał postój na uzupełnienie paliwa na lotnisku w Suva, na Fidżi. Dlatego też zamknęliśmy drzwi na klucz i nie rozbierając się, czuwaliśmy na zmianę. Najpierw ja siedziałem w ciemnościach do trzeciej w nocy, po czym obudziłem Marie Hopeman i położyłem się w swoim łóżku. Zasnąłem natychmiast, a ona zrobiła chyba to samo, bo gdy spojrzałem teraz na zegarek, była zaledwie trzecia dwadzieścia. Widocznie nie rozbudziłem jej całkowicie, a może nie odzyskała jeszcze sił po ubiegłej nie przespanej nocy, kiedy to podczas lotu z San Francisco na Hawaje rzucało tak koszmarnie, że nawet stewardesy wymiotowały. Czy to zresztą ważne, jak do tego doszło?

Włożyłem buty i spojrzałem na Marie Hopeman. Nie prezentowała już zwykłej pogody ducha, rezerwy i dystansu - była zmęczona, blada, a pod oczami wystąpiły jej nieznaczne sińce. Źle znosiła podróż samolotem i zeszłej nocy wycierpiała się za wszystkie czasy. Widząc, że na nią patrzę, bąknęła:

- O... obawiam się, że...

- Milcz! - ryknąłem wściekle.

Zamrugnęła, jak gdybym uderzył ją w twarz, zacisnęła usta i wbiła wzrok w bose stopy. Mężczyzna w marynarskiej czapce roześmiał się. Zabrzmiało to jak bulgot wody w rurze kanalizacyjnej.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi, pani Bentall. Niech sobie hałasuje. Świat pełen jest takich Bentallów, co to pod twardą skorupą trzęsą się jak galareta. A jak się boją, muszą się na kimś wyładować. Dla poprawy samopoczucia. Rzecz jasna, wiedzą, na kim mogą się wyżywać bezpiecznie. - Bez szczególnej sympatii obrzucił mnie zamyślonym wzrokiem. - Dobrze mówię, Bentall?

- Czego chcecie? - spytałem sztywno. - Co ma znaczyć ta cała heca? Traciecie tylko czas. W gotówce mam raptem parę dolarów, może ze czterdzieści. A czeki podróżne są dla was bez wartości. Biżuteria mojej żony...

- Dlaczego jesteście ubrani? - przerwał mi znienacka.

Zmarszczyłem brwi i spojrzałem na niego.

- Niezupełnie rozumiem...

Coś twardego i zimnego brutalnie dźgnęło mnie w kark. Ten, kto skrócił tę strzelbę, nie zawracał sobie głowy spiłowaniem krawędzi luf.

- Moja żona i ja korzystamy ze specjalnych praw - odparłem szybko, choć niełatwo jest mówić pompatycznie i bojaźliwie zarazem. - Lecę w sprawie nie cierpiącej zwłoki. Ja... dałem to jasno do zrozumienia władzom lotniska. Dowiedziałem się, że czasami samoloty

ładują tu w nocy w celu uzupełnienia paliwa, więc poprosiłem, żeby zawiadomiono mnie natychmiast, gdyby znalazły się dwa wolne miejsca w jakimkolwiek samolocie odlatującym na zachód. Służba hotelowa także została poinstruowana. W każdej chwili musimy być gotowi do drogi. – Kłamałem w żywe oczy, ale personel z dziennej zmiany już wyszedł, więc nie można było tego szybko sprawdzić. Widziałem jednak, że ogorzały mi uwierzył.

- To ciekawe - mruknął. - Dobrze się składa. Pani Bentall, może pani usiąść przy mężu i potrzymać go za rączkę... widzi mi się, że jest cały rozedrgany. - Poczekał, aż Marie Hopeman przejdzie przez pokój i dopiero gdy ze wzrokiem utkwionym w ścianie usiadła na łóżku dobre dwie stopy ode mnie, rzucił: - Krishna!

- Tak, kapitanie? - To odezwał się Hindus, który pilnował Marie.

- Wyjdź z hotelu. Połącz się z recepcją i powiedz, że dzwoniisz z lotniska z pilną wiadomością dla państwa Bentall. W samolocie KLM, który niedługo wylądjuje w celu zatankowania paliwa, są dwa wolne miejsca, więc natychmiast muszą się zbierać. Zrozumiałeś?

- Tak jest, kapitanie. - Błysk białych zębów i Hindus ruszył do wyjścia.

- Nie tędy, idioto! - Ruchem głowy ogorzały wskazał drzwi prowadzące na taras. - Chcesz, żeby cię wszyscy zobaczyli? Jak już zadzwonisz, weź taksówkę swojego przyjaciela, podjedź przed front, powiedz, że masz stąd zabrać kogoś na lotnisko i wejdź na górę po walizki.

Krishna skinął głową, otworzył drzwi balkonowe i zniknął. Mężczyzna w marynarskiej czapce wyciągnął cygaretkę, wydmuchał do atmosfery chmurę czarnego dymu i uśmiechnął się do nas szeroko.

- Czysta robota, co?

- Co zamierzacie z nami zrobić? - spytałem przez zaciśnięte zęby.

- Zabierzemy was na wycieczkę. - Pokazał w uśmiechu krzywe, pożółkłe od tytoniu zęby. - Nikt się wami nie zainteresuje... wszyscy pomyślą, że odlecieliście do Sydney. Smutne, co? A teraz wstawajcie, ręce na kark i odwróćcie się do mnie tyłem.

Uznałem, że jego propozycja jest wręcz wyśmienita, skoro celowały we mnie trzy lufy, z których najdalsza oddalona była o jakieś osiemnaście cali. Poczekał, aż spojrzałem na dwa nie oświetlone tunele z lotu ptaka, po czym wbił mi kolta w krzyż i zrewidował mnie z wprawą. Nie przegapił nawet pudełka zapalek. W końcu ucisk pistoletu zmalął i usłyszałem, jak ogorzały cofa się o krok.

- W porządku, Bentall, siadaj. To ci niespodzianka... takie mocne w gębie mięczaki jak ty zwykle lubią nosić się ze spluwą. Ale może masz ją w bagażu. Sprawdzimy później. - Przeniósł zamyślane spojrzenie na Marie Hopeman. - A jak tam z panią?

- Nawet się nie waż mnie tknąć, ty... ty brutalu!

- Zerwała się na nogi i stanęła na baczność, z rękami sztywno zwieszonymi po bokach i zaciśniętymi pięściami. Dyszała ciężko. Bez butów miała najwyżej pięć stóp i cztery cale wzrostu, lecz bezbrzeżne oburzenie sprawiało, że wydawała się o wiele wyższa. W każdym razie odstawiła cyrk jak się patrzy. - Za kogo pan mnie bierze? Oczywiście, że nie noszę broni.

Powoli, z namysłem, acz bez arogancji, omiół wzrokiem wszystkie wklęsłości i wypukłości jej zgrabnie wypełnionej sukienki i westchnął.

- Rzeczywiście, byłby to prawdziwy cud, gdyby miała pani przy sobie pistolet - przyznał z żalem. - Choć może znajdziemy coś w pani bagażu. Ale to potem... żadne z was nie otworzy walizek, dopóki nie dotrzemy na miejsce.

- Przerwał i zastanowił się. - Zaraz, zaraz, pani ma chyba torebkę?

- Precz z tymi brudnymi łapami od mojej torebki! - wybuchnęła z wściekłością.

- Wcale nie są brudne - zaprotestował łagodnie, podnosząc jedną dłoń i przyglądając jej się z bliska. - W każdym razie nie bardzo. No więc, pani Bentall?

- Jest w szafce przy łóżku - prychnęła z pogardą.

Przeszedł na drugą stronę pokoju, ani na chwilę nie spuszczał nas z oka. Pomyślałem, że chyba nie ma zaufania do chłopaka z rusznicą. Wyciągnął torebkę z szafki, odpiął zamek i wytrząsnął zawartość na łóżko. Posypał się grad różności: pieniądze, grzebień, chusteczka, kosmetyczka i typowy zestaw do nakładania na twarz farby przed wkroczeniem na wojenną ścieżkę. Pistoletu jednak nie było.

- Nie wygląda pani na taką, co nosi broń – mruknął ogorzały ze skruchą. - Ale dożyć pięćdziesiątki można tylko dzięki temu, że człowiek nie ufa nawet własnej matce i... - Urwał w pół zdania i zważył w dłoni pustą torebkę. - Coś diabło ciężka, nie sądzi pani?

Zajrzał do torebki, pogrzebał w niej, po czym obmacał ją od zewnątrz do dołu. Rozległ się ledwie dosłyszalny trzask, podwójne dno odskoczyło i zaczęło się kiwać na zawiasach. Coś z głośnym odgłosem spadło na dywan. Ogorzały schylił się i podniósł mały, płaski pistolet o krótkiej lufie.

- Pewnie zapalniczka - zakpił swobodnie. - A może rozpylacz do perfum albo pudru? Czego to ludzie nie wymyślą...

- Mój mąż jest naukowcem i wybitną osobistością w swej dziedzinie - odparła Marie Hopeman niewzruszonym tonem. - Dwukrotnie już grożono mu śmiercią. Mam... mam zezwolenie na posiadanie broni.

- A ja wystawię pani na nią pokwitowanie, tak że wszystko będzie cacy i zgodnie z prawem - wpadł jej w słowo żartobliwie, choć wzrok miał zamyślony. - No, starczy tego, szykujcie się do drogi. Rabat - zwrócił się do chłopaka z obrzynem - wyjdź na taras i pilnuj, żeby nikt nie próbował jakichś głupich numerów w drodze od drzwi do taksówki.

Zorganizował to wszystko znakomicie. Nie udałooby mi się nic zwojować, żeby nie wiem jak chciał. Ale nie chciałem, jeszcze nie. Najwyraźniej nie zamierzali nas wykończyć na miejscu, a uciekając niczego bym się nie dowiedział.

Słyszając pukanie do drzwi, ogorzały zniknął za zasłoną w otwartych drzwiach balkonowych. Do pokoju wszedł chłopiec hotelowy i wziął trzy walizki. Za nim pojawił się Krishna, który zamiast kapelusza miał teraz czapkę z daszkiem, a także przerzucony przez ramię deszczowiec. Nie było w tym nic dziwnego - na dworze lało jak z cebra - ale przypuszczałem, że pod płaszczem ściska w garści coś jeszcze. Uprzejmie przepuścił nas przodem, chwycił czwartą walizkę i ruszył za nami. Gdy dotarliśmy do końca długiego korytarza, zobaczyłem, jak facet w marynarskiej czapce wychodzi z naszego pokoju i niespiesznie podąża w tę samą co my stronę. Trzymał się dostatecznie daleko, by nikt go z nami nie skojarzył, a zarazem na tyle blisko, by w razie czego móc szybko wkroczyć do akcji. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że taka robota to dla niego nie pierwszozna.

Nocny recepcjonista - ciemnoskóry chudzielec ze śmiertelnie znudzoną miną właściwą wszystkim przedstawicielom jego zawodu jak świat długi i szeroki - czekał już na nas z rachunkiem. Kiedy płaciłem, mężczyzna w marynarskiej czapce podszedł powoli do recepcji i skinął głową na powitanie.

- Dzień dobry, kapitanie Fleck - odezwał się recepcjonista z szacunkiem. - Znalazł pan swojego przyjaciela?

- A i owszem. - Twarz kapitania Flecka przybrała zdecydowanie jowialny wyraz. - Powiedział mi, że gość, z którym się muszę zobaczyć, jest teraz na lotnisku. Cholernie mi to nie na rękę, telepać się tam o tej porze, ale nie mam wyboru. Proszę mi wezwać samochód.

- Już się robi, proszę szanownego pana. - Najwyraźniej Fleck uchodził w tych stronach za niebyle jaką osobistość. Urzędnik zawahał się. - Bardzo się panu śpieszy, kapitanie?

- Mnie zawsze się śpieszy! - huknął Fleck tubalnie.

- Ależ oczywiście, oczywiście. - Wyraźnie nieswój recepcjonista za wszelką cenę starał się przypodobać. - Chodzi mi o to, że państwo Bentall przypadkiem też tam właśnie jadą i czeka już na nich taksówka...

- Miło mi pana poznać, panie... e... Bentall - oświadczył Fleck serdecznie. Prawą ręką zmiądzzył mi dłoń w uścisku, jak przystało na starego wilka morskiego, a lewą pchnął schowany pistolet tak, że niemal oderwał kieszeń od bezkształtnej, niegdyś białej marynarki. - Jestem Fleck. Czym prędzej muszę dotrzeć na lotnisko, gdyby więc byli państwo tak uprzejmi i pozwolili mi zabrać się ze sobą, moja wdzięczność nie miałaby granic. Oczywiście pokryję część kosztów.

Prawdziwy zawodowiec, szkoda słów. Odstawiono nas do taksówki tak gładko i sprawnie, jak kierownik sali prowadzi gości do najgorszego stolika w zatłoczonej restauracji. Gdybym miał jeszcze resztki złudzeń co do doświadczenia i fachowości Flecka, to rozwiałyby się one z chwilą, gdy usiadłem na tylnym siedzeniu samochodu pomiędzy nim a Rabatem i poczułem, że w pasie ściskają mnie kleszcze: z lewej fuzja, z prawej kolt. Lufy dźgały mnie tuż nad kością biodrową, w tym jedynym miejscu wykluczającym możliwość odtrącenia ich na bok. Siedziałem więc spokojnie, bez słowa, licząc na to, że pomimo fatalnych resorów przedpotopowej taksówki i wyboistej drogi żaden z palców wskazujących nie obsunie się na spuście.

Marie Hopeman jechała z przodu, obok Krishny. Sztwno wyprostowana i nieruchoma, wydawała się nieobecna duchem. Zastanawiałem się, czy zachowała cokolwiek z beztrudnego rozbawienia i spokojnej pewności siebie, jakie prezentowała w gabinecie pułkownika Raine'a zaledwie dwa dni temu. Trudno powiedzieć. Ramię w ramię przelecieliśmy dziesięć tysięcy mil, a ja wciąż jej ani trochę nie poznałem. Już ona się o to postarała.

Zupełnie nie orientowałem się w topografii Suva, lecz nawet gdybym znał to miasto jak własną kieszeń, i tak chyba nie poznałbym, dokąd jedziemy. Dwie osoby z przodu i dwie po bokach skutecznie ograniczały mi pole widzenia, nie mówiąc już o tym, że szyby ociekały strugami deszczu. Spostrzegłem tylko ciemne, nieczynne kino, bank i kanał, w którym tu i ówdzie odbijały się światła, a gdy minęliśmy kilka wąskich, nie oświetlonych uliczek i wyboiste tory kolejowe, dojrzałem jeszcze długi rząd wagoników ze znakiem kolei państwowych. Wszystko to, a zwłaszcza pociąg towarowy, kłóciło się z moją wizją wyspy na południowym Pacyfiku, lecz nie miałem czasu tego roztrząsać. Z szarpnięciem, od którego fuzja kalibru dwanaście nieomal przebiła mnie na wylot, taksówka zatrzymała się i kapitan Fleck wyskoczył z wozu, każąc mi zrobić to samo.

Wysiadłem i stanąłem obok samochodu, rozglądając się i masując obolałe boki. Z powodu egipskich ciemności i zacinającego deszczu w pierwszej chwili dostrzegłem jedynie zamazane kontury jakichś kanciastych konstrukcji, przypominających żurawie portowe. Ale nie potrzebowałem oczu, by zorientować się, gdzie jestem - wystarczył mi do tego sam nos. Uderzyła mnie kompozycja woni dymu, ropy, rdzy, smoły, konopnych cum i mokrego olinowania, nad wszystkim zaś dominował cierpki zapach morza.

Brak snu i oszałamiający rozwój wypadków sprawiły, że moje szare komórki pracowały tej nocy na zwolnionych obrotach, ale było oczywiste, że kapitan Fleck nie po to przywiózł nas do portu w Suva, by zapewnić nam miejsce na pokładzie samolotu linii KLM odlatującego do Australii. Spróbowałem się odezwać, lecz przerwał mi od razu, mrugnął latarką na dwie walizki, które Krishna pieczołowicie ustawił w samym środku głębokiego, oleistego bajora, chwycił dwie pozostałe i delikatnie ponaglił mnie, bym wziął resztę bagażu i ruszył za nim. Jakby na potwierdzenie jego słów, Rabat dźgnął mnie rusznicą w żebra, w czym jednak trudno byłoby się doszukać delikatności. Zaczynałem mieć dość Rabata i jego swoistych metod łagodnej perswazji. Fleck trzymał go chyba na ścisłej diecie złożonej wyłącznie z trzeciorzędnych amerykańskich kryminalów.

Albo kapitan miał lepszy wzrok niż ja, albo na pamięć znał nabrzeże i usytuowanie wszystkich lin, cum, pachołków i walających się dookoła kamieni. Na szczęście nie wybieraliśmy się daleko, toteż potknąłem się i przewróciłem zaledwie kilka razy, zanim Fleck

zwolnić, skręcił na prawo i ruszył w dół po kamiennych schodkach. Nie śpieszył się, a nawet zaryzykował i zapalił latarkę, czego nie miałem mu za złe - schody były oblepione wodorostami i tłuste od smarów, w dodatku od strony wody pozbawione poręczy. Ogarnęła mnie silna pokusa, by spuścić mu walizę na głowę i spokojnie czekać, aż resztę załatwi grawitacja, lecz szybko porzuciłem tę myśl. Z tyłu wciąż pilnowało mnie dwóch uzbrojonych ludzi, a zresztą przyzwyczałem się już co nieco do ciemności i dostrzegłem niewyraźny zarys statku stojącego przy niskim kamiennym moło u stóp schodów. Upadek skończyłby się dla Flecka co najwyżej sporym siniakiem i jeszcze większą ujmą na honorze, a zraniona duma i żądza natychmiastowego odwetu łatwo mogły sprawić, że kapitan zapomni o konieczności zachowania ciszy. Wyglądał mi na takiego, co to nie chybia, wobec czego mocniej ścisnąłem walizki i zszedłem po schodkach z uwagą i ostrożnością dorównującą tej, z jaką Daniel wkraczał do jaskini pełnej śpiących lwów. Różnica sprowadzała się zresztą tylko do tego, że tutaj lwy nie spały. Kilka sekund później Marie Hopeman i obaj Hindusi stali już koło mnie na moło.

Znajdowaliśmy się teraz jakieś osiem stóp nad poziomem wody. Deszczowe niebo stanowiło niewiele jaśniejsze tło od ziemi i morza, lecz spróbowałem przyjrzeć się statkowi. Szeroki, długi na jakieś siedemdziesiąt stóp - choć mogłem się kropnąć o dobre dwadzieścia stóp - miał całkiem sporą nadbudówkę na śródokręciu i dwa albo trzy maszty. Nic więcej nie zobaczyłem, bo otworzyły się drzwi w nadbudówce i oslepił mnie nagle snop ostrego światła. Ktoś - jak mi się zdawało, wysoki i szczupły - przeciął jasny prostokąt i szybko zamknął za sobą drzwi.

- Wszystko gra, szefie? - Wprawdzie nie byłem jak dotąd w Australii, ale znałem wielu Australijczyków. Bez trudu rozpoznałem więc charakterystyczny akcent.

- Jeszcze jak. Mamy ich. Na drugi raz uważaj z tym cholernym światłem. Wchodzimy.

Była to najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Górna krawędź nadburcia sięgała moło, tak że musieliśmy jedynie skoczyć trzydzieści cali w dół, na pokład. Drewniany, nie stalowy. Kiedy już wszyscy znaleźliśmy się bezpiecznie na statku, Fleck zapytał:

- Jesteśmy przygotowani na przyjęcie gości. Henry? - Mówił teraz swobodnie, powrót na własny teren sprawił mu widoczną ulgę.

- Apartament już czeka, szefie - wycedził Henry chrapliwym, żalobnym głosem. - Mam ich zaprowadzić?

- Tak. Będę u siebie. Bentall, zostaw bagaże tutaj. Do rychłego.

Henry ruszył w kierunku rufy, a my za nim, pod eskortą obu Hindusów. Za nadbudówką skręcił w prawo, mrugnął latarką i zatrzymał się przed małym kwadratowym lukiem. Schylił się, odsunął rygiel, zdjął pokrywę luku i poświecił w głąb ładowni.

- Właście.

Zszedłem pierwszy, po dziesięciu wilgotnych, lepkich stalowych szczeblach pionowej drabinki, a zaraz za mną Marie Hopeman. Zaledwie schowała głowę pod pokład, pokrywa luku opadła z trzaskiem i usłyszeliśmy szcęk zasuwanego rygla. Marie stanęła koło mnie i rozejrzeliśmy się po naszym „apartamencie”.

Był to ciemny, śmierdzący loch. O ile jednak żółty robaczek świętojański - to znaczy żarówka na suficie, osłonięta kloszem ze zbrojonego szkła - rozpraszał ciemności w sam raz, by nie trzeba było się poruszać po omacku, o tyle fetoru nic nie łagodziło. Cuchnęło tam niczym po epidemii czarnego moru, panował niebotyczny, odrażający smród, którego nie mogłem zidentyfikować. Jak na lochy, warunki wprost wymarzone. Jedyne wyjście prowadziło przez luk, którym weszliśmy. Od strony rufy przez całą szerokość statku biegła drewniana gródź. Znalazłem szparę między deskami i choć nie udało mi się nic dojrzeć, poczułem zapach oleju napędowego. Ani chybi, maszynownia. W grodzi dziobowej znajdowały się otwarte drzwi, a za nimi prymitywna toaleta, wyposażona w zardzewiałą umywalkę i kran, z którego obficie ciekła brunatna, słonawa - ale nie morska - woda. W

podłodze przy narożnikach od strony dziobu widniały dwie dziury o średnicy sześciu cali. Zajrzałem do jednej z nich, lecz nic nie zobaczyłem. Były to chyba wentylatory - instalacja z całą pewnością niezbędna, ale bezużyteczna podczas postoju statku i przy bezwietrznej pogodzie, jak to właśnie miało miejsce.

Całą ładownię, wzdłuż osi statku, dzieliły cztery drewniane ścianki, zmontowane z osadzonych w suficie i podłodze listew. Przestrzeń pomiędzy skrajnymi przegrodami a lewą i prawą burtą zajmowały bez reszty -jeśli nie liczyć przerw umożliwiających nawiew powietrza z wentylatorów - drewniane skrzynie i otwarte klatki. Bliżej środka ustawiono do połowy wysokości ładowni następne skrzynie oraz worki, natomiast między wewnętrznymi ściankami, od grodzi rufowej aż po drzwi dziobowe, pozostało szerokie na jakieś cztery stopy przejście. Drewniana podłoga w tym miejscu wyglądała tak, jak gdyby ostatnio wyszorowano ją na okoliczność koronacji Elżbiety II.

Wciąż jeszcze rozglądałem się, czując jak serce podchodzi mi do gardła, choć miałem nadzieję, że jest dostatecznie jasno, by Marie dostrzegła moją nieustraszoną minę, gdy naraz lampka na suficie przygasła, a od strony rufy doleciał przenikliwy gwizd. Natychmiast rozległ się charakterystyczny warkot diesla i statek wpadł w wibracje, cofając się na wstecznym biegu. Po chwili silnik przycichł, a ja dosłyszałem tupot sandałów na pokładzie – niewątpliwie zrzucali cumy. Wkrótce przestawiono bieg, obroty silnika wzrosły, a warkot przybrał na sile. Lekki przechył na prawą burtę, kiedy statek oderwał się od molo, powiedział nam to, co już i tak wiedzieliśmy - że odbiliśmy od brzegu.

Odwróciłem się od grodzi, w panującym mroku wpadłem na Marie Hopeman i podtrzymałem ją za ramię. Miała gęsią skórę, a jej ręka była wilgotna i stanowczo za zimna. Dziewczyna zmrużyła oczy, gdy przyjrzałem jej się w migotliwym świetle zapałki. Mokre jasne włosy oblepiały jej czoło i policzek, a cienka jedwabna sukienka, kompletnie przemoczona, kleiła się do ciała niczym lepki kokon. Marie dygotała. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak zimno i wilgotno jest w tej dusznej norze. Zgasilem zapałkę, zdjąłem but i zacząłem nim bębnić w gródz rufową. Widząc, że nie daje to rezultatów, wszedłem na drabinkę i zacząłem grzmocić w pokrywę luku.

- Cóż ty wyprawiasz, u licha? - spytała Maria Hopeman.

- Wzywam służbę hotelową. Jeżeli nie dostaniemy zaraz naszych ubrań, to wylądujesz z zapaleniem płuc.

- A może byś się tak rozejrzył i poszukał jakiejś broni? - odparła spokojnie. - Nie zastanawiałeś się czasem, po co nas tu sprowadzili?

- Żeby nas załatwić? Bzdura. - Roześmiałem się beztrzesko, ciekaw, jak to wypadnie, lecz żaloszny, nieprzekonujący rechot nawet mnie nie podniósł na duchu. - Oczywiście, że nas nie wykończą, w każdym razie jeszcze nie teraz. Nie po to mnie tu ściągnęli... równie dobrze mogli mi zrobić kuku w Anglii. Ty też nie byłabyś im w tym celu potrzebna. Po trzecie, nie musieliby nas pakować aż na statek... starczyłyby dwa solidne kamienie i ten kanał, który mijaliśmy po drodze. No i po czwarte, kapitan Fleck to kawał drania i łotra, ale nie jest mordercą. - Tym razem wypadło o niebo lepiej. Gdybym powtórzył to jeszcze ze sto razy, sam pewnie bym uwierzył. Marie Hopeman nie odezwała się. Być może dumiała nad tym, co powiedziałem, być może nie było to tak całkiem bez sensu.

Kilka minut później zrezygnowałem z walenia w luk, podszedłem do grodzi dziobowej i załomotałem w nią głośno. Z drugiej strony znajdowały się chyba pomieszczenia załogi, bo reakcja była prawie natychmiastowa. Ktoś uniósł pokrywę luku i silna latarka oświetliła wnętrze ładowni.

- Przystaniecie się wreszcie tłuc, z łaski swojej? – Sądząc po głosie, Henry nie był specjalnie zadowolony. – Nie moglibyście spać, albo co?

- Gdzie nasze walizki? - spytałem stanowczo. – Musimy się przebrać. Moja żona przemokła do suchej nitki.

- Dobra, dobra - odburknął. - Przesuńcie się do przodu.

Zastosowaliśmy się do polecenia, on zaś zszedł do ładowni, odebrał cztery walizki od kogoś stojącego poza zasięgiem naszego wzroku, po czym usunął się na bok. Po drabinie zszedł kapitan Fleck, uzbrojony w pistolet i latarkę. Otaczał go aromat whisky. Po odrażającym smrodzie ładowni była to nader miła odmiana.

- Przepraszam, że kazałem wam tak długo czekać - huknął wesoło. - Zmyślne te zamki w waszych walizkach. A więc jednak nie masz broni, co, Bentall?

- Oczywiście, że nie - odparłem sztywno. Miałem broń, a jakże, tyle że została pod materacem mojego łóżka w hotelu „Grand Pacific”. - Co tu tak śmierdzi?

- Śmierdzi? Tutaj? - Fleck pociągnął nosem z miną konesera napawającego się bukietem napoleona. - Kopra i pletwy rekina. Ale głównie kopra. Ponoć jest bardzo zdrowa.

- Nie wątpię - mruknąłem z goryczą. - Długo jeszcze będziecie nas trzymać w tej norze?

- To najlepszy szkuner pod... - warknął Fleck z irytacją, lecz pohamował się. - Pożyjemy, zobaczymy. Jeszcze kilka godzin, nie wiem dokładnie. O ósmej dostaniecie śniadanie. - Omiótł latarką ładownię. - Rzadko gościmy na pokładzie kobiety, a już na pewno nie takie jak pani - ciągnął ze skruchą. - Mogliśmy tu trochę uprzętnąć. Nie kładźcie się przypadkiem bez butów.

- Dlaczego? - spytałem.

- Karaluchy - wyjaśnił zwięźle. - Mają wyjątkową słabość do stóp. - Raptownie przesunął latarkę, przez moment oświetlając parę olbrzymich, długich na dobre dwa cale żukopodobnych owadów, które natychmiast pierzchnęły w ciemność.

- T... takie wielkie? - szepnęła Marie Hopeman.

- To przez tę kopkę i ropę do diesla - wyjaśnił Henry grobowym tonem. - Ich ulubione żarcie, pomijając DDT. Mają tu tego na kopy. Ale te były jeszcze nieduże. Ich rodzice dobrze wiedzą, że nie należy wystawiać nosa, póki ludzie nie zasną.

- Dość! - uciął nagle Fleck. Wcisnął mi w rękę latarkę. - Weź to. Przyda wam się. Do zobaczenia rano.

Henry poczekał, aż Fleck wystawi głowę przez luk, po czym umocował kilka obłuzowanych listew w wewnętrznych ściankach i ruchem głowy wskazał odkrytą w ten sposób platformę z wysokich na cztery stopy skrzyń.

- Z braku wyboru śpijcie tutaj - doradził krótko. - Na razie. - Co rzekłszy wyszedł i zatrzasnął za sobą luk.

Tak więc z braku wyboru przycupnęliśmy ramię w ramię na tej wysokiej platformie. Ale tylko Marie zasnęła. Ja musiałem sobie to i owo przemyśleć.

Wtorek, 8.30 - 19.00

Marie spała jak zabita przeszło trzy godziny, oddychając tak cicho i spokojnie, że prawie jej nie słyszałem. W miarę upływu czasu kołysało coraz bardziej, aż wreszcie przechył statku wyrwał ją nagle ze snu. Spojrzała na mnie z przestachem, lecz szybko zrozumiała, co się dzieje, i usiadła.

- Cześć - mruknęła.

- Witaj. Jak się czujesz, lepiej?

- Uhm. - Przytrzymała się ścianki, gdy kolejny gwałtowny przechył poruszył kilka nie umocowanych skrzyń, które zaczęły się obijać po ładowni. - Tyle że jak tak dalej pójdzie, chyba mi się pogorszy. Nudzę cię. wiem, ale nic na to nie poradzę. Która godzina? Wpół do dziewiątej, jeśli wierzyć twojemu zegarkowi. Ciekawe, dokąd płyniemy?

- Na północ albo na południe. Sądząc z kołysania i z tego, że nie idziemy baksztagiem, mamy boczną falę. Moja znajomość geografii trochę już zardzewiała, ale jestem pewien, że o tej porze roku pasaty pędzą fale ze wschodu. A więc kierujemy się albo na północ, albo na południe. - Zwlokłem się sztywno z platformy. Między skrzyniami, od dziobu, pozostawiono z dwóch stron wąskie szczeliny, które uchodziły przewody wentylatora. Wcisnąłem się tam i kolejno pomacałem obie burty, wysoko nad głową. Lewa była zdecydowanie cieplejsza od prawej. Oznaczało to, że płyniemy mniej więcej na południe. A zatem najbliższym lądem w tym kierunku powinna być Nowa Zelandia, oddalona o jakieś tysiąc mil. Zakotowałem sobie w pamięci tę cenną informację i właśnie miałem się wycofać, gdy usłyszałem dolatujące z góry ciche, lecz wyraźne głosy. Ściągnąłem na dół jedną skrzynię i stanąłem na niej, przysuwając twarz do wentylatora.

Jego przewód biegł niewątpliwie w pobliżu kabiny radiowej, a wylot w kształcie trąbki stanowił znakomity przyrząd do wylapywania i wzmacniania fal dźwiękowych. Usłyszałem monotony stukot Morse'a, nad którym górowały głosy dwóch mężczyzn, tak wyraźne, jak gdyby stali obok mnie. Nie miałem pojęcia, o czym rozmawiają, bo posługiwali się jakimś dziwnym, nie znanym mi językiem. Po chwili zeskoczyłem ze skrzyni, odstawiłem ją na miejsce i wróciłem do Marie.

- Coś ty tam robił tyle czasu? - spytała oskarżycielskim tonem. Pobyt w tej ciemnej, cuchnącej ładowni sprawiał jej średnią przyjemność. Mnie zresztą też.

- Przepraszam. Ale kto wie, czy nie będziesz mi jeszcze wdzięczna za zwłokę. Odkryłem, że płyniemy na południe, a co ważniejsze, przekonałem się, że słyhać stąd rozmowy prowadzone na pokładzie. - Opowiedziałem jej, jak na to wpadłem.

- To się może bardzo przydać - stwierdziła kiwając głową.

- Jeszcze jak. Głodna?

- Wiesz... - Skrzywiła się i pomasaowała brzuch. - Nie o to chodzi, że źle znoszę kołysanie, ale ten obrzydliwy zapach...

- Wentylator jest rzeczywiście do bani - przyznałem. - Ale może napiłabyś się herbaty. - Przeszedłem na drugą stronę ładowni i zwróciłem na siebie uwagę tak, jak to zrobiłem kilka godzin wcześniej, to znaczy wałąc w gródź. Następnie wróciłem pod drabinę, a po chwili ktoś otworzył luk.

Zamrugalem i cofnąłem się, gdy oślepiające promienie słońca załaly ładownię. Na drabinie stanął szczupły, posepny mężczyzna o zapadniętych policzkach i pociętej głębokimi zmarszczkami twarzy - Henry.

- O co tyle hałasu? - spytał flegmatycznie.

- Obiecaliście nam śniadanie - przypomniałem.

- Fakt. Będzie za dziesięć minut. - Co rzekłszy wyszedł, zamykając za sobą luk.

Szybciej nawet, niż zapowiedział, luk znów się otworzył i po drabince zwinnie zszedł krępy chłopak o brązowej skórze i z grzywą czarnych, kręconych włosów. W jednej ręce niósł drewnianą tacę. Uśmiechnął się do mnie wesoło, przeszedł przez ładownię i postawił tacę na skrzyniach koło Marie. Gestem dyktatora mody odsłaniającego swoją najnowszą kreację zdjął z naczyń blaszaną pokrywę. Spojrzałem na brunatną kleistą mazię. Zdawało mi się, że dostrzegam ryż i wiórki kokosowe.

- Co to jest? - spytałem. - Resztki z zeszłego tygodnia?

- Budyń *dalo*. Bardzo dobry. - Ciemnoskóry wskazał dzbanek z odpryskującą emalią. - A to kawa. Też bardzo dobra. - Szybko skinął głową Marie i wyszedł równie zwinnie, jak wszedł. Nie trzeba chyba dodawać, że zatrzasnął za sobą luk.

Budyń okazał się niestrawną, galaretowatą paciąją o smaku i konsystencji gotowanego kłajstru. Był niejadalny, lecz i tak nie umywał się pod tym względem do obrzydliwej kawy - letniej lury zaparzonej na pomyjach precedzonych przez stare worki po cemencie.

- Myślisz, że chcą nas otruć? - spytała Marie.

- Niemożliwe. Choćby dlatego, że nikt by nie przełknął tego świństwa, za żadne skarby. W każdym razie nie Europejczyk. Ale na Polinezji to pewnie nasz odpowiednik kawioru. Też nam się trafiło śniadanko! - Nagle urwałem i spojrzałem na skrzynię z tacą. - A niech mnie! To się nazywa spostrzegawczość, co? Przesiedziałem bite cztery godziny oparty o to pudło!

- Nie masz przecież oczu z tyłu głowy – wtrąciła z nieodpartą logiką.

Nie odpowiedziałem. Korzystając z latarki, zaglądałem już do skrzyni przez szerokie na cal szpary między listwami.

- Na mój gust to chyba butelki lemoniady czy coś w tym rodzaju.

- Też mi się tak zdaje. Czyżby skrupuły nie pozwalały ci naruszyć własności kapitana Flecka? - spytała niewinnie.

Uśmiechnąłem się, wyłamałem listwę z wieka skrzyni, wyciągnąłem butelkę i podałem ją Marie.

- Uważaj - ostrzegłem. - To pewnie czysty dżin, szmuglowany na wyspy dla tubylców.

Nie był to jednak dżin, lecz sok cytrynowy, i to wyśmienity. A ściślej - wyśmienity na pragnienie, ale nie zamiast śniadania. Zdjąłem więc marynarkę i przystąpiłem do gruntownego badania ładowni.

Na pierwszy rzut oka działalność kapitana Flecka przedstawiała się zgoła niewinnie - przewoził artykuły żywnościowe. Skrzynie upchane pomiędzy zewnętrznymi a wewnętrznymi ściankami zawierały mięso, owoce i napoje orzeźwiające. Prawdopodobnie Fleck załadował ten towar na którejś z większych wysp, zanim wyruszył po kopre. Było to całkiem możliwe. Z drugiej jednak strony nie wyglądał on na niewiniątko.

Zjadłem śniadanie złożone z puszki wołowiny i gruszek - Marie wzdrygnęła się już na samą myśl o jedzeniu – po czym zabrałem się do sprawdzania skrzyń wypełniających przestrzeń między zewnętrznymi przegrodami a burtami szkunera. Niewiele jednak zwojowałem. Listwy w tych ściankach nie przesuwały się, lecz odchylały, a że z obu stron zasłaniały je skrzynie, nie mogłem się do nich dostać. Ale dwie listwy, te za skrzynką lemoniady, były obluźnione. Oświetliłem je latarką i zobaczyłem, że nie mają zawiasów przy suficie. Stan drewna w miejscach, gdzie kiedyś znajdowały się śruby, wskazywał, że zawiasy usunięto stosunkowo niedawno. Rozsunąłem listwy na tyle, na ile się dało, wyciągnąłem górną skrzynię nie łamiąc sobie przy tym karku - zadanie tylko z pozoru łatwe, bo skrzynie ważyły niełicho, a statek coraz bardziej kołysał - i ustawiłem ją na platformie, na której spędziliśmy noc.

Wymiary skrzynki wynosiły dwie stopy na osiemnaście cali na stopę, a sklecono ją z żółtych impregnowanych deszczulek sosnowych. Szeroka strzałka w każdym z czterech górnych rogów oznaczała, iż jest to własność brytyjskiej marynarki wojennej. Na wieku wymalowany za pomocą szablonu napis, na wpół zamazany grubą czarną linią, informował: „Wyposażenie Floty Powietrznej”. Pod spodem widniały słowa: „Kompasy alkoholowe”, a

jeszcze niżej: „Zbędne. Zgoda na sprzedaż”. Oficjalny charakter tych danych podkreślała korona na samym dole. Z niemałym trudem podważyłem wieko i okazało się, że napisy nie kłamią - w środku leżało sześć nie oznakowanych kompasów alkoholowych, zawiniętych w słomę i biały papier.

- Na oko wszystko się zgadza - stwierdziłem. - Widziałem już takie szablonowe napisy. W marynarce „zbędny” jest eleganckim odpowiednikiem słowa „przestarzały”. Pozwala to uzyskiwać wyższe ceny od cywilnych nabywców. A może kapitan Fleck ma koncesję na handel sprzętem z demobilu?

- Prędzej ma zapas własnych szablonów – mruknęła Marie sceptycznie. - Zajrzymy do następnych?

Zdjąłem drugą skrzynkę. Sądząc z opisu, powinna zawierać lornetki, i rzeczywiście tak było. Zawartość trzeciej skrzyni, oznakowanej tak samo jak poprzednie, określono jako „Niezatapialne pasy ratunkowe (lotnicze)” i znowu napis nie kłamał - w środku znajdowały się jaskrawoczerwone pasy ratunkowe, zaopatrzone w ładunki dwutlenku węgla, oraz żółte cylindryczne pojemniki ze środkiem odstraszającym rekiny.

- Tracimy tylko czas - burknąłem. Kołysanie statku utrudniało dzwiganie i otwieranie skrzyń, była to ciężka harówka, a w dodatku słońce stało już wysoko i upał w ładowni narastał z każdą chwilą. W rezultacie całą twarz i plecy miałem zlane potem. - To tylko zwykły handlarz starzyzną.

- Handlarze starzyzną nie porywają ludzi – odparła Marie zgryźliwie. - Sprawdź jeszcze jedną, proszę cię. Mam dziwne przeczucie.

W pierwszej chwili chciałem odpowiedzieć, że łatwo jest mieć przeczucia komuś, kto sam się nie musi napocić, ale powstrzymałem się, z coraz to niższego stosu wytaszczyłem czwartą, najcięższą jak dotąd skrzynię i ustawiłem

ją obok pozostałych. Była oznakowana podobnie jak reszta i miała taki sam, wymalowany za pomocą szablonu napis: „Świece zapłonowe Championa, dwa grosy”.

Wyłamanie wieka kosztowało mnie pięć minut i utratę dwóch cali kwadratowych skóry z grzbietu prawej dłoni. Marie starannie omijała mnie wzrokiem. Być może potrafiła czytać w myślach, a może po prostu ścięła ją choroba morska. W każdym razie gdy wieko puściło, odwróciła się, zajrzała do środka i zerknęła na mnie.

- A jednak kapitan Fleck ma chyba zapas własnych szablonów - mruknęła.

- Chyba tak - przyznałem. Skrzynia była pełna po brzegi, ale nie zawierała świec zapłonowych. Znajdowały się w niej taśmy z amunicją do broni maszynowej, w ilości umożliwiającej zapoczątkowanie całkiem sporej rewolucji. - Ciekawe...

- Czy... to bezpieczne? Jeżeli kapitan Fleck...

- A co on mi może zrobić? Niech sobie wchodzi, jeśli ma ochotę. - Wytaszczyłem piątą skrzynię i parsknąłem szyderczo na widok napisu „Świece zapłonowe”. Podważyłem wieko, wyłamałem je kilkoma celnymi kopniakami, wlepiłem wzrok w gruby niebieski papier spowijający zawartość, po czym zamknąłem skrzynię z takim nabożeństwem i tak czule, jak gangster z Chicago układa wieniec na grobie swej ostatniej ofiary.

- Amonal, dwadzieścia pięć procent sproszkowanego aluminium! - Marie też rzuciła okiem na napis. - Co to takiego?

- Bardzo silny materiał wybuchowy. Tego tu wystarczy, żeby wystrzelić cały statek wraz z załogą i nami na orbitę.

Odstawiłem skrzynię na miejsce. Pomyślałem o tym, z jaką werwą zdejmowałem wieko, i oblał mnie zimny pot.

- Cholernie zdradliwe draństwo. Wystarczy nieodpowiednia temperatura, niewłaściwy transport czy nadmierna wilgotność, a następuje wielkie bum. Ta ładownia zdecydowanie przestała mi się podobać. - Chwyciłem skrzynię z amunicją i też ją odstawiłem. Spoczęła na amonalu lżej niż opadający puch.

- Chowasz je z powrotem? - Marie lekko zmarszczyła brwi.
- A jak ci się zdaje?
- Boisz się?
- Nie. Jestem przerażony. W następnej może być nitrogliceryna czy coś w tym rodzaju. To by dopiero była zabawa. - Odstawiłem pozostałe skrzynie, poprawiłem listwy w przegrodzie i z latarką w ręku ruszyłem zbadać ładownię od strony rufy. Nie znalazłem nic ciekawego. Po lewej stało sześć pełnych beczek z ropą do diesla, dalej nafta, DDT i kilka pięciogalonowych kanistrów na wodę, przystosowanych do noszenia na plecach i zaopatrzonych w odpowiednie paski. Prawdopodobnie Fleck korzystał z nich wówczas, gdy musiał uzupełnić zapas wody na jakiejś samotnej wysepce, a nie miał innej możliwości transportu. Prawą stronę zajmowały dwa kwadratowe blaszane pudła, w których wałały się rozmaite zardzewiałe rupiecie: nakrętki, rygle, sworznie, bloki i kołowroty, śruby... a nawet kilka marspikli. Posłałem im tęskne spojrzenie, lecz zostawiłem je w spokoju. Nie wierzyłem, by kapitan Fleck mógł przeoczyć taką możliwość, lecz gdyby nawet, to i tak marspikiel jest jakby ciut wolniejszy od kuli. I piekielnie trudno go ukryć przy sobie.

Wróciłem do Marie Hopeman. Była blada jak kreda.

- Nic tam nie ma. Wymyśliłaś może, co dalej?
- Ty sobie rób, co chcesz - odparła spokojnie. - Ja będę wymiotować.
- O Chryste! - Popędziłem do grodzi, załomotałem w nią i wróciłem pod drabinkę w samą porę, by ujrzeć, jak otwiera się luk i zagląda do nas kapitan Fleck we własnej osobie. Miał niezwykle przytomne spojrzenie, był wypoczęty, ogolony i ubrany w biały drelichowy mundur. Nim się odezwał, uprzejmie wyjął z ust cygaretkę.

- Śliczny dzień, Bentall. Spodziewam się, że...
- Moja żona jest chora - wpadłem mu w słowo.
- Potrzebuje świeżego powietrza. Czy może wyjść na pokład?
- Chora? - powtórzył zmienionym głosem. - Ma gorączkę?
- To choroba morska! - wrzasnąłem.
- Przy takiej pogodzie? - Wyprostował się i rozejrzał ze zdziwieniem. W jego przekonaniu znajdowaliśmy się pewnie w strefie martwej ciszy. - Chwileczkę.

Strzelił palcami, krzyknął coś, czego nie zrozumiałem, i poczekał, aż chłopak, który zniósł nam śniadanie, przybiegnie z lornetką. Przystawił ją do oczu, omiół horyzont w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni i opuścił szklą.

- Może wyjść. Ty zresztą też.

Zawołałem Marie i przepuściłem ją przodem. Fleck podał jej rękę i pomógł wyjść przez luk.

- Słyszałem, że kiepsko się pani czuje – powiedział z zatroskaniem. - Bardzo mi przykro. Faktem jest, że nie wygląda pani najlepiej.

- Bardzo pan uprzejmy, kapitanie. - Ja bym się pewnie spalił pod wpływem jej spojrzenia i tonu, lecz Fleck był odporny na takie rzeczy. Znów dał znak chłopakowi, który przyniósł dwa leżaki z parasolami.

- Możecie tu siedzieć do woli - oświadczył Fleck. - Ale jeśli każe zejść pod pokład, macie to zrobić natychmiast. Jasne?

W milczeniu pokiwałem głową.

- Świetnie. Macie chyba dość oleju w głowie, żeby nie próbować żadnych głupich numerów. Nasz Rabat nie jest może Sokolim Okiem, ale z tej odległości nie pudłuje.

Odwrociłem się i ujrzałem, że mały Hindus siedzi po drugiej stronie luku. Wciąż był ubrany na czarno, tyle że teraz nie nosił kurtki. Na kolanach trzymał obrzyn wycelowany wprost w moją głowę i przyglądał mi się w mocno podejrzący sposób,

- Czas na mnie - oświadczył Fleck. Uśmiechnął się, odsłaniając poźółkłe krzywe zęby. - Kapitan statku ma zawsze pełne ręce roboty. Do zobaczenia.

Ustawił nam leżaki i przeszedł na dziób, do sterówki za kabiną radiową. Marie wyciągnęła się z westchnieniem, zamknęła oczy i po pięciu minutach jej policzki odzyskały zdrowy kolor. Po następnych pięciu już spała. Miałem wielką ochotę pójść w jej ślady, lecz nie spodobałoby się to pułkownikowi Raine. „Zawsze czujny, mój chłopcze” - brzmiała jego wiecznie powtarzana dewiza, wobec czego rozejrzałem się czujnie. Ale nad czym tu było czuwać?

W górze rozpalone do białości słońce na tle wyblakłego, bladoniebieskiego nieba. Od zachodu niebieskozielone morze, od wschodu ciemnozielona woda skrząca się w promieniach słońca, toczona powoli przez ciepły, wiejący z prędkością dwudziestu węzłów pasat. Na horyzoncie od południowego wschodu niewyraźne, czerwone zarysy czegoś, co mogło być równie dobrze wyspą, jak i wytworem mojej wyobraźni. Dookoła ani śladu statku czy łodzi. Nawet latającej rybki. Skierowałem więc swą czujność na szkuner.

Nie twierdzę, że był to najbrudniejszy statek pod słońcem, ostatecznie nie znam ich wszystkich, ale daleko by szukać brudniejszego. Większy, o wiele większy niż myślałem, miał blisko sto stóp długości, a każda z nich była tłusta, zaśmiecona, nie myta i nie malowana od czasu, kiedy stara farba złuszczyła się na słońcu, oraz dwa otaklowane maszty, gotowe do postawienia żagli, których nigdzie nie było widać. Przeprowadzona między topami antena biegła do kabiny radiowej, położonej ze dwadzieścia stóp ode mnie w stronę dziobu. Przy otwartych drzwiach dostrzegłem zardzewiały wentylator. Dalej ujrzałem coś, co mogło służyć Fleckowi za kabinę nawigacyjną, kajutę albo za jedno i drugie, a jeszcze bliżej dziobu, na podwyższeniu, zobaczyłem kryty mostek. Przypuszczałem, że za nim, pod pokładem, znajdują się pomieszczenia załogi. Prawie pięć minut gapiłem się w zadumie na nadbudówkę i dziób statku z niejasnym przeczuciem, że coś mi tu nie gra, że coś jest nie tak. Pułkownik Raine pewnie by się zorientował, w czym rzecz, ale ja nie. Uznałem, że wypełniłem obowiązki wobec pułkownika i że czuwanie na nic się nie zda. I tak w każdej chwili mogli nas wyrzucić za burtę, bez względu na to, czy byśmy spali, czy nie. A ponieważ udało mi się przespać zaledwie trzy z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, zamknąłem oczy i zasnąłem.

Obudziłem się w samo południe. Słońce stało niemal dokładnie nad moją głową, na szczęście parasol był szeroki, a wiatr chłodny. Kapitan Fleck usadowił się właśnie na krawędzi luku. Widocznie uporał się już z tym, co miał do zrobienia. Odgadnięcie istoty jego poczynań nie nastęczało większych trudności – dopiero co zakończył długą i skomplikowaną naradę z butelką whisky. Oczy miał lekko zaszklone, a siedząc po nawietrznej, z odległości trzech stóp bez trudu poczułem zapach szkockiej. Widocznie jednak ruszyło go sumienie, bo trzymał tacę ze szklankami, butelką sherry i małą kamionką.

- Niedługo dostaniecie coś do jedzenia - odezwał się nieomal ze skruczą. - Ale pomyślałem, że może chcielibyście przedtem coś łyknąć.

- Uhm. - Spojrzałem na kamionkę. - Co w tym jest? Cyjanek?

- Szkocka - wyjaśnił krótko. Nalał do dwóch szklanek, wychylił swoją jednym haustem i ruchem głowy wskazał Marie. Leżała zwrócona w naszą stronę, z twarzą przesłoniętą rozwianymi włosami. - A pani Bentall?

- Niech śpi. Sen jej dobrze zrobi. Kto ci wydaje rozkazy, Fleck?

- Hę? - Dał się zaskoczyć, ale tylko na mgnienie oka, alkohol najwyraźniej zupełnie na niego nie działał. - Rozkazy? Jakie rozkazy? Czyje?

- Co chcecie z nami zrobić?

- Coś taki niecierpliwy, Bentall?

- Bo uwielbiam siedzieć na tej twojej krypie. Nie jesteś specjalnie rozmowny, co?

- Dolać ci?

- Przecież nic nie wypilem. Długo jeszcze zamierzacie nas tu trzymać?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie wiem - odparł powoli. - Masz rację, że nie ja to wszystko zorganizowałem. Ktoś bardzo się chciał z wami zobaczyć. - Wychylił następną whisky. - Ale teraz nie jest już taki pewny.

- Szkoda, że ci o tym nie powiedział, zanim nas wywlekliście z hotelu.

- Wtedy sam nie wiedział co i jak. Zawiadomił mnie przez radio, niecałe pięć minut temu. Następne połączenie o dziesięć... punkt siódma wieczorem. Wtedy usłyszysz odpowiedź na swoje pytanie. Mam nadzieję, że ci się spodoba. - W jego głosie zabrzmiała ponura, złowieszczą nuta. Przeniósł wzrok na Marie, przez dłuższą chwilę obserwował ją bacznie, po czym wzdrygnął się. - Ładniutka ta twoja dziewczyna, Bentall.

- Jasne. Tyle że to moja żona, Fleck. Więc gap się z łaski swojej gdzie indziej.

Odwrócił się powoli i spojrzał na mnie. Twarz miał zimną, zaciętą, lecz było w niej coś jeszcze, coś, czego nie potrafiłem sprecyzować.

- Gdybym był o dziesięć lat młodszy albo o pół butelki whisky lżejszy, policzyłbym ci za to zęby, Bentall - powiedział beznamiętnie. Odwrócił głowę i zapominając o szklance whisky w ręku, wpatrzył się w zieloną, oślepiającą powierzchnię oceanu. - Mam córkę, jakieś dwa lata młodszą od niej. Studiuje sztuki piękne na Uniwersytecie Kalifornijskim. Myśli, że jej stary jest kapitanem australijskiej marynarki wojennej. - Zakręcił szklanką whisky. - Może to i lepiej, że tak myśli, może to i lepiej, że nigdy już się nie spotkamy. Jej też bym wolał nie spotkać, gdybym wiedział...

Nareszcie zrozumiałem. Nie jestem Einsteinem, ale jak mi dać parę razy po głowie, potrafię dostrzec to, co widać gołym okiem. Słońce prażyło coraz bardziej, lecz ja nie czułem już ciepła. Nie chcąc, by zdał sobie sprawę z tego, że mówi także do mnie, a nie tylko do siebie, zapytałem:

- Nie jesteś Australijczykiem, prawda?

- Nie?

- Nie. Mówisz z przesadnym akcentem.

- Jestem Anglikiem, tak samo jak ty - warknął. - Ale moim domem jest Australia.

- Kto ci za to wszystko płaci, Fleck?

Gwałtownie zerwał się z miejsca, zabrał puste szklanki, butelki i odszedł bez słowa.

Dopiero o wpół do szóstej przyszedł nam powiedzieć, że mamy zejść pod pokład. Może zauważył na horyzoncie jakiś statek i wolał nie ryzykować, że ktoś nas zobaczy, a może uznał, że dość już się wysiedzieliśmy na pokładzie. Perspektywa powrotu do tej cuchnącej nory nie była zbyt zachęcająca, lecz nie wzbranialiśmy się przed tym specjalnie, i to nie tylko dlatego, że spaliśmy prawie cały dzień i nabraliśmy sił. Późnym popołudniem ze wschodu nadciągnęły czarne chmury, przesłaniając słońce. Ochłodziło się i deszcz był tuż, tuż. Zapowiadało się na ciemną, ulewną noc. Taką, która powinna odpowiadać kapitanowi Fleckowi. Taką, która - miałem nadzieję - jeszcze bardziej powinna sprzyjać nam.

Pokrywa luku opadła i zasunięto za nami rygiel. Marie wzdrygnęła się i skuliła.

- Czeka nas kolejna noc w Ritzu. Szkoda, że nie poprosiłeś o nowe baterie do latarki... te nie wytrzymają do rana.

- To nie będzie konieczne. Bez względu na rozwój wypadków, ostatnią noc na tym pływającym śmietniku mamy już za sobą. Rozstajemy się z nim wieczorem, jak tylko na dobre się ściemni. Jeżeli sprawy potoczą się po myśli Flecka, to opuścimy statek z parą żelaznych sztab u nóg, a jeśli wyjdzie na moje, ulotnimy się bez nich. Gdybym był hazardzistą, postawiłbym ostatni grosz na Flecka.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - wyszeptała Marie.

- Sam... sam mówiłeś, że nic nam nie grozi. Pamiętasz, jak mi to tłumaczyłeś w nocy, kiedy nas tu przywieźli? Mówiłeś, że Fleck nie jest mordercą.

- I wciąż tak uważam. W każdym razie nie jest urodzonym mordercą. Od samego rana próbuje utopić sumienie w butelce. Ale jest wiele powodów, dla których człowiek robi to, na co nie ma ochoty, nawet morduje... groźba, szantaż, konieczność zdobycia pieniędzy. Rozmawiałem z nim, kiedy spałaś. Zdaje się, że gość, który nas w to wpakował, już mnie nie potrzebuje. Nie wiem, do czego mu byłem potrzebny, ale wygląda na to, że osiągnął swój cel bez mnie.

- On ci powiedział, że my... że nas...

- Nic mi nie powiedział, nie wprost. Dał mi tylko do zrozumienia, że ten, kto zorganizował porwanie, chyba już mnie - czy nas - nie potrzebuje. Ostateczna decyzja ma zapaść o siódmej, ale ton Flecka raczej nie pozostawiał wątpliwości co do następstw. Myślę, że wpadłaś staremu w oko. Mówił o tobie tak, jak gdybyś należała już do przeszłości. Bardzo wzruszająco i smutno.

Oparła mi rękę na ramieniu i spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, jakiego nigdy u niej nie widziałem.

- Boję się - wyznała otwarcie. - To śmieszne, nagle spojrzałam w przyszłość, ale żadnej przyszłości nie zobaczyłam. Boję się. A ty?

- Oczywiście, że się boję - burknąłem zirytowany. - A jak myślisz?

- Ja wiem, że to nieprawda, że ty tak tylko mówisz. Wiem, że się nie boisz, w każdym razie nie śmierci. Nie o to chodzi, że odwagą przewyższasz innych, rzecz w tym, że w obliczu śmierci tylko byś myślał i planował, byłbyś tak zaprzątnięty kalkulowaniem i obmyślaniami strategii, że śmierć widziałbyś tylko w kategoriach akademickich. Teraz też szukasz wyjścia i jesteś pewien, że je znajdziesz. Śmierć, której by ci się nie udało uniknąć, przyjąłbyś jako zniewagę, choćbyś miał tylko jedną szansę na milion.

Uśmiechnęła się do mnie nieśmiało.

- Pułkownik Raine wiele mi o tobie opowiadał - ciągnęła. - Mówił, że kiedy sprawy przybierają beznadziejny obrót i nie ma już żadnej nadziei, kiedy wszystkim opadają ręce, ty się nie poddajesz, bo nie wiedziałbyś nawet, jak się do tego zabrać. Powiedział, że jesteś jedynym człowiekiem, którego mógłby się bać, a to dlatego, że nawet siedząc na krześle elektrycznym wciąż byś kombinował, jak się z tego wywinąć.

Przez cały czas bezwiednie skubała guzik od mojej koszuli, aż niemal mi go ukreśliła, ale nie reagowałem, tej nocy jeden guzik więcej czy mniej nie robił mi żadnej różnicy. Znowu spojrzała mi w twarz.

- Uważam, że jesteś okropnie arogancki. - Uśmiechnęła się, by złagodzić obrazę we słowa. - I bezgranicznie pewny siebie. Ale prędzej czy później znajdziesz się w sytuacji, kiedy na nic ci się to nie zda.

- Wspomnisz moje słowa - warknąłem złośliwie. - Zapomniałaś dodać: „wspomnisz moje słowa”.

Uśmiech znikł z jej twarzy. Odwróciła się. W tej samej chwili otworzył się luk i ciemnoskóry chłopak przyniósł nam zupeł, coś w rodzaju gulaszu oraz kawę. Bez słowa postawił tacę i wyszedł.

Spojrzałem na Marie.

- Dostyc to złowróźbne, nie sądzisz?

- Co masz na myśli?

- Mówię o naszym ciemnoskórym przyjacielu. Rano uśmiechał się od ucha do ucha, a teraz miał minę chirurga, który przyznaje, że operacja się udała, tylko pacjent zmarł.

- I co z tego?

- Opowiadanie dowcipasów i wywijanie hołubców, kiedy przynosi się ostatni posiłek skazańcowi, nie należy do dobrego tonu - wyjaśniłem cierpliwie. - W co lepszych więzieniach patrzą na to krzywym okiem.

- A - bąknęła niemrawo. - Rozumiem.

- Skosztujesz tego świństwa, czy mam je od razu wyrzucić? - zapytałem.

- Bo ja wiem? - mruknęła niepewnie. - Od dwudziestu czterech godzin nic nie jadłam. Spróbuję.

Warto było spróbować. Zupa była smaczna, gulasz jeszcze lepszy, a kawa wręcz wyborna. Jakimś cudownym sposobem kucharz odbił się od dna i wzniósł na wyżyny sztuki kulinarnej. A może go zastrzelili i zastąpili nowym? Miałem jednak na głowie ważniejsze sprawy. Dopilem kawę i spojrzałem na Marie.

- Zakładam, że umiesz pływać?

- Nie za dobrze - odparła z westchnieniem. - Ale trzymam się na wodzie.

- Pod warunkiem, że nie masz żelaznych sztab zamiast butów. - Skinąłem głową. - To powinno wystarczyć. Chciałoby ci się teraz pobawić w nasłuch? Ja muszę pogłówać.

- Oczywiście. - Prawie mi wybaczyła. Przeszliśmy pod gródź dziobową. Ściągnąłem dwie skrzynki i ustawiłem je tuż pod wylotem lewego wentylatora, żeby miała na czym stanąć.

- Słysząc stąd wszystko, co mówią na górze - powiedziałem. - Zwłaszcza to, co się dzieje w środku i w sąsiedztwie kabiny radiowej. Przed siódmą raczej nic ciekawego nie usłyszysz, ale nigdy nie wiadomo. Pewnie dostaniesz skurczu szyi, zanim cię zmienię, to znaczy jak tylko skończę swoją robotę.

Zostawiłem ją tam, przeszedłem do drabinki i, stojąc na trzecim szczeblu, na oko wymierzyłem odległość od górnego szczebla do pokrywy luku. Następnie zacząłem grzebać w metalowych pudłach w prawym rogu ładowni, aż wreszcie znalazłem odpowiedni podnośnik śrubowy, który wraz z dwiema twardymi deskami schowałem za jakąś skrzynią.

Wróciwszy do platformy, na której spędziliśmy noc, rozsunąłem dwie obluźowane listwy, ostrożnie zdjąłem skrzynie z kompasami i lornetkami, odstawiłem je na bok, po czym wyciągnąłem skrzynię z pasami ratunkowymi i wysypałem jej zawartość na podłogę.

Naliczyłem w sumie dwanaście pasów. Gumowe, wzmocnione warstwą brezentu, zaopatrzone były w skórzane szelki zamiast tradycyjnych taśm. Oprócz butli z dwutlenkiem węgla i cylindrycznego pojemnika ze środkiem odstraszającym rekiny miały po jeszcze jednym wodoszczelnym cylindrze, połączonym drutem z małą czerwoną lampką zamocowaną na sprzączce szelek. Domyśliłem się, że są to akumulatory. Nacisnąłem niewielki przycisk na jednym z nich i ciemnoczerwona lampka zapaliła się natychmiast - znak, że sprzęt, choć przestarzały, nadaje się jeszcze do użytku oraz że butla gazowa jest sprawna, a pasy szczelne. Dobra zapowiedź na przyszłość. Nie należy się jednak zdawać na los szczęścia, wobec czego wybrałem na chybił-trafił cztery pasy i w jednym otworzyłem zawór.

Natychmiast rozległ się syk sprężonego gazu. Przypuszczam, że nie był bardzo głośny, ale w tej ciasnej, zamkniętej klitce odniosłem wrażenie, że wszyscy na statku muszą go usłyszeć. Marie w każdym razie usłyszała. Zeskoczyła ze skrzyni i wbiegła w krąg światła rzucanego przez zawieszoną u sufitu żarówkę.

- Co to było? - spytała szybko. - Skąd ten hałas?

- To nie szczury, węże ani jacyś nowi wrogowie - zapewniłem ją. Syczenie ustało. Zaprezentowałem jej okrągły, sztywny, nadmuchany pas ratunkowy.

- Właśnie go sprawdzałem. Na oko jest w porządku. Sprawdzę jeszcze parę innych, ale tym razem postaram się to zrobić ciszej. Podśluchałaś coś?

- Nic. To znaczy, Fleck i ten Australijczyk gadają bez przerwy. Ale głównie o mapach, kursach, wyspach, ładunku i tak dalej. No i o swoich dziewczynach w Suva.

- To pewnie interesujące?

- Nic w tej formie, w jakiej to przedstawiają! - warknęła ostro.

- Okropność - zgodziłem się. - Jak to mówiłaś zeszłej nocy, wszyscy mężczyźni są tacy sami. No, wracaj, bo jeszcze stracisz coś ciekawego.

Obrzuciła mnie przeciągłym, pełnym namysłu spojrzeniem, lecz ja byłem już pochłonięty sprawdzaniem innych pasów. Do wytłumienia hałasu posłużyły mi dwa koce i poduszki.

Wszystkie cztery pasy działały znakomicie, a skoro po upływie dziesięciu minut żaden z nich nie sflaczał, uznałem, że i reszta powinna być równie udana. Wybrałem więc następne cztery, ukryłem je za skrzyniami, wypuściłem powietrze z tych, które testowałem, i schowałem je wraz z pozostałymi na miejsce. Wkrótce doprowadziłem wszystkie skrzynie i listwy w przegrodzie do stanu pierwotnego.

Spojrzałem na zegarek. Do siódmej brakowało tylko kwadransa. Czas naglił. Wróciłem więc na rufę i w świetle latarki dokładnie obejrzałem kanistry na wodę. Grube brezentowe szelki, wgłębienie dopasowane do kształtu pleców, na górze zakręcany wlew o średnicy pięciu cali, na dole kurek. Wytaszczyłem dwa kanistry na środek ładowni, zajrzałem do nich i stwierdziłem, że oba są prawie pełne. Zakręciłem je i potrząsałem nimi energicznie. Nie przeciekały, były idealnie szczelne. Odkręciłem więc kurki do oporu, wylewając wodę na podłogę - ostatecznie to nie mój szkuner - a potem wyciągnąłem z walizki koszulę i wytarłem oba kanistry w środku do sucha. W końcu podszedłem do Marie.

- I jak? - spytałem szeptem.

- Nic.

- Zmienię cię na chwilę. Weź latarkę. Nie mam bladego pojęcia, jakie paskudztwa mogą na nas czyhać po nocy na Pacyfiku, ale może się okazać, że pasy się rozedrą albo że sparciały ze starości. Dlatego wymyśliłem, że weźmiemy ze sobą dwa puste kanistry. Jak na nasze potrzeby mają aż za dużą wyporność, więc możemy schować w nich trochę ubrań, to co uznasz za niezbędne. Tylko nie dumaj nad wyborem przez całą noc. Tak swoją drogą, kobiety zwykle wożą ze sobą plastikowe torby. A ty?

- Chyba mam kilka sztuk.

- To jedną zostaw pustą.

- Dobrze. - Zawahała się. - Nie znam się wprawdzie na statkach, ale mam wrażenie, że w ciągu ostatniej godziny kilkakrotnie zmienialiśmy kurs.

- Jak na to wpadłaś? - Bentall, stary wilk morski, jest tolerancyjny wobec szczerów ładowych.

- Nie kołyszemy się na boki, prawda? Fale przechodzą pod nami od rufy. To już druga czy trzecia zmiana, którą zauważyłam.

Miała rację. Fale najwyraźniej zmalowały i uderzały teraz od rufy. Nie przywiązywałem do tego wagi, wiedziałem, że w nocy pasaty zamierają, a lokalne prądy mogą powodować najdziwniejsze ruchy wód powierzchniowych. Nie było się czym przejmować. Gdy Marie odeszła, przycisnąłem ucho do wentylatora.

W pierwszej chwili doleciało mnie tylko nadspodziewanie głośne, blaszane grzechotanie o antenę nadawczą, nasilające się z każdą chwilą. Deszcz, i to rzęsisty. Zapowiadało się na dłuższą ulewę. Fleck powinien się z tego cieszyć nie mniej niż ja.

Nagle go usłyszałem. Najpierw kroki, a potem słowa. Domyśliłem się, że stanął w drzwiach kabiny radiowej.

- Czas, żebyś włożył słuchawki. Henry. - Po przejściu przez rurę wentylatora Jego głos dudnił i dźwięczał metalicznie, lecz dobiegał całkiem wyraźnie. - Najwyższa pora.

- Jeszcze sześć minut, szefie. - Henry, siedząc przy radioodbiorniku, oddalony był od Flecka pewnie z pięć stóp, a jednak słyszałem go równie dobrze. W roli wzmacniacza wentylator spisywał się znakomicie.

- Nie szkodzi. Nastaw odbiór.

Przycisnąłem ucho do wentylatora tak, jakbym chciał wcisnąć się do niego po pas, ale nic więcej nie usłyszałem. Kilka minut później poczułem szarpnięcie za rękaw.

- Gotowe - oświadczyła Marie. - Oddaję latarkę.

- Świetnie. - Zeskoczyłem na podłogę, pomogłem jej wejść na skrzynie i mruknąłem: - Zaklinam cię na wszystko, nie ruszaj się stąd. Nasz przyjaciel Henry słucha właśnie, jak brzmi ostateczna decyzja.

Niewiele mi już pozostało do zrobienia, toteż uporałem się z tym w kilka minut. Upchałem koc do plastikowej torby i zawiązałem ją mocno, tym samym dając dowód nieuleczalnego optymizmu. Ewentualna przydatność tego koca zależała od zbyt wielu czynników. Od tego czy uda mi się otworzyć luk, czy nie nafaszerują nas kulami podczas ucieczki, czy się nie utopimy, czy do świtu nie pożre nas rekin, barakuda albo jakieś inne lichy... Stwierdziłem jednak, że gdybyśmy uniknęli tych wszystkich nieszczęść, to następnego dnia nie od rzeczy mieć mokry koc jako ochronę przed porażeniem słonecznym. W nocy jednak nie chciałem go wlec za sobą luzem - mokry i ciężki jak kamień, działałby niczym kotwica. Stąd pomysł z torbą. Przywiązałem ją do jednego z kanistrów i właśnie skończyłem wrzucać do niego ubrania i papierosy, gdy wróciła Marie.

- Już nas nie potrzebują - oświadczyła prosto z mostu. Powiedziała to cicho, spokojnie, bez cienia strachu.

- No, to przynajmniej nie trzymałem się na darmo. Mówili, jak nas załatwią?

- Owszem. Choć równie dobrze mogliby rozmawiać o pogodzie. Chyba się mylisz co do Flecka, perspektywa zabójstwa wcale go nie martwi. Mówił o tym tak, jak gdyby roztrząsał interesujący problem. Na pytanie Henry'ego, w jaki sposób mają się nas pozbyć, odpowiedział: „Załatwimy to cicho, spokojnie i kulturalnie. Powiemy im, że szef zmienił zdanie i że mamy ich do niego zawieźć jak najszybciej. Zaproponujemy, żeby puścić wszystko w niepamięć, zaprosimy ich do kajuty na kielicha, dosypimy im coś na sen, a potem spokojniutko wyrzucimy ich za burtę”.

- Przyjemniaczek, szkoda gadać. Pójdziemy sobie na dno, a że nie poczęstują nas kulką, to nawet gdyby wyrzuciło nas gdzieś na brzeg, nikt się tym nie zainteresuje.

- Przecież sekcja zwłok zawsze wykaże obecność trucizny czy narkotyków...

- Naszą sekcję lekarz przeprowadzi nie wyjmując rąk z kieszeni - przerwałem ponuro. - Jeżeli nie nastąpiło złamanie kości, nie sposób ustalić przyczyny śmierci na podstawie czyściutek, błyszczących szkieletów, bo tylko tyle z nas pozostanie po uczcie mieszkańców głębin. A zresztą nie wiem, może rekiny jadają i kości.

- Musisz tak mówić? - spytała zimno.

- Próbuję tylko dodać sobie otuchy. - Podałem jej dwa pasy ratunkowe. - Ściągnij szelki tak, żebyś je mogła założyć w talii, jeden nad drugim. Uważaj, żebyś czasem nie odkręciła zaworu dwutlenku węgla. Poczekaj, aż znajdziesz się w wodzie, i dopiero wtedy je nadmuchaj. - Mówiąc to, sam też przypinałem pasy. - Pośpiesz się, z łaski swojej - dorzuciłem widząc, że się ociąga.

- Nie pali się - stwierdziła. - Henry powiedział: „Chyba wstrzymamy się z tym ze dwie godziny”, na co Fleck odparł: „Tak, co najmniej”. Może chcą zaczekać, aż się ściemni?

- Albo nie chcą, żeby załoga coś zobaczyła. Mniejsza o powody. Istotne jest to, że za te dwie godziny prawdopodobnie zamierzają nas utopić. Ale przyjść po nas mogą w każdej chwili. Poza tym zapominasz, że kiedy odkryją naszą nieobecność, natychmiast zawrócą i zaczną nas szukać. Nie uśmiecha mi się wpaść pod szkuner i dać się posiekać przez śrubę okrętową albo robić za tarczę strzelniczą. Im szybciej uciekniemy, tym większa szansa, że nas nie złapią.

- Nie pomyślałam o tym - przyznała.

- Za to Bentall myśli o wszystkim, dokładnie jak mówił pułkownik.

Widocznie uznała, że moja uwaga nie zasługuje na komentarz, bo skończyliśmy zakładać pasy w milczeniu. Następnie podałem jej latarkę, prosząc, by mi poświeciła, a sam, z podnośnikiem i dwiema deskami w ręku, wszedłem na drabinkę i zabrałem się do otwierania luku. Jedną deskę położyłem na najwyższym szczeblu, drugą przycisnąłem do pokrywy luku, między nimi zaś umieściłem podnośnik. Słyszając wściekłe bębnienie deszczu o luk, mimowolnie wzdrygnąłem się na myśl, że już za chwilę przemoknę do suchej nitki, co było o tyle głupie, że wkrótce czekała mnie dużo bardziej gruntowna kąpiel.

Sforsowanie luku poszło łatwo. Albo pokrywa była już stara i wyschnięta, albo też wkrety przytrzymujące rygiel zardzewiały, w każdym razie starczyło przekręcić kilka razy centralną część podnośnika, wysuwającą przeciwnie nagwintowane śruby, a rozległo się pierwsze skrzypnięcie pękającego drewna. Jeszcze kilka obrotów i pokrywa przestała stawiać opór. Rygiel ustąpił. Droga ucieczki była wolna... zakładając, rzecz jasna, że Fleck i jego kompani nie zasadzili się na pokładzie, żeby odstrzelić mi łeb, zaledwie wychyłę się z ładowni. Znałem tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać, niezbyt może zachęcający, za to logiczny - wysunąć głowę na zewnątrz i zobaczyć, co się z nią stanie.

Oddałem Marie deski i podnośnik, sprawdziłem, czy oba kanistry są pod ręką, szeptem kazałem jej zgasić latarkę, uniosłem pokrywę luku o kilka cali i ostrożnie namacałem rygiel. Tak jak się spodziewałem, leżał luzem na środku pokrywy. Ostrożnie przełożyłem go na pokład, zgiąłem się wpół, wchodząc o dwa szczeble wyżej, zacisnąłem palce na krawędzi luku i jednocześnie wyprostowałem ręce i plecy, tak że umocowana na zawiasach pokrywa odskoczyła do pionu, a moja głowa znalazła się nagle dwie stopy nad pokładem. Diabełek wyskakujący z pudełka nie sprawiłby się lepiej.

Nikt mnie nie zastrzelił.

Nikt mnie nie zastrzelił, bo nikogo tam nie było, a nie było tam nikogo, bo tylko naprawdę rzadki cymbał mógłby z własnej, nieprzymuszonej woli wyjść na pokład w taką pogodę. A i tak musiałby się odziać w zbroję. Jeżeli stojąc u stóp Niagary można powiedzieć, że pada, to owszem, padało. Nareszcie wiem, jak będzie się czuł ktoś ostrzelany z karabinu maszynowego na wodę, o ile skonstruują kiedyś taką broń. Olbrzymie zimne krople, tworzące niemal litą ścianę, smagały szkuner z niewyobrażalną zaciekłością. Pokłady spływały białą, kotłującą się pianą, gdy te wielkie deszczowe kule armatnie rozpryskiwały się i odbijały wysoko. Bezlitosna dzikość, przytłaczający napór tej nawałnicy bębniącej o moje plecy były przerażające. W ciągu pięciu sekund przemokłem do suchej nitki. Z najwyższym trudem pohamowałem przemożny odruch, by zamknąć luk i schronić się w tej ciepłej, suchej, nagle bezgranicznie przytulnej ładowni. Pomyślałem jednak o Flecku, jego kropkach nasennych i dwóch czyściutkich, błyszczących szkieletach na dnie morza. W rezultacie odrzuciłem pokrywę do końca, wyszedłem na pokład i cicho zawołałem o kanistry, zanim jeszcze na dobre zdałem sobie sprawę z tego, co robię.

Piętnaście sekund później Marie z kanistrami była już na pokładzie, a ja zamykałem luk. Ułożyłem rygiel mniej więcej na swoim miejscu, na wypadek, gdyby ktoś chciał przeprowadzić później inspekcję.

Ciemność i deszcz ograniczały widoczność do kilku stóp, toteż przedostaliśmy się na rufę niemal po omacku. Wychyliłem się daleko za reling po lewej stronie kosza rufowego, by ustalić, gdzie znajduje się śruba, bo wprawdzie szkuner rozwijał teraz najwyżej trzy węzły na godzinę - prawdopodobnie to ta fatalna widoczność zmusiła Flecka do ograniczenia szybkości - ale i tak śruba mogła nas w najlepszym wypadku nieźle poharatać.

W pierwszej chwili zobaczyłem tylko powierzchnię oceanu, a raczej nie tyle powierzchnię, co spienioną, syczącą białą kipieli. Stopniowo moje oczy przywykły do ciemności i gdzieś tak po minucie wyraźnie ujrzałem gładką czarną wodę w osłoniętej przed deszczem wnęce pod długim nawisem rufowym statku. A ściślej nie całkiem czarną, lecz upstrzoną opalizującymi cętkami. Wkrótce wypatrzyłem najbardziej wzburzone miejsce, źródło tej fosforyzacji. Tam właśnie znajdowała się śruba - dostatecznie daleko od stewy rufowej, byśmy mogli wyskoczyć bez obawy, że wciągnie nas wir.

Marie poszła na pierwszy ogień. W jednej ręce ścisnęła kanister, a ja trzymałem ją za drugą i opuszczałem, aż zanurzyła się po pas. Pięć sekund później sam także znalazłem się w wodzie.

Nikt nas nie usłyszał ani nie zauważył. My też nie usłyszeliśmy ani nie zauważyliśmy odpływającego szkunera. Tej nocy Fleck nie zapalił świateł masztowych. Po latach pracy w swoim fachu pewnie już zapomniał, jak to się robi.

Wtorek, 19.00 - środa, 9.00

Po przejmująco zimnym, siekącym deszczu w wodzie morskiej ogarnęło nas błogie ciepło. Grzywacze przepadły bez śladu - te, które spróbowały się wychylić, natychmiast unicestwiała ulewa. Niewielkie fale zaledwie marszczyły powierzchnię morza. Wiatr wciąż wiał od wschodu, o ile moje założenie, że szkuner cały czas płynął na południe, było prawidłowe.

Marie zniknęła mi z oczu na dobre pół minuty. Wiedziałem, że musi być gdzieś w pobliżu, lecz gęsta, nieprzenikniona zasłona wodnej mgiełki wzbijanej przez rozpryskujące się krople ograniczała widoczność do zera. Krzyknąłem dwa razy - bez odpowiedzi. Wlokąc za sobą kanister, przepłynąłem kilka jardów i dosłownie na nią wpadłem. Kaszłała i pluła, jak gdyby opita się wody, lecz nadal trzymała swój kanister i chyba nic jej się nie stało. Wystawała wysoko ponad powierzchnię, a więc przynajmniej nie zapomniała otworzyć zaworu dwutlenku węgla w swoim pasie.

Przysunąłem usta do jej ucha.

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Znowu zaniosła się kaszlem. Po chwili dorzuciła: - Moja twarz i szyja.... Ten deszcz... chyba mnie pokaleczył.

W panujących ciemnościach nie widziałem, czy rzeczywiście jest pokaleczona, ale wierzyłem jej, sam też miałem wrażenie, że wpakowałem twarz w gniazdo os. Minus dla Bentalla. Pierwsza rzecz, jaką powinienem zrobić po otwarciu luku, gdy przekonałem się, jak tnie ten straszliwy deszcz, to wyciągnąć z walizek jakieś zbędne ciuchy i owinać głowę sobie i Marie niczym chustką. Na łzy było jednak za późno, wobec czego sięgnąłem po plastikową torbę, przywiązaną do mojego kanistra, rozerwałem ją i zarzuciłem nam koc na głowy. Nadal wprawdzie czuliśmy bębnienie deszczu, przypominające gradobicie, ale przynajmniej nie byliśmy bezpośrednio wystawieni na jego działanie. Lepsze to niż nic.

- Co teraz? - spytała Marie, kiedy skończyłem układać koc. - Zostajemy tu w namiocie, czy płyniemy dalej?

Darowałem sobie narzucające się pytanie, czy woli płynąć do Australii, czy do Ameryki Południowej. W tych okolicznościach byłoby mało zabawne.

- Chyba musimy się stąd oddalić - odparłem. - Jeśli ten deszcz nie przejdzie, to Fleck w żaden ludzki sposób nas nie odnajdzie. Ale nie mamy pewności, czy za chwilę nie przestanie padać. Płynmy na zachód, wiatr pędzi fale w tamtą stronę, więc będzie nam łatwiej.

- Nie sądzisz, że Fleck pomyśli tak samo i właśnie tam będzie nas szukać?

- Jeżeli uważa, że jesteśmy choć w połowie tak stuknięci jak on, to wykombinuje, że popłynęliśmy w odwrotnym kierunku. Na dwoje babka wróżyła. Ruszamy.

Szło nam niezbyt szybko. Rzeczywiście, pływakka była z niej nietęga, w dodatku dwa kanistry i mokry, ciężki koc nie ułatwiały nam zadania, ale i tak w ciągu godziny pokonaliśmy ładny kawałek drogi, płynąc po dziesięć minut z pięciominutowymi przerwami na odpoczynek. Gdyby nie świadomość, że moglibyśmy się taplać w ten sposób przez miesiąc i wciąż nigdzie nie dotrzeć, miałoby to nawet swój urok - woda była ciepła, deszcz jakby przechodził, a rekiny trzymały się z daleka.

Upłynęło, jak sądzę, półtorej godziny. Przez ten czas Marie prawie się nie odzywała, nawet nie odpowiadała na pytania. Wreszcie oświadczyłem:

- Starczy tego. Musimy zachować resztki energii, żeby przeżyć. Jeżeli Fleck w poszukiwaniu nas zapędzi się aż tutaj, to znaczy, że mamy pecha i tyle.

Opuściłem nogi w dół i krzyknąłem odruchowo, jak gdyby coś mnie ugryzło czy użądliło. Coś dużego i twardego musnęło mi nogę, a choć w morzu wiele jest dużych i twardych rzeczy, to przyszło mi na myśl jedynie rybsko długości piętnastu stóp, z trójkątną płetwą

grzbietową i paszczą jak otwarta pułapka na niedźwiedzie. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że wody nic nie zmaciło.

Ostrożnie opuściłem więc nogi z powrotem.

- Co się dzieje? - spytała Marie. - O co chodzi?

- Teraz żałuję, że Fleck tu za nami nie przyplął - odparłem z rozmarzeniem. - Byłby to koniec i jego, i jego szkunera. - Ów duży i twardy obiekt wcale nie musnął mi nogi, to moja noga otarła się o niego. Zmieniało to postać rzeczy. - Stoję w wodzie o głębokości jakichś czterech stóp - wyjaśniłem.

Marie milczała przez chwilę. Wreszcie stwierdziła:

- Ja też. - Powiedziała to powoli, ze zdumieniem, jak ktoś, kto nie wierzy we własne szczęście. Jak ktoś, kto nic nie rozumie i nie może otrząsnąć się ze zdumienia. - Jak myślisz...

- Stały ład, moja droga - przerwałem jej wylewnie. Nagłe poczucie ulgi sprawiło, że czułem się jak na lekkim rauszu, jeszcze niedawno nie postawiłbym złamanego grosza na to, że przeżyjemy. - Dno wznosi się tak ostro, że nic innego nie wchodzi w rachubę. Nareszcie mamy szansę zobaczyć na własne oczy te oślepiające piaski, rozkołysane palmy i piękne czekoladowe dziewczyny, o których tyle się słyzy. Daj mi rękę.

Nie doczekałem się żartobliwej riposty, nawet nie powiedziała, że się cieszy, tylko w milczeniu podała mi dłoń. Przełożyłem koc do drugiej ręki i ostrożnie ruszyłem po stromym dnie. W niecałą minutę stanęliśmy na skale. Kiedy indziej wyszlibyśmy pewnie na suchy ład, teraz jednak, z powodu deszczu, trafiliśmy na mokry. Ale na ład. Nic innego się nie liczyło.

Wtaszczyliśmy na brzeg oba kanistry, po czym zarzuciłem Marie koc na głowę. Deszcz wprawdzie przechodził, lecz tej nocy było to bardzo względne pojęcie, wciąż jeszcze zacinął tak, że aż bolało.

- Rozejrzę się - powiedziałem. - Wracam za pięć minut.

- Dobrze - bąknęła apatycznie. Zdawało się, że jest jej obojętne, czy wróć, czy odejdę na zawsze.

Już po dwóch minutach byłem z powrotem. Uszedłem zaledwie osiem kroków, po czym wpadłem do morza. Szybko przekonałem się, że nasza wysepka jest cztery razy dłuższa niż wynosi jej szerokość i składa się z litej skały. Chętnie tym sobie obejrzał Robinsona Crusoe, jak sobie radzi w tej sytuacji.

Marie tkwiła tam, gdzie ją zostawiłem.

- To tylko mała skałka na środku oceanu - poinformowałem. - Ale jesteśmy bezpieczni. Przynajmniej chwilowo.

- Tak. - Przejechała sandałem po skale. - To rafa koralowa, prawda?

- Chyba tak. - Podobnie jak wielu młodych ludzi, tak i ja swego czasu zaczytywałem się opowieściami o słonecznych wyspach koralowych na Pacyfiku, gdy jednak usiadłem, by dać nogom odpocząć i ocenić sytuację, mój młodzieńczy entuzjazm ulotnił się w jednej chwili. Możliwe, że była to rafa koralowa, lecz miałem wrażenie, iż jest to nowy przyrząd hinduskiego fakira, który osiągnąwszy mistrzostwo w sztuce spania na desce nabitej rozpalonymi gwoździami chce się zabrać za coś trudniejszego. Skała była twarda, spękana, poszarpana, a do tego najeżona spiczastymi, ostrymi jak brzytwa krawędziami. Czym prędzej zerwałem się na nogi, uważając, żeby nie pokaleczyć rąk, po czym wziąłem oba kanistry i ułożyłem je na samym szczycie rafy. Następnie wróciłem po Marie, ująłem ją pod rękę i przycupnęliśmy obok siebie na kanistrach, zwróceniem plecami do deszczu i wiatru. Marie oddała mi część koca. Schowałem swą dumę i ochoczo skorzystałem z propozycji - koc dawał przynajmniej złudzenie osłony.

Przez jakiś czas próbowałem ją zagadywać, lecz odpowiadała monosylabami. Wyciągnąłem więc dwa papierosy z paczki schowanej w kanistrze i poczęstowałem ją. Niewiele to dało, bo koc przeciekał jak rzeszoto i po paru sekundach oba papierosy doszczętnie przemokły. W końcu po mniej więcej dziesięciu minutach zapytałem:

- O co chodzi, Marie? Przyznaję, że nie jest to hotel „Grand Pacific”, ale przynajmniej żyjemy.

- Tak. - Po chwili milczenia dorzuciła obojętnie: - Myślałam, że dzisiaj umrę. Czekałam na śmierć. Byłam tego tak pewna, że teraz... teraz czuję się jak przekłuty balon. Nic do mnie nie dociera. Jeszcze nie. Rozumiesz?

- Nie rozumiem. Co ci dało tę pewność, że... - Przerwałem. - Tylko mi nie mów, że znowu ci chodzi po głowie takie głupoty jak zeszłej nocy.

Pokiwała głową. Nie widziałem tego, poczułem ruch koca.

- Przepraszam. Naprawdę. Nic na to nie poradzę. Może jestem chora, bo pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się coś takiego. - W jej głosie zabrzmiała rozpacz. - Wyobraź sobie, że patrzysz w przyszłość, której nie widać, a jeśli już dojrzysz jakiś przebłysk, to jest to przyszłość bez ciebie. Zupełnie jak gdyby między tobą a jutrem wisiała zasłona. Nic przez nią nie widzisz, więc uważasz, że nic tam nie ma. To znaczy, nie ma jutra.

- Bzdurne przesady - skwitowałem. - Tylko dlatego, że jesteś zmęczona, nie w humorze, mokra i przemarznięta, zaczynasz uciekać się do jakichś chorobliwych urojeń. Nie mam z ciebie żadnego pożytku, najmniejszego. Czasami myślę, że pułkownik Raine miał rację i że będziesz pierwszorzędną współpracowniczką w tym naszym zafajdanym fachu, a czasem znów odnoszę wrażenie, że jesteś dla mnie tylko kamieniem u szyi, przez który pójde na dno. - Było to celowo okrutne z mojej strony. - Bóg jeden wie, jak ci się udało przeżyć w tej branży po dziś dzień.

- Mówiłam ci, że to mi się zdarzyło po raz pierwszy. Masz rację, to bzdurne przesady i więcej o tym nie wspomnę. - Dotknęła mojej dłoni. - Jestem dla ciebie taka niesprawiedliwa. Przepraszam.

Nie miałem specjalnych powodów do dumy. Porzuciłem więc ten temat i wróciłem do rozmyślań o południowym Pacyfiku. Doszedłem do wniosku, że południowy Pacyfik mam gdzieś. Deszcz zaczął jeszcze bardziej niż dotychczas, rafa okazała się paskudną, ostrą i niebezpieczną skałą, dookoła kręcili się osobnicy o wyraźnie zbrodniczych skłonnościach, a do tego rozwiała się jeszcze jedna z moich iluzji - otóż noce mogą tam być naprawdę chłodne. Pod oblepiającym mnie kocem było mi mokro i zimno. Wstrząsały nami fale gwałtownych dreszczy, które z upływem czasu nasilały się coraz bardziej. W pewnym momencie wymyśliłem, że jedynym rozsądnym i logicznym wyjściem byłoby wskoczenie do ciepłego morza, gdy jednak poszedłem sprawdzić tę teorię w praktyce, szybko zmieniłem zdanie. Owszem, woda była ciepła, ale rozmyśliłem się pod wpływem macki, która wysunęła się z rozpadliny w rafie i owinęła wokół kostki mojej lewej nogi. Ośmiornica, do której należała ta macka, ważyła nie więcej niż kilka funtów, ale i tak zabrała mi większą część skarpetki, gdy wyszarpywałem nogę. Dało mi to pojęcie, czego można się spodziewać po jej starszym kuzynie, gdyby się akurat napatoczył.

Była to najdłuższa, najbardziej ohydna noc w moim życiu. Nawałnica ustała około północy, ale mżyło prawie do rana. Trochę drzemaliśmy. Marie zapadała w niespokojny, męczący sen; oddychała zbyt szybko, nierówno. Dłonie miała zimne, a czoło gorące. Czasami oboje wstawaliśmy i dreptaliśmy niepewnie po śliskiej skale, żeby rozruszać zdrętwiałe kończyny, najczęściej jednak siedzieliśmy w milczeniu.

Podczas tej bezkresnej nocy, kiedy wbijałem wzrok w ciemność i deszcz, zaprzętały mnie trzy sprawy: wysepka, na której siedzieliśmy, kapitan Fleck i Marie Hopeman.

Niewiele wiedziałem o Polinezji, lecz przypomniałem sobie, że wyspy koralowe dzielą się na atole i rafy barierowe, występujące przed dużymi wyspami. Jeżeli wyrzuciło nas na poszarpany pierścień nie zamieszkałych wyseppek otaczających lagunę, to przyszłość rysowała się w czarnych barwach. Natomiast jeżeli trafiliśmy na część rafy przed dużą i prawdopodobnie zamieszkaną wyspą, to mogliśmy jeszcze wyjść z tego cało.

Myślałem też o kapitanie Flecku. Myślałem o tym, ile bym dał za to, by móc go jeszcze kiedyś spotkać, i o tym, co by się wówczas działo. Zastanawiałem się, dlaczego zrobił to, co zrobił, i kto kryje się za porwaniem nas i próbą morderstwa. Jedno wydawało się pewne - że zaginięni naukowcy oraz ich żony raczej się nie odnajdą. Uznano mnie za osobę zbędną, a więc straciłem szansę odkrycia, gdzie są i co się z nimi stało. Inna sprawa, że o nich akurat najmniej się wtedy martwiłem, nad wszystkim dominowała chęć ponownego spotkania się z Fleckiem. Dziwny gość. Twardy, gruboskórny, bezwzględny, a jednak dałbym głowę, że wcale nie jest taki zły. Choć prawdę mówiąc, nic o nim nie wiedziałem. Pewny byłem tylko tego, że poznałem wreszcie przyczynę, dla której chciał nas zlikwidować dopiero o dziewiątej - wiedział, że szkuner mija rafę i że gdyby nas utopili o siódmej, to jeszcze przed świtem fale mogłyby nas wyrzucić na brzeg. Gdyby nas znaleziono, zidentyfikowano i trafiono naszym śladem do hotelu „Grand Pacific”, musiałyby się gęsto tłumaczyć.

Marie Hopeman jawiła się w moich myślach nie jako dziewczyna, lecz jako problem. Jej przecucia same w sobie o niczym jeszcze nie świadczyły, były natomiast niewątpliwym symptomem choroby. Fizycznej, nie psychicznej. Skutki fatalnego lotu z Anglii do Suva, noc na statku i wszystko, co działo się potem, w połączeniu z wyczerpaniem psychicznym oraz brakiem snu i jedzenia, osłabiły odporność jej organizmu, który stał się podatny na wszelkie choróbki. W grę wchodziła malaria, przeziębienie albo zwykła, staromodna grypa. Niewątpliwie przeszła niemało, odkąd wylecieliśmy z Londynu. Wołałem nie myśleć o tym, co się stanie, gdyby musiała spędzić na tej odkrytej wysepce najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Albo choćby dwanaście.

Od nieustannego wypatrywania oczu w ciemność miałem już lekkie halucynacje. Zdawało mi się, że w oddali dostrzegam zamazane przez deszcz, ruchome światełka. Nie wróżyło to nic dobrego. Gdy jednak wyobraźnia odpowiedziała mi, że słyszę głosy, stanowczo zamknąłem oczy, próbując zmusić się do snu. Zasnąć na kanistrze, pod osłoną mokrego koca, to nie lada wyczyn, lecz w końcu udało mi się ta sztuka, mniej więcej godzinę przed brzaskiem.

Obudziłem się czując, jak słońce pali mi plecy. Obudziłem się słysząc głosy, prawdziwe głosy tym razem. Obudziłem się, by ujrzeć najpiękniejszy widok w moim życiu.

Marie ocknęła się w chwili, gdy odrzucałem koc z głowy, i starła sen z oczu. Przed nami roztaczał się świetlisty, przepiękny, oślepiający świat: spokojna, słoneczna sceneria, na widok której długa noc poszła w niepamięć, zmieniła się

w senny koszmar, jaki nigdy więcej się nie powtórzy.

Otoczał nas pierścień koralowych raf i wysepek, przyciągających wzrok najbardziej zwariowanymi odcieniami zieleni, żółci, fioletu, brązu i bieli. Tworzyły one dwa olbrzymie rogi, niemal zamykające wielką lagunę o barwie lśniącej akwamaryny. Za nią znajdowała się przedziwnie ukształtowana wyspa. Wyglądała tak, jak gdyby jakiś gigant przerąbał pośrodku kolosalny kapelusz i jedną połówkę wyrzucił. Od północy, gdzie była najwyższa, kończyła się wpadającym do morza pionowym urwiskiem. Od wschodu i południa - a przypuszczalnie także od zachodu - opadała stromym stokiem. Szerokie rondo „kapelusza” tworzyła płaska równina, zakończona oślepiającą piaszczystą plażą. Nawet o tak wczesnej porze i z odległości trzech mil piasek raził w oczy. Sama góra, w promieniach słońca sinofioletowa, była kompletnie łysa, pozbawiona jakiegokolwiek roślinności. Równinę porastały skąpe zarośla i trawa, nad samym brzegiem zaś tu i ówdzie rosły palmy.

Niewiele czasu poświęciłem tej scenerii. Chętnie zająłbym się podziwianiem piękna natury, ale nie po zimnej, deszczowej nocy spędzonej na odsłoniętej rafie. Chwilowo dużo bardziej interesowało mnie czółno z bocznym pływakiem, które jak strzała mknęło ku nam przez zielone, gładkie jak lustro wody laguny.

Siedzieli w nim dwaj mężczyźni - potężnie zbudowani osiłkowie o czarnych kędzierzawych włosach. Gdybym na własne oczy nie widział, jak przebijają pagajami, chyba bym nie

uwierzył. Machali nimi tak szybko, w tak zgranym rytmie, że pryskająca spod wiosł woda tworzyła w promieniach słońca opalizującą mgiełkę. Mniej więcej dwadzieścia jardów od rafy zanurzyli pagaje głębiej, wyhamowali czółno i zatoczywszy łuk, zatrzymali się niecałe dziesięć stóp od nas. Jeden z nich wskoczył do głębokiej po pas wody, przebrnął kilka kroków i zwinnie wspiął się na rafę. Był bosy, ale nie zauważyłem, żeby ostra skała wywarła na nim jakiegokolwiek wrażenie. Jego twarz wyrażała komiczną mieszaninę zaskoczenia i dobrego humoru - zaskoczenia na widok dwojga białych ludzi siedzących skoro świt na rafie, a dobrego humoru dlatego, że świat jest i zawsze będzie cudowny. Nieczęsto spotyka się takie oblicze, lecz jeśli już się je ujrzy, od razu zdradza ono przede wszystkim jedno - pogodę ducha. Mężczyzna błysnął do nas białymi zębami i powiedział coś, z czego nie zrozumiałem ani słowa.

Nie należało do tych, którzy bezproduktywnie tracą czas. Widząc, że nic nie pojmuję, zerknął na Marie, mlasnął z dezaprobatą na widok jej bladej twarzy, nienaturalnych wypieków i podkrążonych oczu, po czym znów się uśmiechnął, kiwnął głową, jak gdyby na powitanie, i zaniósł dziewczynę do łodzi. Ja ruszyłem za nim o własnych siłach, ciągnąc za sobą dwa kanistry.

Czółno miało wprawdzie maszt, lecz wiatr jeszcze się nie zerwał, toteż musieliśmy wiosłować. A raczej to obaj ciemnoskórzy wiosłowali. Ja się do tego nie wtrącałem. Machając pagajem w tym tempie, po pięciu minutach dostałbym zadyszki, a po dziesięciu nadawałbym się do szpitala. Za to ci dwaj wzbudziliby sensację na dorocznych regatach w Henley. Wywijali wiosłami bez wytchnienia przez okrągłe dwadzieścia minut, bo tyle trwało przepłynięcie laguny. Młócili wodę, jak gdyby gonił ich potwór z Loch Ness. A przy tym wszystkim znajdowali jeszcze czas na pogaduszki, przerywane wybuchami śmiechu. Jeżeli reprezentowali typowych mieszkańców wyspy, to trafiliśmy w dobre ręce.

Nie miałem wątpliwości, że wyspę zamieszkuje więcej ludzi. Gdy zbliżyliśmy się do brzegu, naliczyłem kilka domów - wsparte na palach konstrukcje z podłogą na wysokości trzech stóp i olbrzymimi dachami z liści palmowych, które opadały stromo po obu stronach belki szczytowej i kończyły się najwyżej cztery, pięć stóp nad ziemią. Okien ani drzwi nie zauważyłem, bo domy nie miały ścian, z wyjątkiem największego z nich, usytuowanego przy plaży, w sąsiedztwie palm kokosowych. Inne chaty stały cofnięte w głąb łądu i bardziej na południe. Za nimi widniał szary koszmarek z blachy falistej, przypominający staroświecką kruszarnię w kamieniołomach, a jeszcze dalej zauważyłem długi, niski barak o lekko pochyłym, także blaszanym dachu. Pracować pod czymś takim w pełnym słońcu, to musi być sama przyjemność.

Podpływaliliśmy właśnie z prawej strony do małego molo - nie była to przystań z prawdziwego zdarzenia, lecz pływająca platforma z powiązanych bali, długości może trzydziestu stóp, połączona z łądem linami owiniętymi wokół pni drzew - gdy naraz ujrzałem opalającego się na plaży starca. Biały, szczupły i żyłasty, miał twarz okoloną bujnymi białymi włosami. Nosił ciemne okulary, a za cały strój służył mu brudny ręcznik, strategicznie przerzucony w pasie. Wyglądało na to, że śpi, jednakże pozory myliły, bo kiedy dziób łodzi zarył w piach, usiadł raptownie, zerwał okulary, wytrzeszczył w naszym kierunku krótkowzroczne oczy i zaczął macać piasek wokół siebie. W końcu znalazł lekko przydymione szkła optyczne, wsadził je sobie na nos, wykrzyknął: - Wielkie nieba! - po czym zerwał się z niezwykłą jak na swój wiek chyżością i ściskając ręcznik wokół pasa, popędził do najbliższej chaty.

- Prawdziwy hołd dla ciebie, moja droga - mruknąłem. - Wyglądasz jak zewłok wyrzucony przez fale, stary ma pewnie z dziewięćdziesiąt dziewięć lat, a jednak potrafisz jeszcze wykrzesać z niego energię.

- Na mój gust niezbyt się ucieszył na nasz widok - odparła niepewnie. Uśmiechnęła się do osiłka, który przeniósł ją z łodzi na piasek, i mówiła dalej: - Może to odludek? Jeden z tych, co to dobrowolnie skazują się na samotność, żyją z tego, co wyrzuci morze, a ostatnie, na co mają ochotę, to spotkać jakichś białych.

- Poleciał się przebrać w strój galowy, jak nic - zapewniłem ją z przekonaniem. - Zaraz wróci uściskać nam grabulę.

I rzeczywiście. Wyskoczył z chaty, zanim jeszcze przebrnęliśmy przez plażę. Ubrany był teraz w białą koszulę, biały garnitur i panamę. Miał białą brodę, sumiaste białe wąsy i bujne, gęste włosy w tym samym kolorze. Mógłby uchodzić za Buffalo Billa, gdyby ten nosił tropikalne garnitury i słomkowe kapelusze.

Sapiąc przytruchtał nam na spotkanie, już z daleka wyciągając rękę. Miałem rację co do samego powitania, natomiast myliłem się co do wieku starego. Z całą pewnością nie przekroczył sześćdziesiątki, dałbym mu raczej z pięćdziesiąt pięć lat, choć i jak na ten wiek trzymał się świetnie.

- Mój Boże, mój Boże! - Przywitał się z nami tak, jakbyśmy przywieźli mu główną wygraną w totka. - Cóż za niespodzianka! Cóż za niespodzianka! Właśnie się suszyłem, wiecie... po kąpieli... nie mogłem uwierzyć własnym oczom... skąd się tu wzięliście, na miłość boską?! Nie, nie, teraz nic nie mówcie. Szybko do mnie! Wspaniała niespodzianka, naprawdę wspaniała! - Podreptał przodem, wzywając Pana Boga swego nadaremno przy każdym kroku. Marie uśmiechnęła się do mnie i ruszyliśmy za nim.

Przeszliśmy krótką ścieżką, potem wzdłuż krytego białymi gontami frontu, aż wreszcie po sześciu szerokich schodach dostaliśmy się do jego domu. Podobnie jak w innych chatach, tak i tu podłoga znajdowała się wysoko nad ziemią. Gdy jednak znalazłem się w środku, zrozumiałem, dlaczego w przeciwieństwie do pozostałych, ten dom ma ściany. Musiał je mieć, żeby podtrzymać wielkie, zastawione książkami półki oraz gabloty, zajmujące trzy czwarte powierzchni ścian. Resztę wypełniały drzwi i okna, w których zamiast szyb wisiały tylko podnoszone żaluzje. Roztaczał się tam dziwny zapach, którego z początku nie potrafiłem określić. Podłoga wyglądała tak, jakby na ciasno zbitych belkach ułożono główne nerwy jakichś wielkich liści, pewnie palmy kokosowej. Sufitu jako takiego nie było, jedynie strome krokwie pokryte strzechą z liści palmowych. Spojrzałem na nie przeciągle, z zainteresowaniem. W rogu pokoju stało wielkie, staroświeckie biurko z wysuwanyim blatem, a pod ścianą na wprost wejścia dostrzegłem potężną kasę pancerną. Podłogę zdobiły kolorowe słomiane maty, w większości zastawione niskimi, na oko wygodnymi trzcinowymi fotelami i kanapami, obok których stały niskie podręczne stoliki. W takim pokoju można miło spędzać czas... zwłaszcza ze szklaneczką w ręku.

Stary - z powodu brody i wąsów nie potrafiłem myśleć o nim inaczej - najwyraźniej czytał w myślach.

- Siadajcie, siadajcie. Czujcie się jak u siebie w domu. Może kieliszeczek czegoś mocniejszego? Ależ tak, oczywiście, przede wszystkim musicie się napić. Dobrze wam to zrobi, bardzo dobrze. - Chwycił nieduży dzwonek i potrząsnął nim wściekle, jak gdyby chciał sprawdzić, ile wytrzyma, zanim rozsypie mu się w rękach. W końcu odłożył go i spojrzał na mnie. - Na whisky pewnie jeszcze za wcześnie, jak pan sądzi?

- Nie dziś.

- A pani, moja droga? Może kropelkę brandy? Co pani na to?

- Dziękuję. - Posłała mu uśmiech, jakim mnie nigdy nie raczyła obdarzyć. Niemal widziałem, jak starego skreca.

- To bardzo uprzejmie z pana strony.

Kompletnie zrezygnowany doszedłem do wniosku, że urywanie zdań i powtarzanie po dwakroć tego samego weszło staremu w krew, co może być ciut męczące, gdyby przyszło nam spędzić jakiś czas w jego towarzystwie, a także stwierdziłem, że jego głos jest mi

dziwnie znajomy, gdy nagle otworzyły się tylne drzwi i wszedł młody Chińczyk. Niski i chudy, miał na sobie drelichowe ubranie koloru khaki. Mięśnie policzkowe służyły mu chyba tylko do utrzymywania kamiennej miny, bo na nasz widok nawet nie mrugnął.

- A, jesteście nareszcie, Tommy. Mamy gości. Przynieś nam po szklaneczkę. Dla pani brandy, dla pana dużą whisky, a dla mnie, niech no się zastanowię... tak, ja też sobie pozwolę na małą whisky. Potem naszykuj kąpiel. Dla pani - dorzucił, choć ja też nie byłbym od tego, żeby się ogolić. - A potem śniadanie. Nie jedliście jeszcze chyba śniadania?

Zapewniłem go, że nie.

- Świetnie! To świetnie! - Nagle zauważył naszych dwóch wybawców, którzy stali na zewnątrz z kanistrami w rękach. Uniósł pytająco brwi i zerknął na mnie.

- Co to jest?

- Ubrania.

- Naprawdę? Tak, tak, rozumiem. Ubrania. - Jeśli nawet uznał, że przejawiamy osobliwy gust w doborze walizek, to wszelkie opinie zachował dla siebie. Podszedł do drzwi. - Zostawcie je tutaj, James. Obaj spisaliście się na sto dwa. Porozmawiamy później.

Patrzyłem, jak tamci dwaj uśmiechają się i odchodzą.

- To oni znają angielski? - spytałem.

- Naturalnie. Oczywiście, że tak.

- Do nas się nie odzywali.

- Hm. Nie odzywali się, powiada pan? - Szarpnął się za brodę. Buffalo Bili w każdym calu.

- A wy się do nich zwracaliście?

Zastanowiłem się, po czym przyznałem z uśmiechem:

- Nie.

- A widzi pan! Skąd mogli wiedzieć, jakiej jesteście narodowości? - Odwrócił się do Chińczyka, który właśnie wszedł z tacą, wziął szklanki i wyciągnął je do nas. - Wasze zdrowie.

Czym prędzej mruknąłem coś stosownego i pogalopowałem do szklanki niczym zdychający z pragnienia wielbłąd do najbliższej oazy. Znieważylem wyborną szkocką whisky wychylając połowę jednym haustem, lecz i tak smakowała wspaniale. Właśnie zamierzałem rozprawić się z resztą trunku, gdy stary oświadczył zniechęcająco:

- No, dość już tych uprzejmości. Skąd się tu wzięliście, słucham? Kawa na ławę.

Zatkało mnie. Przyjrzałem mu się uważnie. Czyżbym się mylił i nie był to tylko nieszkodliwy stary zrzęda? Owszem, myliłem się. Niebieskie oczy błyszczały przebiegle, a jego twarz, na ile można ją było dojrzeć, zdradzała przezorność, wręcz podejrzliwość. Ekscentryczne zachowanie niekoniecznie musi oznaczać, że komuś brak piątej klepki.

Streściłem mu wszystko pokrótce, otwarcie i szczerze.

- Lecieliśmy z żoną samolotem do Australii. Nocowaliśmy w Suva, skąd o trzeciej nad ranem porwał nas z hotelu niejaki kapitan Fleck, w towarzystwie dwóch Hindusów. Zabrali nas na swój szkuner i trzymali pod kluczem. Wczoraj wieczorem podsłuchaliśmy, że chcą nas zamordować, więc wydostaliśmy się z ładowni, w której nas zamknęli - nie zauważyli naszej ucieczki, bo noc była wyjątkowo paskudna - wyskoczyliśmy za burtę i po jakimś czasie osiedliśmy na rafie. A rano znaleźli nas pańscy ludzie.

- Mój Boże! Nieprawdopodobna historia! Nieprawdopodobna. Jeszcze przez chwilę wzywał Pana Boga i kręcił głową, po czym zerknął na mnie spod krzaczastych białych brwi. - A może by tak bardziej szczegółowo?

Powtórzyłem więc swą opowieść od początku, relacjonując wszystko, co wydarzyło się od naszego przylotu do Suva. Przez cały ten czas obserwował mnie uważnie spoza przydymionych okularów. Kiedy skończyłem, westchnął i znów pokręcił głową.

- Niewiarygodne! - oświadczył. - Wszystko to jest po prostu niewiarygodne!

- Pan to mówi poważnie?

- Co? Co takiego? A, że niby panu nie wierzę? Ależ wierzę, młody człowieku, wierzę. Tyle że wszystko to jest tak dziwaczne, tak... fantastyczne! Oczywiście, że mówi pan prawdę, bo inaczej skąd byście się tu wzięli. Ale... ale po co ten zbrodniarz, ten cały kapitan Fleck, miałby was porwać i mordować? To przecież bezsensowne... czyste wariactwo.

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Jedyne wytłumaczenie, jakie mi przychodzi do głowy, chociaż i ono jest śmieszne, ma związek z moim zawodem. Jestem naukowcem, specjalistą z zakresu technologii paliw, więc może ktoś chciał wydobyć ze mnie jakieś informacje. Choć nie wyobrażam sobie, po co. I skąd kapitan jakiegoś obskurnego szkunera wiedział, że polecimy do Australii akurat przez Fidżi... wszystko to jest kompletnie bez sensu.

- Święta racja, panie... mój Boże, wybaczone mi, nawet nie zapytałem, jak się nazywacie.

- Bentall. John Bentall. A moja żona, Marie. - Uśmiechnąłem się do niego. - Pan się nie musi przedstawiać. Właśnie sobie przypomniałem. Doktor Harold Witherspoon... a raczej profesor Witherspoon, nestor brytyjskich archeologów.

- To pan mnie zna? Rozpoznał mnie pan? - Staremu wyraźnie to pochlebiło.

- No cóż, prasa poświęca panu niemało miejsca - stwierdziłem oględnie. Zabiegi profesora Witherspoona w celu zdobycia masowej popularności były wręcz przysłowiowe. - Oglądałem też cykl pańskich wykładów w telewizji, jakiś rok temu.

Jego zadowolenie nagle się ulotniło. Stał się wyraźnie podejrzliwy. Zwęził oczy.

- Pan się interesuje archeologią, Bentall? Zna się pan na tym?

- Tak jak miliony zwykłych śmiertelników, profesorze. Słyszałem coś o jakimś egipskim grobowcu tego, no, Tutenchamona. Ale nie potrafiłbym przeliterować jego imienia. Nie wiem nawet, czy wymawiam je prawidłowo.

- Ach tak. To dobrze. Proszę mi wybaczyć, później wszystko wyjaśnię. Ale okropnie was zaniedbuję, okropnie. Pani jest wyraźnie chora. Na szczęście znam się co nieco na medycynie. Z konieczności. Rozumiecie, żyjąc z dala od świata i ludzi... - Szybko wyszedł z pokoju, wrócił z torbą lekarską, wyjął termometr, kazał Marie włożyć go do ust i ujął ją za nadgarstek.

- Proszę nie myśleć, że jestem niewdzięczny i że nie doceniam pańskiej gościnności, profesorze, ale wzywają mnie pilne sprawy zawodowe. Kiedy będziemy mogli wrócić do Suva?

- Niedługo. - Wzruszył ramionami. - Raz na sześć tygodni zawija tu kecz z Kandavu... to ze sto mil stąd na północ. Ostatnio przypląnął... zaraz, zaraz... tak, jakieś trzy tygodnie temu. A więc za następne trzy tygodnie.

A to bomba! Trzy tygodnie. Według starego to niedługo, ale oni tu na tych wyspach mieli pewnie inną skalę czasu. Patrząc na roziskrzoną lagunę i rafę koralową wcale im się zresztą nie dziwiłem. Tyle że pułkownik Raine nie byłby chyba zachwycony wiedząc, że spędzam trzy tygodnie na podziwianiu laguny. Dlatego też spytałem:

- Może przelatują tędy jakieś samoloty?

- Żadnych samolotów, statków, nic. - Potrząsnął głową i powtórzył ten gest jeszcze wielokrotnie, gdy spojrzął na termometr. - Boże święty! Trzydzieści dziewięć stopni, a puls sto dwadzieścia! Mój Boże! Pani jest ciężko chora, pani Bentall, prawdopodobnie chorowała pani już podczas odlotu z Londynu. Kąpiel, łóżko i śniadanie, w tej właśnie kolejności! - Uniósł dłoń, słysząc zdawkowe protesty Marie. - Bez dyskusji. Bez dyskusji. Może pani zająć pokój Carstairsa. „Rudy” Carstairs to mój asystent - wyjaśnił. - Leczy się teraz w Suva, zapadł na malarię. W tych stronach to częsta choroba. Spodziewam się, że wróci najbliższym statkiem. A pan, panie Bentall... pan też chyba chciałby się przespać? - Uśmiechnął się z dezaprobatą. - Śmiem twierdzić, że na tej rafie spało się wam nieszczególnie.

- Mycie, golenie i dwie godziny w fotelu na pańskiej werandzie to wszystko, czego mi potrzeba - odparłem. - Zatem samolot nie wchodzi w rachubę? A nie można by tu wynająć jakiejś łodzi?

- Jedyna łódź na wyspie należy do Jamesa i Johna. Naprawdę nazywają się inaczej, ale imiona krajowców z Kandavu nie dają się wymówić. Pracują tu na kontrakcie, jako dostawcy świeżych ryb, owoców i wszelkiej żywności. Nie zgodziliby się was zawieźć, a gdyby nawet, to i tak zabraniam. Absolutnie.

- Zbyt niebezpieczne? - Jeśli o to mu chodziło, to zgadzałem się z nim w zupełności.

- Oczywiście. I nielegalne. Władze Fidzi zabraniają pływać pomiędzy wyspami w sezonie cyklonów. Grożą za to surowe kary. Bardzo surowe. Za łamanie prawa.

- A przesłanie wiadomości drogą radiową?

- Nie mamy nadajnika. Odbiornika zresztą też nie. - Profesor uśmiechnął się. - Kiedy badam wydarzenia sprzed tysięcy lat, kontakt ze światem przeszkadza mi w najwyższym stopniu. Mam tylko gramofon na korbkę.

Wyglądał na nieszkodliwego starego piernika, toteż nie powiedziałem mu, gdzie może sobie wsadzić swój gramofon. Wypiłem następną szklaneczkę, a Marie wzięła tymczasem kąpiel. Następnie ogoliłem się, przebrałem i po pierwszorzędnym śniadaniu wyciągnąłem się w niskim trzcinowym fotelu na zacienionej werandzie.

Miałem szczerzy zamiar pogłównkować, bo dawno już powinienem wykazać choćby szczątkowe przejawy inteligencji, ale nie wziąłem pod uwagę zmęczenia, ciepła, dwóch dużych whisky na czczo i usypiającego zawodzenia wiatru, szemrzącego i świszczącego pośród rozkołysanych palm. Pomyślałem więc o wyspie. O tym, jak bardzo chciałem ją opuścić, i o tym, jak by zareagował profesor Witherspoon na wieść, że teraz musiałby mnie wyrzucić stamtąd na siłę. Myślałem też o kapitanie Flecku i profesorze, z jednakowym podziwem dla każdego z nich. Fleck zasługiwał na podziw dlatego, że był dwa razy sprytniejszy niż myślałem - to znaczy przynajmniej dwa razy sprytniejszy ode mnie. Profesor natomiast kłamał jak z nut, nie spotkałem dotychczas nikogo, kto potrafiłby tak łąać w żywe oczy. A potem zasnąłem.

Środa, 15.00 - 22.00

Znajdowałem się w samym środku działań wojennych. Nie wiedziałem, kto mnie otacza, nie potrafiłem też określić, czy jest dzień, czy noc. Ale była wojna. Co do tego nie miałem wątpliwości. Ciężka artyleria rozwinęła przed atakiem ogień zaporowy. Pozwólcie mi uciec, nie jestem bohaterem. Dla nikogo nie zamierzam robić za mięso armatnie. Poruszyłem się i chyba przewróciłem, bo w prawej ręce poczułem kłujący ból. Pewnie szrapnel, ewentualnie kula. Może jako inwalida trafię na tyły, zawsze to lepiej niż sterczeć na linii frontu. Nagle otworzyłem oczy i stwierdziłem, że wcale nie jestem na froncie. Dokonałem rzadkiego wyczynu - zleciałem z fotela i ocknąłem się na drewnianej podłodze werandy profesora Witherspoona. Wylądowałem czyściutko na prawym łokciu. Bolał mnie.

Wszystko to mi się śniło, z wyjątkiem wybuchów i trzęsienia ziemi. Gdy wreszcie się pobierałem, ściskając ramię, by nie skakać jak oparzony, usłyszałem kolejne dwie, stłumione, dochodzące z oddali detonacje, po których weranda zadrżała gwałtownie. Zanim odgadłem źródło pochodzenia tych dźwięków, ujrzałem profesora Witherspoona. Z zatroskaną miną stał w drzwiach prowadzących z domu na werandę. A ściślej to głos miał zatroskany, wobec czego przyjąłem, że i jego twarz, ukryta w gęstwinie włosów, wyraża to samo.

- Coś podobnego! No coś podobnego! - Rzucił się ku mnie z szeroko rozpostartymi rękami, jak gdyby w każdej chwili mógł się wykopyrtnąć. - Usłyszałem odgłos upadku. Do diaska, ale huknęło! Pewnie się pan potłukł. Co się stało?

- Zleciałem z fotela - wyjaśniłem cierpliwie. - Śniło mi się, że walczę na Drugim Froncie. Nerwy.

- Mój ty Boże, mój ty Boże jedyny! - Krzątał się i dreptał w kółko bez sensu. - Czy... czy bardzo pan ucierpiał?

- Tylko moja duma. - Delikatnie obmacałem łokieć. - Nic nie złamałem. To zdrtwienie. Skąd ten piekielny hałas?

- Uff! - Odetchnął z ulgą. - Przypuszczałem, że to pana zainteresuje. Zaraz panu pokażę... pomyślałem sobie, że i tak będzie pan się chciał rozejrzeć po okolicy. - Spojrzał na mnie filuternie. - Jak minęła dwugodzinna drzemka?

- Z wyjątkiem przebudzenia, całkiem przyjemnie.

- Spał pan bite sześć godzin, panie Bentall.

Rzuciłem okiem na zegarek i na słońce, które już dawno minęło zenit, i zrozumiałem, że profesor mówi prawdę. Nie widziałem jednak powodu, żeby się nad tym rozwodzić, dlatego też odparłem uprzejmie:

- Mam nadzieję, że nie sprawiłem panu kłopotu? Pewnie wolałby pan się zająć pracą, zamiast siedzieć tu i czuwać nade mną?

- Żaden kłopot, naprawdę żaden. Tutaj obywam się bez zegara, młody człowieku. Pracuję wtedy, kiedy nam na to ochotę. Zje pan coś?

- Nie, dziękuję.

- To może się pan napije, zanim wyruszymy? Mam piwo z Hongkongu. Znakomite. I zimne. Co pan na to?

- Przednia myśl, profesorze.

Piwo istotnie okazało się tak dobre, jak obiecywał. Wypiliśmy je w znanym mi już salonie, gdzie obejrzałem niektóre eksponaty wystawione w oszklonych gablotach. Dla mnie stanowiły jedynie nudną kolekcję kości, skamielin i muszli, kamiennych tłuczków i mózdzierzy, szczątków zwęglonego drewna, glinianych naczyń oraz kamieni o dziwacznych kształtach. Bez najmniejszego trudu udało mi się nie okazać ciekawości, co się o tyle dobrze

składało, że profesor z wyraźną podejrzliwością traktował każdego, kto przejawiał jakiegokolwiek zainteresowanie archeologią. Chyba jednak zmienił front, bo widząc, że się rozglądam, rzucił z entuzjazmem:

- Wspaniałe okazy, prawda? Wspaniałe!

- Nie jest to, niestety, moja specjalność - mruknąłem na usprawiedliwienie. - Nie znam się...

- Oczywiście, oczywiście! Nikt tego od pana nie wymaga. - Podeszedł do biurka i podał mi plik gazet i czasopism, które wyciągnął ze środkowej szuflady. - To panu wszystko wyjaśni.

Szybko przekartkowałem gazety. Prawie wszystkie nosiły datę sprzed pół roku. Z ośmiu dzienników - pięciu wydawanych w Londynie, o zasięgu ogólnokrajowym, i trzech wysokonakładowych amerykańskich - aż siedem poświęciło profesorowi czołówki na pierwszych stronach. Najwyraźniej stary Witherspoon był bohaterem dnia. Większość nagłówek trąbiła o „archeologicznej sensacji stulecia”, bijącej na głowę grobowiec Tutenchamona, Troję czy papirusy z rejonu Morza Martwego, a choć odkrycia ostatnich lat zazwyczaj wysławiano pod niebiosa, to w tym wypadku nie było to tak całkiem bezpodstawne. Dotychczas Oceania stanowiła białą plamę na mapie badań archeologicznych, teraz jednak profesor Witherspoon utrzymywał, że leżąca na południe od Fidżi wyspa Yardu dostarczyła mu niezbitych dowodów na migrację mieszkańców Polinezji z południowo-wschodniej Azji oraz na istnienie tamże prymitywnych form cywilizacji już pięć tysięcy lat przed naszą erą, czyli około pięć tysięcy lat wcześniej niż sądzono. Trzy czasopisma relacjonowały obszernie tę historię, jedno zaś zamieściło wielkie zdjęcie profesora, stojącego w towarzystwie „Rudego” Carstairsa na czymś, co przypominało pękniętą płytę chodnikową, a co podpis pod fotografią określał jako fragment grobowca. Doktor Carstairs był imponującym mężczyzną. Mierzył dobre sześć i pół stopy wzrostu, a do tego nosił ognistorude sumiaste wąsy, godne herosa.

- Niestety, umknęło to mojej uwagi - rzekłem. - Przebywałem wówczas na Bliskim Wschodzie, odcięty od świata i ludzi. Ta historia niewątpliwie narobiła sporo szumu.

- To był szczytowy moment w moim życiu – wyznał szczerze Witherspoon.

- Nie wątpię. Dlaczego ostatnio nic o tym nie słyszałem?

- Od tamtej pory w prasie nic się na ten temat nie ukazało i nie ukaże, dopóki nie zakończę tu swoich badań - odparł ponuro. - Moje pierwsze oświadczenie wywołało taką wrzawę, że popełniłem głupstwo i umożliwiłem przyjazd na wyspę przedstawicielom agencji prasowych, gazet i czasopism. Wynajęli specjalny statek w Suva. Opadli mnie jak szarańcza... mówię panu, jak szarańcza! Wszędzie wściubiali nos, przeszkadzali, węszyli... zaprzepaścili wiele tygodni mojej ciężkiej pracy. Byłem bezbronny, zupełnie bezbronny! - Jego gniew się spotęgował. - Nie brakowało wśród nich nawet szpiegów.

- Szpiegów? Wybacz pan...

- Mówię o konkurencji. Chcieli mnie pozbawić rozgłosu. - W jego przekonaniu była to pewnie najcięższa zbrodnia. - Próbowali mi ukraść także inne rzeczy... jedno z najcenniejszych znalezisk na Pacyfiku. Nigdy nie ufaj innym archeologom, mój drogi - przestrzegł z goryczą. - Nigdy.

Obiecałem mu to solennie.

- Jeden z nich miał nawet czelność przyplnąć tu jachtem, ze dwa miesiące temu. Amerykański milioner, który pasjonuje się archeologią. Chciał zgarnąć cały zaszczyt dla siebie. Ten impertynent śmiał twierdzić, że zabłądził na morzu! Nigdy nie ufaj archeologom. Wyrzuciłem go stąd. Dlatego właśnie byłem wobec pana taki podejrzliwy. Skąd mogłem tak od razu wiedzieć, że nie jest pan reporterem?

- Doskonale pana rozumiem, profesorze – uspokoilem go.

- Za to teraz mam za sobą władze - podjął triumfalnie. - Ta wyspa stanowi, rzecz jasna, terytorium brytyjskie. Dopóki nie skończę, nikt nie ma tu prawa wstępu. – Dopił piwo. - No, ale nie chciałbym zwracać panu głowy swoimi kłopotami. To jak, przejdziemy się?

- Z przyjemnością. Zjrzę tylko na chwilę do żony.

- Naturalnie, naturalnie. Zna pan drogę.

Gdy otworzyłem skrzypiące drzwi, Marie drgnęła, odwróciła się i spojrzała na mnie sennie. Spała jej się chyba dosyć wygodnie, mimo iż samo łóżko było straszliwie prymitywne - ot, sprężyny rozpięte na drewnianej ramie.

- Przepraszam, jeśli cię obudziłem. Jak się czujesz?

- Nie obudziłeś mnie. A czuję się dziesięć razy lepiej. - Też mi się tak zdawało, nie widziałem już sińców pod jej oczami ani krwistych wypieków na policzkach. Przeciągnęła się zmysłowo. - Żadna siła mnie stąd nie ruszy co najmniej przez parę godzin. On jest bardzo uprzejmy, nie sądzisz?

- Nie mogliśmy trafić w lepsze ręce - przyznałem, nie starając się ściszyć głosu. - Najlepiej zrobisz, jeśli znowu zaśniesz, kochanie.

Ostatnie słowo sprawiło, że zamrugła, ale puściła to mimo uszu.

- Nic łatwiejszego. A ty?

- Profesor Witherspoon oprowadzi mnie po okolicy. Zdaje się, że dokonał tu epokowego odkrycia. Zapowiada się to interesująco. - Dorzuciłem jeszcze parę banałów, by w przekonaniu starego wypadło to jak czułe pożegnanie, i wyszedłem.

Profesor czekał na werandzie, uzbrojony w tropikalny kask i trzcinkę. Wypisz, wymaluj, brytyjski archeolog. Był doskonały w każdym calu.

- Tam mieszka Hewell. - Wskazał mi trzcinką sąsiednią chatę. - To mój nadzorca. Amerykanin. Ma się rozumieć, nieokrzesaniec - ton jego głosu sugerował, że pozostałe sto osiemdziesiąt milionów obywateli Stanów Zjednoczonych zalicza się do tej samej kategorii - ale fachowy. O tak, to prawdziwy fachowiec. Dalej stoi mój dom gościnny. Jest kompletnie wyposażony, choć nie używany. Na pierwszy rzut oka hulają tam przeciągi - stary nic nie przesadzał, chałupa składała się tylko z podłogi, dachu i czterech narożnych słupów - ale to bardzo wygodne mieszkanie. Przystosowane do tutejszego klimatu. Trzciniowa zasłona dzieli je na dwie części, a wszystkie ściany, ze splecionych liści palmy kokosowej, można opuścić do samej podłogi. Kuchnia i łazienka znajdują się na tyłach... w tego typu domu nie ma na nie miejsca. W następnej chacie, tej dłuższej, mieszkają robotnicy... kopacze.

- A ten koszmarek? - Ruchem głowy wskazałem konstrukcję z blachy falistej. - Kosz młyński czy kruszarnia?

- Ciepło, mój drogi, ciepło. Wygląda upiornie, prawda? Należy - a raczej należała - do Brytyjskiej Spółki Fosforytowej. To ich kruszarnia. Za nią widać suszarnię... to ten barak z płaskim dachem. Wyjechali stąd blisko rok temu - ciągnął zataczając trzcinką półkole w powietrzu - ale ten przekłety szary pył nadal tu wszędzie zalega. Wyniszczył prawie całą roślinność z tej strony wyspy. Zgroza!

- Niezbyt przyjemny widok - przyznałem. - A co ma do roboty brytyjska firma w tym zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku świata?

- Niezupełnie brytyjska. Międzynarodowa, choć prowadzona głównie przez Nowozelandczyków. Naturalnie, zajmowali się kopaniem. Fosforanów wapniowych. Przed rokiem wydobywali po tysiąc ton dziennie. To cenny surowiec. - Zerknął na mnie chytrze. - Zna się pan na geologii?

Zaprzeczyłem, bo profesor najwyraźniej podejrzewał każdego, kto miał choćby blade pojęcie na jakikolwiek temat.

- Ba, kto dziś się na tym wyznaje? - rzucił tajemniczo. - Ale przedstawię panu obraz sytuacji. Otóż musi pan sobie uświadomić, że wyspa ta przypuszczalnie spoczywała niegdyś na dnie morza... niezbyt płytko, zważywszy, że dno leży tu na głębokości około trzech mil. Pewnego dnia - oczywiście w kategoriach geologicznych, bo trwało to pewnie miliony lat - dno się wynurzyło. Albo na skutek wypiętrzenia, albo działalności wulkanicznej, połączonej

z nieprzerwanym wyciekami lawy. Kto wie? – Odchrząknął z dezaprobatą. - Ci, którzy orientują się co nieco w tej materii, unikają dogmatycznych stwierdzeń. - Z jego tonu wywnioskowałem, że skoro on zaledwie się w tym orientuje, to każdego, kto przyznaje się do znajomości tego zagadnienia, należy uznać za wierutnego kłamcę. - W każdym razie z czasem utworzyła się ta wielka podwodna góra, jeszcze całkowicie zanurzona, ale nie głębiej niż na sto dwadzieścia stóp.

Zerknął na mnie wyczekująco. Nie sprawiłem mu zawodu i zadałem oczywiste pytanie:

- Skąd ta pewność, skoro od tamtej pory upłynęły miliony lat?
- Stąd, że jest to wyspa koralowa - wyjaśnił triumfalnie. - Polipy tworzące rafę koralową muszą żyć w wodzie, ale giną na głębokości przekraczającej sto dwadzieścia stóp. A więc minęły lata...

- Kolejny milion?

- Coś koło tego. W momencie wypiętrzenia rozciągała się tu pewnie płytka rafa koralowa. Wydarzenie to zbiegło się w czasie z powstaniem ptaków, dla których wyspa ta, podobnie jak wiele innych na Pacyfiku, stanowiła swego rodzaju azyl. W rezultacie utworzyła się tu warstwa guano o grubości mniej więcej pięćdziesięciu stóp. Miliony, setki milionów ton. Aż wreszcie wyspa ze swoimi koralowcami i guaniem zanurzyła się i z powrotem opadła na dno.

Szkoda gadać, burzliwą historię miała ta wysepka.

- Po pewnym czasie znów się wynurzyła – ciągnął profesor. - Tymczasem jednak w wyniku działania osadów morskich i słonej wody guano przekształciło się w bogate złożone fosforanu wapnia. Później nastąpił powolny, czasochłonny proces tworzenia się gleby, na której wyrosła następnie trawa, krzewy, drzewa... prawdziwy tropikalny raj. Aż wreszcie pod koniec epoki lodowcowej morscy piraci z południowo-wschodniej Azji przybyli tutaj i osiedlili się na tej sielskiej wyspie.

- Dlaczego więc ją opuścili, skoro mieli tu taką sielankę?

- Ależ nic podobnego! Nie opuścili jej, z tego samego zresztą powodu, z jakiego dopiero niedawno odkryto owe słynne pokłady fosforanów wapnia, mimo iż większość złóż na Pacyfiku eksploatowano już w końcu ubiegłego wieku. Znajdujemy się w strefie silnej aktywności wulkanicznej, panie Bentall... niektóre wulkany w sąsiedztwie archipelagu Tonga są czynne po dziś dzień. W ciągu kilku godzin podmorska eksplozja gigantycznego wulkanu zatopiła połowę tej wyspy, zalewając lawą pozostałą jej część... a więc koralowce, fosforany, roślinność oraz pechowców, którzy tu mieszkali. Wybuch wulkanu, który w siedemdziesiątym dziewiątym roku naszej ery zniszczył Pompeje, był niczym w porównaniu z tym, co się tu wydarzyło - zakończył Witherspoon lekceważąco.

Ruchem głowy wskazałem wznoszącą się za nami stromą górę.

- To ten wulkan?

- Właśnie.

- A gdzie się podziała jego druga połowa?

- Wypiętrzeniu towarzyszył prawdopodobnie uskok dna. Pewnej nocy wulkan po prostu przełamał się na pół i jedna część zniknęła w morzu, a z nią rafa koralowa, która utworzyła się od północy. Jak pan widzi, laguna jest tu otwarta.

Maszerował dziarskim krokiem, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z faktu, że mieszka w szemranej okolicy, gdzie wszystko zależy od kaprysów kataklizmów geologicznych. Prowadził mnie łagodnym stokiem pod górę. Niecałe trzysta jardów od kruszarni wyszliśmy nagle na rozpadlinę w zboczu. Wysoka w przybliżeniu na siedemdziesiąt stóp i szeroka na trzydzieści, pionowa z boku i z tyłu, miała płaskie, poziome dno biegnące do okrągłej dziury w stoku. Wychodziły stamtąd szyny kolejki wąskotorowej, które za rozpadliną skręcały na południe, ginąc z widoku. Przed wejściem stało kilka małych baraków. Z jednego dobiegało dudnienie. Zbliżając się, słyszałem coraz wyraźniej. Prądnice benzynowe. Wcześniej na to nie wpadłem, choć było oczywiste, że prowadząc badania wnętrza góry profesor i jego asystenci

nie mogą się obejść bez oświetlenia i wentylacji, a zatem muszą sobie zapewnić dopływ prądu.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył Witherspoon. - Właśnie tutaj jakiś ciekawski, a zarazem inteligentny poszukiwacz ze spółki fosforytowej zauważył dziwną rozpadlinę, rozgrzebał górną warstwę gleby i na głębokości trzech stóp dokopał się fosforanów. Bóg jeden wie, ile milionów ton skały stąd usunęli... zostawili górę dziurawą jak rzeszoto. Kończyli już tutaj swoją działalność, gdy ktoś znalazł kilka glinianych naczyń i dziwnych kamieni. Pokazał je pewnemu archeologowi z Wellington, który przesłał mi je natychmiast. - Profesor odchrząknął skromnie. - Reszta to już historia.

Wszedłem za twórcą historii w kręty, poziomy korytarz, wiodący do okrągłej groty w skale. Była to gigantyczna pieczara, podparta betonowymi kolumnami. Pośrodku miała dobre czterdzieści stóp wysokości i ze dwadzieścia przy ścianach, a jej średnica wynosiła jak nie dwieście stóp. Nieliczne lampki elektryczne, przymocowane do filarów na wysokości dziesięciu stóp, wydobywały z mroku bladą szarą skałę, podkreślając niesamowitą, ponurą atmosferę. Było to oświetlenie w najlepszym wypadku symboliczne. Z jaskini wychodziło pięć wykutych w równych odstępach tuneli. Do każdego z nich prowadziły tory kolejowe.

- I co pan na to, panie Bentall?

- Całkiem jak rzymskie katakumby - odparłem. - Tyle że tam jest weselej.

- To wybitne osiągnięcie w zakresie górnictwa - zganił mnie profesor surowo. Nie miał poczucia humoru na temat rzeczy najbliższych jego sercu, to znaczy tych wilgotnych i ponurych dziur w ziemi. - Praca w wapieniu i tak nie jest łatwa, a jeśli w dodatku trzeba podtrzymać gruby pokład lawy i połowę wulkanu, wówczas jeszcze bardziej się to komplikuje. Dookoła pełno tu podobnych jaskiń, połączonych tunelami. Układ sześciokątny. Takie sklepienie sufitów są najbardziej wytrzymałe, ale ich wielkość ma swoje granice. Spółka fosforytowa wydobyła zaledwie jedną trzecią złoża wapienia, zanim stemplowanie sufitów przestało im się opłacać.

- Czy wobec tego wysadzanie skały nie jest zbyt niebezpieczne? - spytałem z nadzieją, że okazując zainteresowanie, odkupię swoje winy.

- No... tak, owszem - przyznałem w zamyśleniu. - Ale należy podjąć takie ryzyko. Więcej, musimy je podjąć. W interesie nauki. Chodźmy, pokażę panu, gdzie dokonaliśmy pierwszego odkrycia.

Ruszył na drugą stronę jaskini i zagłębił się w tunelu na wprost tego, którym weszliśmy, żwawo przeskakując podkłady kolejowe. Dwadzieścia jardów dalej otworzyła się przed nami następna grotta, pod względem rozmiarów i liczby tuneli bliźniaczo podobna do pierwszej. Za całe oświetlenie służyła tu samotna lampa zawieszona na kablu zasilającym, który biegł przez całą pieczarę i zniknął po drugiej stronie, lecz wystarczyła mi, by dostrzec, że dwa tunele po lewej są zastawione wielkimi drewnianymi kłocami.

- Co tu się stało, profesorze? Zawał?

- Niestety, tak. - Potrząsnął głową. - Jednocześnie zawały się dwa tunele, a jaskinie, do których prowadziły, zostały częściowo zasypane. Trzeba było podeprzeć stemplami wejście do każdego z nich, żeby zawał nie zniszczył i tej sali. Oczywiście, ja tu wtedy jeszcze nie pracowałem. Zdaje się, że w prawej z tych grot zginęło trzech robotników... ledwie zaczęli tam drażyć. Smutna historia, bardzo smutna. - Przez dłuższą chwilę milczał, pokazując, jak bardzo mu smutno z tego powodu, po czym oświadczył wesoło: - A oto i historyczne miejsce.

Była to głęboka na pięć stóp wnęka w ścianie po prawej stronie tunelu, którym weszliśmy. Wnęka jak wnęka, mnie się wydawała całkiem zwyczajna, za to Witherspoon zachowywał się niczym kapłan celebrujący mszę w swej świątyni.

- Tu właśnie rozwikłano zagadkę Polinezji i jej mieszkańców - oświadczył z nabożeństwem.

- To tutaj znaleźliśmy pierwsze kamienne siekiery, moździerze i tłuczki, co doprowadziło do

największego odkrycia archeologicznego naszych czasów. Nie daje to panu do myślenia, panie Bentall?

- I owszem. - Nie sprecyzowałem jednak charakteru moich myśli. Dźwignąłem natomiast wielki kamień, wilgotny i śliski w dotyku. - Miękka ta skała – zauważyłem ze zdziwieniem. - Zamiast ją wysadzać, równie dobrze można by ją kruszyć młotami pneumatycznymi.

- Święta prawda, mój drogi, święta prawda. Ale drażnienie bazaltu świdrem i przerzucanie łopatą to jakby co innego, nie sądzisz? - odparł jowialnie.

- Wyleciało mi to z pamięci. Wypływająca lava oczywiście wszystko zalała. Jakie przedmioty znajduje pan w bazalcie... naczynia gliniane, kamienne narzędzia, siekiery i tak dalej?

- I wiele, wiele innych - stwierdził kiwając głową. Po chwili wahania dorzucił: - Szczerze mówiąc, w przeciwieństwie do przeciętnego sklepikarza ja trzymam na wystawie tylko najgorszy towar. Ekspozyty, które pan widział w moim salonie, to tylko błyskotki bez większego znaczenia. Mam tu kilka kryjówek - oczywiście ich panu nie zdradzę, ani mi się śni - gdzie trzymam fantastyczne zbiory polinezyjskich zabytków neolitycznych, które zadziwią naukowców na całym świecie. Zadziwią!

Ruszył dalej, tym jednak razem nie skierował się wzdłuż kabla do odległych światełek w tunelu naprzeciwko, lecz zapalił latarkę i wszedł w pierwszy tunel po prawej, wskazując mi rozmaite miejsca, gdzie odkryto owe polinezyjskie zabytki.

- A tutaj wykopaliśmy zapewne najstarszy drewniany dom na świecie - rzekł, przystając przed wielką dziurą w skale. - Zachowany w doskonałym stanie.

- Ile miał lat?

- Jakies siedem tysięcy - odparł szybko. - Van Duprez z Amsterdamu, który przyjechał tu z tymi dziennikarzami, twierdził, że ma zaledwie cztery tysiące, ale to oczywiście dureń.

- Na jakiej podstawie ocenia pan wiek takich znalezisk? - spytałem ciekawie.

- Wiedzy i doświadczenia - stwierdził sucho. - Van Duprez, mimo całej swej rozdętej reputacji, nie ma ani jednego, ani drugiego. To dureń, powiadam.

- Uhm - mruknąłem niezobowiązująco. Z przestrachem spojrzałem na trzecią salę, która otworzyła się przed nami. - Głęboko tu?

- Jakies sto stóp, może sto dwadzieścia. Wie pan, wdzieramy się w zbocze góry. A co, zdenerwowany?

- Jasne, że tak. Nie sądziłem, że wy, archeolodzy, pracujecie tak głęboko i że możecie odkryć ślady dawnych cywilizacji na takich głębokościach. To pewnie rekord, co?

- Prawie, prawie - przyznał z samozadowoleniem. - Chociaż w dolinie Nilu i w Troi także schodzili głęboko. - Zaprowadził mnie przez trzecią salę do tunelu oświetlonego rzadko rozszanymi lampami zasilanymi na baterie. - Powinniśmy tu zastać Hewella i jego ludzi. - Spojrzał na zegarek. - Wkrótce będą się chyba zbierać. Kopia tu od rana.

Gdy dotarliśmy do miejsca, gdzie tunel wpadał do świeżo rozpoczętej czwartej jaskini, jeszcze pracowali. Było ich w sumie dziewięciu. Jedni za pomocą łomów i kilofów podważali bryły wapienia i przerzucali je na kupę gruzu przed sobą, inni ładowali gruz na ogumione taczki, natomiast kawał chłopa w drelichowych spodniach i podkoszulku uważnie oglądał każdy odłamek w świetle silnej latarki.

Było na co popatrzeć. Brygadę robotników tworzyli sami Chińczycy. Wysokim wzrostem i potężną budową ciała zdecydowanie wyróżniali się spośród przedstawicieli swej rasy. Miałem wrażenie, że nigdy nie widziałem równie twardych, brutalnych ludzi, choć mogło mi się to tylko zdawać - w mizernym świetle padającym na spocone, zakurzone twarze każdy wyglądałby nienaturalnie.

Nie miałem natomiast złudzeń co do brygadzysty, który oderwał się od badania skały i wyszedł nam na spotkanie. Z całą pewnością był to najtwardszy i najbardziej brutalny facet, jakiego mi się zdarzyło oglądać. Niebywale szerokie bary sprawiały, że mimo dobrych

sześciu stóp i trzech cali wzrostu wyglądał jak karzeł. Jego potężne ramiona kończyły się pięciopalczastymi, sięgającymi kolan łopatami, a twarz sprawiała wrażenie, jak gdyby wyszła spod ręki rzeźbiarza, który za punkt honoru postawił sobie maksymalny pośpiech przy pracy. Trudno byłoby doszukać się na niej jakichkolwiek krzywizn - niczym wykuta w granicie, składała się wyłącznie z interesujących w swej prostocie płaszczyzn, na widok których staruszkowie kubiści podskoczyliby z radości. Facet miał brodę jak koparka, rozplataną dziurę w miejscu ust, olbrzymi dziób w charakterze nosa oraz zimne, czarne oczy, cofnięte głęboko pod obwisłe, nastroszone brwi, co nieodparcie przywodziło na myśl dzikiego zwierza wyglądającego z mroków swojej nory. Boki twarzy - bo nie sposób określić ich mianem policzków - a także jego czoło łąbiła gęsta siatka zmarszczek, niczym na starożytnym pergaminie. Rola amanta w komedii muzycznej nie przypadłaby mu chyba do gustu.

Profesor Witherspoon dokonał prezentacji.

- Miło mi pana poznać, Bentall! - ryknął Hewell, podając mi dłoń. Głęboki, dobiegający jakby z czeluści głos doskonale pasował do jego postury i profesji. Radość olbrzyma z naszego spotkania była podobna do tej, jaką w tych stronach przeżywano sto lat temu, gdy wódz kanibali witał kolejnego smakowitego misjonarza, który właśnie przybył na wyspę. Kiedy gigantyczne łapsko zacisnęło się na mojej dłoni, napiąłem mięśnie, lecz goryl był zadziwiająco delikatny. Poczulem się jak przekreślony przez wyżymaczkę, gdy jednak oddał mi dłoń z powrotem, wszystkie palce miałem na swoim miejscu, może ciut pogniecione, ale w komplecie.

- Dowiedziałem się o panu dziś rano - zadudnił. Mówił z akcentem kanadyjskim albo amerykańskim, typowym dla północno-zachodnich stanów, nie byłem pewien. - Słyszałem też, że pańska żona nietęgo się czuje. To przez te wyspy. Na wyspach wszystko może się zdarzyć. Miał pan pewnie okropne przejścia.

Przez chwilę gawędziliśmy o moich okropnych przejściach, po czym spytałem go z zaciekawieniem:

- Musieliście chyba zwiedzić ładny kawałek świata, żeby znaleźć siłę roboczą do tej pracy?

- O tak, mój drogi, o tak - odpowiedział zamiast niego Witherspoon. - Hindusi są do niczego... ospali, oporni, podejrzliwi, fizycznie słabi. Co innego krajowcy z Fidzi, tyle że oni już na samą myśl o pracy dostaliby ataku serca. Podobnie z białymi, którzy byli w zasięgu ręki... sztuka w sztukę wałkonie i obiboki. Ale Chińczycy to zupełnie inna para kaloszy.

- Nigdy nie miałem lepszych robotników - potwierdził Hewell. Zdawało się, że mówiąc nie otwiera ust. - W układaniu torów i drażeniu tuneli są nie do pobicia. Bez nich nie zbudowałbym kolei zachodnich w Ameryce, żeby nie wiem co.

Mruknąłem coś stosownego i rozejrzałem się.

- Czego pan szuka, Bentall? - rzucił ostro Witherspoon.

- Zabytków, ma się rozumieć - odparłem z właściwą dozą zdziwienia. - Chętnie bym zobaczył, jak się takie coś wyciąga ze skały.

- To już nie dzisiaj - wtrącił Hewell tubalnie. - Mamy fart, jak znajdziemy coś raz na tydzień. No nie, profesorze?

- Jak dobrze pójdzie - przytaknął Witherspoon. - No Hewell, nie zatrzymuję cię, nie zatrzymuję. Przyprowadziłem tu Bentalla, żeby na własne oczy zobaczył, skąd ten hałas. Spotkamy się na kolacji.

Wyprowadził mnie z kopalni na słońce i ruszyliśmy z powrotem. Przez całą drogę usta mu się nie zamykały, lecz nie zwracałem na to uwagi - usłyszałem już i zobaczyłem wszystko, co chciałem. W domu rozstał się ze mną pod pretekstem, że musi pracować, wobec czego zajrzałem do Marie. Siedziała na łóżku z książką w ręku. Na mój gust nic już jej nie dolegało.

- Zdaje się, że miałaś spać? - rzekłem.

- Powiedziałam tylko, że żadna siła mnie stąd nie ruszy, a to dwie różne rzeczy. - Opadła z rozkoszą na poduszkę. - Jest ciepło, wieje rześki wietrzyk, szumią palmy, fale biją o brzeg, a przed oknem rozciągają się niebieskie wody laguny i biały piasek. Cudownie, prawda?

- Jasne. Co ty tam czytasz?

- Książkę o Fidzi. Bardzo ciekawa. - Wskazała stos innych książek na podręcznym stoliku. - Niektóre też są o Fidzi, inne o archeologii. Przyniósł mi je Tommy, ten Chińczyk. Ty też powinieneś je przeczytać.

- Później. Jak się czujesz?

- Nie umierałam z niecierpliwości, żeby mnie o to zapytać.

Łypnęłam na nią srogo, a jednocześnie skinąłem głową za siebie. Szybko się połapała w czym rzecz.

- Przepraszam, kochany. - Impulsywny krzyk był przedniej marki. - Nie powinnam tak mówić. Dużo lepiej. Czuję się dużo lepiej. Jak nowo narodzona. Przyjemny był spacer? - I ten banał, podobnie jak szloch, był pierwszej klasy.

Opowieść o przyjemnym spacerze przerwało mi nieśmiałe pukanie do drzwi, chrząknięcie i wszedł Witherspoon. Według mnie stał za progiem od jakichś trzech minut. Za nim ujrzałem brązowe sylwetki dwóch tubylców z Fidzi - Johna i Jamesa.

- Dobry wieczór, pani Bentall, dobry wieczór. Jak zdrowie? Lepiej, prawda, że dużo lepiej? Widać to na pierwszy rzut oka. - Omiótł wzrokiem książki na stoliku, zawahał się i zmarszczył brwi. - Skąd pani je wzięła?

- Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego, profesorze - odparła z niepokojem. - Poprosiłam Tommy'ego o coś do czytania, na co przyniósł mi te książki. Właśnie zabrałam się za pierwszą i...

- To rzadkie i cenne wydania - przerwał jej z rozdrażnieniem. - Bardzo, bardzo rzadkie. My, archeolodzy, nie pożyczamy prywatnych księgozbiorów. Tommy nie miał prawa... no trudno, stało się. Mam duży wybór powieści, kryminałów... co tylko pani sobie zażyczy. - Uśmiechnął się, wielkodusznie puszczając incydent w niepamięć. - Przynoszę wam dobre wieści. Na czas pobytu na wyspie dostaniecie dla siebie mój domek gościnny. John i James sprząтали go prawie cały dzień.

- Ależ, profesorze! - Marie wyciągnęła ręce i chwyciła jego dłoń. - To bardzo miło z pańskiej strony. Pan jest dla nas taki uprzejmy... stanowczo zbyt uprzejmy

- Drobiazg, moja droga, nie ma o czym mówić. - Poklepał jej dłoń i przytrzymał ją dłużej niż to było konieczne. Dziesięć razy dłużej. - Pomyślałem, że pewnie wolelibyście mieszkać tylko we dwoje. Przypuszczam, że jesteście małżeństwem od niedawna. - Mówiąc to, zmrużył na wpół przymknięte oczy. Wziąłem to za grymas bólu spowodowany niestrawnością, nie była to jednak niestrawność, lecz - w założeniu - szelmowskie mrugnięcie. - Proszę mi powiedzieć, pani Bentall, czy czuje się pani na siłach sięść z nami do kolacji?

Miała koci refleks. Zauważyła moje ledwie dostrzegalne skinienie głową, choć na pozór patrzyła w zupełnie innym kierunku.

- Niestety, profesorze, przykro mi. - Połączyć promienny uśmiech z tonem głębokiego żalu to sztuka co się zowie, ale nie dla niej. - Niczego bardziej nie pragnę, ale wciąż jeszcze jestem taka słaba. Jeśli można, chętnie zostałabym do rana...

- Ależ oczywiście, oczywiście. Nie należy się forsować podczas rekonwalescencji. - Omal znów jej nie chwycił za rękę, na szczęście jednak się rozmyślił. - Przyślemy pani tacę. A panią przeniesiemy. Nie musi pani nawet kiwnąć małym palcem.

Na jego znak dwaj krajowcy porwali łóżko z obu stron i unieśli, co było o tyle łatwe, że samo posłanie ważyło góra trzydzieści funtów. Chiński służący przyszedł po nasze ubrania, profesor ruszył przodem, a mnie nie pozostało nic innego, jak ująć Marie za rękę. Podczas przeprowadzki do sąsiedniej chaty nachyliłem się nad nią troskliwie i szepnąłem:

- Poproś go o latarkę.

Nie wyjaśniłem, dlaczego ma tak zrobić, a to z tego prostego powodu, że sam nie wiedziałem. Ale poradziła sobie wspaniale. Kiedy profesor odesłał tragarzy i zaczął się rozwodzić nad konstrukcją domu, zbudowanego z dwóch gatunków drzew - pandanu i palmy kokosowej – przerwała mu nieśmiało:

- Czy... czy jest tu łazienka, profesorze?

- Ależ oczywiście, moja droga, oczywiście. Cóż za niedbalstwo z mojej strony. Trzeba tylko zejść po schodkach, to pierwsza z tych małych chatek po lewej. Sąsiaduje z kuchnią. Z oczywistych powodów w tego typu domach nie można używać wody i ognia.

- Naturalnie. Ale... ale czy w nocy nie jest tu za ciemno? Chodzi mi o to...

- Boże, miej mnie w swojej opiece! Cóż pani sobie o mnie pomyśli? Latarka, oczywiście, dostaniecie latarkę. Zaraz po kolacji. - Rzucił okiem na zegarek. – Oczekuję pana za pół godziny, Bentall. - Wydukał jeszcze parę frazesów, posłał Marie głupawy uśmiech i oddalił się żwawo.

Zachodzące słońce skryło się już za zboczem góry, lecz upalny skwar nadal wisiał w powietrzu. Mimo to Marie zadrżała i podciągnęła koc pod szyję.

- Czy nie zechciałbyś opuścić tych ścian - powiedziała. - Te pasaty wcale nie są takie ciepłe, jak wieść niesie. Przynajmniej po zmroku.

- Opuścić ściany? Żeby z drugiej strony przykleiło się zaraz z dziesięć par uszu?

- Ty... ty naprawdę tak myślisz? - spytała powoli. - Masz przecucie, że coś tu nie gra? Podejrzewasz profesora?

- Etap przecuć i podejrzeń mam już dawno za sobą. Wiem na sto procent, że coś tu śmierdzi. Wiedziałem o tym od samego początku. - Przysunąłem krzesło do łóżka i ująłem Marie za rękę. Sto do jednego, że mieliśmy uważne audytorium, którego nie chciałem rozczarować. - Co z tobą? Znowu prorocze sny, kobieca intuicja czy może nareszcie fakty?

- Nie bądź złośliwy - odparła spokojnie. – Przeprosiłam cię już za swoje głupie zachowanie... sam mówiłeś, że to z powodu gorączki. Ta intuicja, czy przecucie, to coś zupełnie innego. Idealna wyspa, uśmiechnięci krajowcy, wspaniały chiński służyący, hollywoodzki wizerunek angielskiego archeologa... wszystko to jest zbyt sielankowe, zbyt doskonale. Przypomina staranny kamuflaż. Zupełnie jak z bajki, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Chodzi ci o to, że czułabyś się lepiej widząc, jak profesor miota się, ryczy i klnie jak szewc, a pod werandą jakiś pijaczyna pociąga whisky z butelki.

- Mniej więcej.

- Słyszałem, że południowy Pacyfik często tak działa na ludzi, którzy trafili tam po raz pierwszy. Myślę o poczuciu nierzeczywistości. Nie zapominaj, że kilkakrotnie widziałem profesora w telewizji. To on, we własnej osobie. Jeśli marzy ci się coś, co zakłóci wszechobecną doskonałość, to poczekaj, aż się nawinie tutejszy amant, Hewell.

- Dlaczego? Jaki on jest?

- Nie potrafię go opisać. Jesteś za młoda, żeby pamiętać filmy z King Kongiem. Ale poznasz go bez trudu. Tymczasem jednak chciałbym, żebyś wypatrując za nim oczy jednocześnie sprawdziła, ilu ludzi wchodzi do domu robotników i ilu stamtąd wychodzi. Właśnie dlatego zależało mi, żebyś nie szła na kolację.

- Żaden problem.

- Kto wie? To sami Chińczycy. Przynajmniej ci, których widziałem. Pewnie wszyscy ci się wydadzą tacy sami. Sprawdź, co robią, ilu zostaje w środku, czy coś stamtąd wynoszą. Tylko żeby nikt się nie zorientował, że ich śledzisz. Gdy się całkiem ściemni, opuść ścianki, a gdyby nie było w nich okien, to wyjrzyj przez...

- Może zapiszesz mi to wszystko na kartce? – wtrąciła słodko.

- W porządku, pracujesz w tym fachu dłużej niż ja. Marudzę tak tylko z tchórzostwa i obawy o własną szyję. Planuję mały spacer po nocy, żeby się przekonać, co tu jest grane.

Nie zakryła ust dłonią, nie jęknęła ani nie próbowała mnie odwieść od tego zamiaru. Nie mógłbym nawet przysiąc, że wzmógł się uścisk jej dłoni.

- Chcesz, żebym poszła z tobą? - spytała rzeczowo.

- Nie. Chcę się rozejrzeć i sprawdzić, czy mnie oczy nie mylą. Nie przewiduję wprawdzie żadnych kłopotów, ale w razie czego i tak nie wiem, jak mogłabyś mi pomóc. Oczywiście bez obrazy.

- Hm - mruknęła powątpiewająco. - Fleck zabrał mi pistolet, wzywaniu policji odpada i wątpię, czy coś bym zdziałała, gdyby ktoś mnie napadł. Ale gdybyś to ty znalazł się w opałach...

- Źle mnie zrozumiałaś - stwierdziłem cierpliwie. - Brak ci szybkości. Mnie nie. W życiu nie widziałas takiego szybkobiegacza jak Bentall, który ucieka z pola walki. - Przeszedłem po podłodze z palmy kokosowej i przyciągnąłem zasłane łóżko do łóżka Marie. - Można?

- Jak sobie życzysz - odparła uprzejmie. Spojrzała na mnie leniwie spod przymkniętych powiek, a w kąciu jej ust zagrał przelotny uśmiešek, też rozbawiony, a jednak całkiem inny niż ten, którym mnie zaszczyciła w londyńskim gabinecie pułkownika Raine'a. - Potrzymam cię za rękę. Coś mi się widzi, że jesteś owcą w wilczej skórze.

- Poczekaj, aż wrócimy po wykonaniu zadania - zagroziłem. - Będziesz wtedy tylko ty, ja i światła Londynu. Zobaczysz.

Przez dłuższą chwilę patrzyła mi prosto w oczy, po czym przeniosła wzrok na coraz ciemniejszą lagunę.

- Nie widzę tego - oświadczyła.

- Co robić, taki już masz charakter. Całe szczęście, że choć ja nie jestem z tych wrażliwych. Wracając do tego łóżka... pewnie cię rozczaruję, ale chodzi mi o to, że przed wyjściem chciałbym wypchać czymś pościel, a nie powinni być zbyt dociekliwi, skoro będziesz spała tuż obok.

Słyszając jakieś głosy przeniosłem wzrok i ujrzałem Hewella, który w towarzystwie swych Chińczyków wyszedł zza rogu kruszarni. Wyglądał jak chodząca góra; w tej zgiętej postaci, chwiejnym kroku i powolnym kołysaniu rąk, które niemal muskały kolana, było coś przerażającego, facet miał w sobie coś z małpy.

- Jeśli chcesz mieć sensne majaki, odwróć się i nasyć oczy - poinformowałem Marie. - Nadchodzi amant.

Gdyby nie fizjonomia amanta, nieustająca paplanina profesora oraz butelka wina, którą - jak się wyraził - wyciągnął specjalnie na tę okazję, kolacja byłaby wcale udana. Chiński kucharz bez dwóch zdań znał się na rzeczy i nie serwował bzdur w rodzaju jaskółczych gniazd czy pletw rekina. Nie mogłem jednak zamknąć oczu, by nie patrzeć na ponurą ruinę twarzy przede mną, której szpetotę jeszcze bardziej podkreślał teraz biały garnitur z drelichu. Nie mogłem zatkać sobie uszu, by nie słuchać komunałów profesora. Wino zaś - rzekomy „burgund” - było wyborne, zakładając, że komuś smakuje słodzony ocet. Tylko dokuczliwe pragnienie pomogło mi je przełknąć.

O dziwo, to jednak Hewell sprawił, że kolacja przebiegła względnie znośnie. Pod prymitywną, grubo ciosaną twarzą ukrywał nieprzeciętny intelekt - w każdym razie był dostatecznie rozgarnięty, by trzymać się z dala od „burgunda”, za to litrami żłopać piwo z Hongkongu - i jego opowieści z czasów, gdy jako inżynier górnik drażył skały w niemal każdym zakątku świata, były naprawdę ciekawe. A raczej byłyby ciekawe, gdyby nie to, że mówiąc nie spuszczał ze mnie czarnych, głęboko osadzonych oczu. Jeszcze bardziej przypominał teraz niedźwiedzia wyglądającego z jaskini. W porównaniu z nim wąż hipnotyzujący ptaka to pestka. Przesiedziałbym tak pewnie sparaliżowany całą noc, gdyby nie Witherspoon, który odsunął w końcu krzesło, z zadowoleniem zatarł ręce i spytał, jak mi smakowała kolacja.

- Wyśmienita - orzekłem. - Niech pan w żadnym wypadku nie pozwoli odejść temu kucharzowi. Naprawdę wielkie dzięki. A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym wrócić do żony.

- Nonsens, nonsens! -Urażony gospodarz w całej krasie. - Najpierw kawa i brandy. Nam, archeologom, rzadko trafia się okazja, żeby coś uczcić. Z radością witamy tu każdą nową twarz, prawda, Hewell?

Goryl ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, lecz staremu nie robiło to różnicy. Przysunął mi trzcinowy fotel i podskakiwał dookoła niczym stara kwoka, dopóki się nie rozsiadłem. Wtedy Tommy podał brandy i kawę.

Od tej pory wieczór przebiegał znakomicie. Gdy chiński służący wrócił, by dolać nam trunku, profesor kazał mu zostawić całą butelkę. Poziom brandy opadał, jak gdyby flaszka miała dziurawe dno. Profesor był w szczytowej formie. Poziom alkoholu opadł jeszcze bardziej. Hewell dwa razy się uśmiechnął. Wspaniały wieczór. Cielę tuczono na rzeź. Nie marnowali tej znakomitej brandy bez powodu. Opróżniliśmy butelkę i zabraliśmy się za następną. Witherspoon, zanosząc się śmiechem, opowiedział kilka ryzykownych kawałów. Hewell znów się uśmiechnął. Ocierając łzy z oczu podchwyciłem ukradkową wymianę spojrzeń. Topór rzeźniczy szykował się do ciosu. Bełkotliwie pogratulowałem profesorowi dowcipu. Nigdy w życiu nie byłem równie trzeźwy.

Najwyraźniej wszystko starannie przećwiczyli. Witherspoon, zapalony naukowiec do szpiku kości, zaczął mi podawać niektóre eksponaty wystawione w ściennych gablotach. Nagle oświadczył:

- Dość tego, Hewell, obrażamy naszego przyjaciela. Pokażmy mu nasze prawdziwe skarby.
- Widząc wahanie olbrzyma, ni mniej, ni więcej, tylko tupnął nogą. -Koniecznie. Do diabła, człowieku, co to komu zaszkodzi?

- Dobra. - Hewell podszedł do wielkiej szafy pancерnej, stojącej po mojej lewej ręce. Po chwili bezowocnego zmagania się z klamką stwierdził: - Znów się zaciął, profesorze.

- No to otwórz od tyłu - polecił Witherspoon z rozdrażnieniem. Stał po mojej prawicy z glinianą skorupą w ręku. - Niech pan spojrzy, Bentall. Proszę zwrócić szczególną uwagę na...

Ale ja nie zwracałem uwagi, szczególnej czy jakiegokolwiek innej, na to, co do mnie mówił. Nawet nie patrzyłem na skorupę. Zerkalem na okno za plecami starego, okno, które dzięki lampie naftowej w pokoju i ciemnościom na dworze stanowiło doskonałe lustro. Obserwowałem Hewella i szafę pancerną, którą odsuwał od ściany. Ważyła jak nic ze trzysta funtów. Siedziałem przechylony na bok, z lewą nogą założoną na prawą, tak że moja prawa stopa znajdowała się dokładnie na linii upadku sejfu. Bo też miał upaść. Jego szczyt odstawał już od ściany na ponad stopę. Widziałem, jak Hewell sprawdza, czy moja noga jest dostatecznie wysunięta. W końcu pchnął sejf.

- O Boże! - wrzasnął Witherspoon. - Uważaj!

Jego krzyk strachu był równie udany, jak spóźniony, ale mógł się nie fatygować, ja i tak już na siebie uważałem. Gdy szafa pancerna na dobre oderwała się od ściany, zacząłem spadać z fotela, przekręcając stopę tak, by spoczywała bokiem do podłogi, a podeszwa buta sterczała pod kątem prostym do sejfu. Była to gruba podeszwa, ponad pół cała solidnej skóry, a mimo to ryzykowałem nielicho. Nie miałem jednak wyboru.

Krzycząc z bólu wcale nie udawałem, miałem wrażenie, że gruba skórzana podeszwa zgięła się w pół, a wraz z nią moja stopa. A jednak nie zetknąłem się z szafą pancerną bezpośrednio.

Leżałem pojękując, unieruchomiony, dopóki Hewell nie uniósł sejfu, a Witherspoon mnie nie wyciągnął. Krzywiąc się z bólu wstałem, strząsnąłem z ramienia rękę profesora, przeniosłem ciężar ciała na uszkodzoną stopę i ciężko zwałem się na podłogę. Tego wieczoru nieźle oberwała, najpierw od sejfu, potem ode mnie.

- Czy... czy bardzo pana boli? - Profesor wręcz osłupiał z przerażenia.

- Boli? Gdzie tam. Po prostu zmęczyłem się i chciałem trochę odpocząć. - Przeszyłem go wściekłym spojrzeniem, oburącz ściskając prawą stopę. - Jak pan myśli, daleko bym uszedł ze złamaną kostką?

Środa, 22.00 - czwartek, 5.00

Zdawkowe przeprosiny, pokrzepienie pacjenta resztkami brandy oraz unieruchomienie i zabandażowanie mojej nogi w kostce trwało w sumie jakieś dziesięć minut. Następnie ni to odprowadzono, ni to zanieiono mnie do domku gościnnego. Boczne ścianki były wprawdzie opuszczone, lecz dostrzegłem przebijające przez nie światło. Profesor zapukał do drzwi i czekał.

- Kto... kto tam? - Marie, z szalem zarzuconym na ramiona, stanęła w progu. Światło lampy naftowej utworzyło błyszczącą aureolę wokół jej miękkich, jasnych włosów.

- Proszę się nie denerwować, pani Bentall – powiedział Witherspoon uspokajająco. - Pani mąż miał właśnie drobny wypadek. Zdaje się, że uszkodził sobie stopę.

- Drobny wypadek! - zawyłem. - Uszkodziłem stopę, a to dobre. Złamałem tę cholerną nogę w kostce, ot co. - Wyrwałem się i chwiejnie spróbowałem sforsować drzwi, lecz potknąłem się i z krzykiem wyciągnąłem jak długi na podłodze domku gościnnego. W roli taśmy mierniczej spisywałem się coraz lepiej. Wystraszona Marie pisnęła coś, co zagłuszyły moje jęki, i opadła obok mnie na kolana, lecz profesor delikatnie pomógł jej wstać, podczas gdy Hewell zajął się mną. Wagę blisko dwieście funtów, a mimo to podniósł mnie i położył na łóżku tak łatwo, jak mała dziewczynka podnosi i kładzie lalkę, tyle że nie tak łagodnie. Na szczęście sprężyny łóżka były mocniejsze niż się wydawało. Znowu jęknąłem i wsparłem się na łokciu - uosobienie cierpiącego w milczeniu Anglika. Na wypadek, gdyby tego nie zrozumieli, pokrzywiłem się jeszcze trochę, znacząco zaciskając powieki.

Profesor Witherspoon chaotycznie wyjaśnił, co się stało, a w każdym razie przedstawił własną wersję wypadków - przekonywający zlepek popsutych zamków, ciężkich, niestabilnych szaf pancernych i wypaczonych podłóg. Marie słuchała go w burzliwym milczeniu. Jeżeli udawała, to wyraźnie minęła się z powołaniem - przyspieszony oddech, zaciśnięte usta i pięści, lekko rozszerzone nozdrza, to jeszcze mogłem zrozumieć. Ale żeby tak zblednąć na zamówienie, to już wyższa szkoła jazdy. Gdy stary skończył, odniosłem wrażenie, że Marie rzuci się na niego, jak gdyby nic sobie nie robiła z obecności Hewella. Opanowała się jednak.

- Najmocniej panom dziękuję za przyprowadzenie mojego męża - oświadczyła lodowato. - Bardzo to z waszej strony uprzejmie. Nie wątpię, że to był tylko wypadek. Dobranoc.

W ten sposób ucięła dalszą konwersację, wobec czego obaj wynieśli się, na odchodnym wyrażając jeszcze nadzieję, że do rana noga mi się zagoi. Szkoda tylko, że swoje prawdziwe nadzieje zatrzymali dla siebie i nie wyjaśnili, w jaki sposób złamana kostka może się zrosnąć w ciągu jednej nocy. Marie przez dobre dziesięć sekund wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknęli. W końcu szepnęła:

- On... on jest przerażający, nie sądzisz? Wygląda jak relikw z epoki kamienia łupanego.

- Urodą nie grzeszy, to fakt. Wystraszyłaś się?

- A jak myślisz? - Jeszcze przez kilka sekund stała bez ruchu, po czym westchnęła, odwróciła się i przysiadła na skraju mojego łóżka. Przyjrzała mi się z wahaniem, jakby niezdecydowana, a po chwili musnęła moje czoło chłodnymi rękami, przejechała mi palcami po włosach i spojrzała prosto w oczy. Uśmiechnęła się smutno; w jej oczach malowała się troska i niepokój. - Tak mi przykro - mruknęła. - To... to bardzo boli, prawda, Johnny? - Pierwszy raz zwróciła się do mnie w ten sposób.

- Okropnie. - Uniosłem ręce, objąłem ją za szyję i przyciągnąłem, aż ukryła twarz w poduszce. Nie opierała się - ktoś, kto po raz pierwszy w życiu zobaczył Hewella, potrzebuje czasu, by otrząsnąć się z szoku. A może po prostu spełniała zachcianki chorego? Policzek

miała jak płatek róży; pachniała słońcem i morzem. Przysunąłem usta do jej ucha i szepnąłem: - Sprawdź, czy naprawdę poszli.

Zesztywniała, jak gdyby dotknęła drutu pod napięciem, i wstała. Podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz.

- Obaj są w salonie profesora - powiedziała spokojnie. - Właśnie podnoszą sejf.

- Zgaś światło.

Podeszła do stołu, przykręciła knot, otoczyła dłonią wylot szklanego klosza i dmuchnęła. Pokój pograżył się w ciemności. Opuściłem nogi na podłogę, odwinąłem z kostki dwa jardy gipsu lekarskiego, klnąc cicho, bo przylepił mi się do ciała, odłożyłem łubki, wstałem i w ramach eksperymentu podskoczyłem kilkakrotnie na prawej nodze. Skakało mi się jak zawsze, bolał mnie tylko duży palec, który najbardziej ucierpiał, kiedy podeszwa buta zgięła się pod ciężarem sejfu. Podskoczyłem raz jeszcze. Nic się nie zmieniło, więc usiadłem, włożyłem skarpetkę i but.

- Cóż ty, u licha, wyprawiasz? - spytała Marie. Z żalem stwierdziłem, że zatroskanie ulotniło się z jej głosu.

- Tak tylko sprawdzam - wyjaśniłem cicho. - Zdaje się, że moja stara noga trochę mi jeszcze posłuży.

- Ale kość... myślałam, że złamałeś kość.

- Nastąpiło cudowne uzdrowienie. - Poruszyłem stopą w bucie, lecz nic nie poczułem. Wobec tego opowiedziałem Marie, co się stało. Kiedy skończyłem, burknęła:

- I pewnie uważasz, że zrobiłeś mi świetny dowcip?

Życie przyzwyczaило mnie już do niesprawiedliwości ze strony kobiet, toteż puściłem to mimo uszu. Kiedy ochłonie, sama zrozumie, jak dalece była wobec mnie nie w porządku. Nie miałem wprowadzić pojęcia, z czego ma ochłonać, w każdym razie kiedy już temperatura jej opadnie, uświadomi sobie, jak wielką przewagę zdobyłem udając, że nie mogę się poruszać. Usłyszałem, że wraca w stronę łóżka. Mijając mnie, powiedziała:

- Kazałeś mi liczyć Chińczyków, którzy wchodzą do tej długiej chaty.

- No i co?

- Jest ich osiemnastu.

- Osiemnastu? W kopalni naliczyłem zaledwie ośmiu.

- Osiemnastu.

- Zauważyłaś, czy coś stamtąd wynoszą?

- Nie, bo nikt nie wychodził. Przynajmniej dopóki się całkiem nie ściemniło.

- Taaak. Gdzie latarka?

- Pod moją poduszką. Proszę.

Odwróciła się i wkrótce usłyszałem, jak oddycha powoli, równomiernie. Wiedziałem jednak, że nie śpi. Oderwałem kilka kawałków plastra i zalepiłem szkiełko latarki tak, że na środku zostało tylko kółko o średnicy ćwierć cala. Potem zająłem miejsce przy szparze w ścianie, skąd mogłem obserwować dom profesora. Krótco po jedenastej Hewell wrócił do siebie. Zobaczyłem, jak zapala światło w swoim domku i gasi je dziesięć minut później.

Podszedłem do szafy, w której chiński służący powiesił nasze ubrania, i wyciągnąłem szare flanelowe spodnie i niebieską koszulę. Szybko przebrałem się po ciemku. Pułkownik Raine nie byłby zachwycony wiedząc, że paraduję w środku nocy w białej koszuli i takich samych spodniach. W końcu wróciłem do Marie.

- Nie śpisz, prawda? - szepnąłem.

- Czego chcesz? - W jej głosie nie doszukałem się ani krzty ciepła.

- Nie bądź głupia, Marie. Żeby wyprowadzić ich w pole, ciebie też musiałem nabrać. Nie rozumiesz, ile to dla nas znaczy, że mogę chodzić, podczas gdy oni sądzą, że jestem kompletnie unieruchomiony? Czego się spodziewałaś? Że Hewell i stary zataszczą mnie do domu, a ja od progu zawołam: „Nic się nie martw, kochanie, ja tylko udaję?”

- Chyba nie - przyznała po chwili. - Tylko to chciałeś mi powiedzieć?
- Właściwie to chodzi mi o twoje brwi.
- O co?
- O twoje brwi. Włosy masz takie jasne, a brwi czarne. Czy są naturalne? Chodzi mi o kolor.
- A poza tym dobrze się czujesz?
- Chcę sobie przyczernić twarz. Tuszem do brwi. Myślałem, że może...
- Czemu od razu nie mówisz, zamiast się silić na dowcipy? - Intelkt podpowiadał jej, że powinna mi wybaczyć, a jednak coś ją przed tym powstrzymywało. - Nie używam tuszu. Mam za to czarną pastę do butów. W górnej szufladzie, po prawej.

Wzdrygnąłem się już na samą myśl o paście, lecz podziękowałem i odszedłem. Godzinę później odszedłem na dobre. Uformowałem na łóżku toporną kukłę, sprawdziłem, czy nie mam przypadkiem licznego audytorium, i wyszedłem, unosząc żaluzje z tyłu domu tylko tyle, by móc się wyczołgać pod spodem. Nie usłyszałem żadnych krzyków, wrzasków ani strzałów. Bentall wymknął się niepostrzeżenie i cieszył się z tego jak cholera. W panujących ciemnościach nikt by mnie nie zauważył z odległości pięciu jardów, choć można mnie było wyczuć na pięćdziesiąt. Co robić, niektóre pasty do butów po prostu śmierdzą.

Na pierwszym etapie wędrówki, do domu profesora, sprawność mojej prawej nogi nie miała właściwie znaczenia. Zarówno z domu Hewella, jak i z chaty robotników, można by dostrzec ciemną postać odcinającą się na jasnym tle morza i piasku, wobec czego przebyłem ten dystans na czworakach.

Za rogiem domu Witherspoona wstałem powoli i bezszelestnie przycisnąłem się do ściany. Trzy ciche susy i znalazłem się przy tylnych drzwiach.

Już na samym wstępie poniosłem porażkę. Zakładałem, że skoro frontowe drzwi są drewniane, osadzone na zawiasach, to i od tyłu będą takie same. Tymczasem ujrzałem bambusową roletę, szeleszczącą i klekoczącą przy najlżejszym dotknięciu niczym sto kastanietów puszczonej w ruch. Przywarłem do niej, mocniej ściskając latarkę. Minęło pięć minut, lecz nic się nie wydarzyło, nikt się nie zjawił. Nagle poczułem na twarzy podmuch wiatru i roleta zaszeleściła ponownie, tak jak przedtem. Dwie minuty zajęło mi zebranie dwudziestu deszczulek do jednej ręki, dwie sekundy przedostanie się do domu i następne dwie minuty opuszczenie listewek do poprzedniej pozycji. Pomimo chłodu czułem, jak pot spływa mi z czoła i zalewa oczy. Otarłem twarz, ostrożnie zapaliłem latarkę i osłaniając dłonią wążutki promień, zacząłem myszkować po kuchni.

Nie spodziewałem się tam znaleźć czegoś, czego nie powinienem - i miałem rację. Znalazłem jednak to, czego szukałem - szufladę ze sztucami. Tommy miał wspaniałą kolekcję noży kuchennych, a wszystkie były ostre jak brzytwa. Wybrałem sobie istne cacko - dziesięciocalowy nóż, z jednej strony ząbkowany i zwiężający się dwa cale poniżej trzonka w szpic. Jego czubek przypominał lancet. Lepsze to niż nic, o wiele lepsze - gdybym trafił czymś takim pomiędzy żebra, nawet Hewell nie wzięłby tego za łaskotki. Starannie owinałem nóż serwetką i wsadziłem go sobie za pasek.

Drzwi od strony korytarza były drewniane, prawdopodobnie po to, by zapachy kuchenne nie rozchodziły się po całym domu. Umocowane na oliwionych skórzanych zawiasach, otwierały się do środka. Wyszedłem i nastawiłem uszu, choć właściwie nie było to potrzebne - chrapanie profesora zlokalizowałem bez trudu. Dochodziło z otwartego pokoju jakieś dziesięć stóp dalej po prawej stronie korytarza. Nie miałem pojęcia, gdzie śpi chiński służący, lecz przyjąłem, że musi być w którymś z pozostałych pokoi, skoro nie widziałem, żeby wychodził z domu. Nie zamierzałem jednak sprawdzać, w którym. Na mój gust ten chłopak miał wyjątkowo czujny sen. Mimo iż profesorski koncert powinien zagłuszyć moje kroki, ruszyłem do salonu niczym kot podkradający się w pełnym słońcu do ptaka na trawniku.

Bez przeszkód dotarłem do celu i bezszelestnie zamknąłem za sobą drzwi. Nie traciłem czasu na rozglądanie się, wiedziałem, gdzie szukać. Ruszyłem wprost do olbrzymiego biurka. Gdy dziś rano siedziałem tam w trzcinowym fotelu, dostrzegłem biegnący do biurka wypolerowany miedziany drut, niezbyt starannie zamaskowany. Inna sprawa, że nawet gdybym go nie zauważył, zaprowadziłby mnie tam węch - a konkretnie gryzący zapach kwasu siarkowego.

Większość biurek po obu stronach ma zwykle szereg szuflad, ale nie to. Po bokach znajdowały się szafki, obie otwarte. Bo i czemu ktoś miałby je zamykać? Otworzyłem tę po lewej i oświetliłem ją latarka.

Była to obszerna szafka, wysoka na trzydzieści cali, na osiemnaście szeroka i głęboka na przynajmniej dwie stopy. Wypełniały ją akumulatory kwasowe i suche baterie. Na górnej półce stało dziesięć akumulatorów, a poniżej osiem suchych baterii o napięciu sto dwadzieścia volt każda, połączonych szeregowo. Gdyby tak jeszcze mieć nadajnik radiowy, można by stamtąd wysłać sygnał choćby na Księżyc.

Rzecz jasna, profesor miał radio. Zajmowało całą szafkę po drugiej stronie biurka. Znam się co nieco na aparatach nadawczo-odbiorczych, lecz to metalowe szare pudło, z ponad dziesiątkiem wyskalowanych tarcz, gałek i wskaźników, stanowiło dla mnie zagadkę. Odczytałem nazwę producenta: „Kuruby-Sankowa Radio Corporation, Osaka and Shanghai”. Nic mi to nie mówiło, podobnie jak wyryte poniżej chińskie bazgroły. Tylko długości fal oraz nazwy stacji oznakowane były zarówno po chińsku, jak i po angielsku. Strzałka ustawiona była na Fuczou. Mogło to oznaczać, że profesor Witherspoon w dobroci swojej pozwala robotnikom, którzy stęsknili się za domem, na kontakty radiowe z rodzinami w Chinach, lecz równie dobrze mogło to oznaczać zupełnie co innego.

Cicho zamknąłem szafkę i zająłem się górną częścią biurka. Możliwe, że profesor spodziewał się mojej wizyty, ale nie fatygował się i nie utrudniał dostępu do górnych szuflad i przegródek. Po pięciu minutach metodycznych poszukiwań zrozumiałem, dlaczego nie zawracał sobie tym głowy - nie trzymał tam nic takiego, co warto by ukryć. Już miałem zrezygnować i zwinąć manatki, gdy raz jeszcze rzuciłem okiem na najbardziej oczywisty przedmiot na blacie - oprawny w skórę notes. Wyjąłem go z oprawy i spojrzałem na cienką kartkę pergaminu, schowaną pomiędzy notesem a obwolutą.

Zobaczyłem napisaną na maszynie listę, składającą się z sześciu wierszy. Każdy z nich zawierał dwuczłonową nazwę, po której następowało osiem cyfr. Pierwszy wiersz brzmiał: „Pelican-Takishmaru 20007815”, drugi: „Linkiang-Hawetta 10346925”, a pozostałe cztery wyglądały podobnie. Dalej następowała dłuższa przerwa i wreszcie ostatnia linijka: „Co godzina 46 Tombola”.

Nic z tego nie rozumiałem. Z jednej strony wyglądało to na kompletną bzdurę, z drugiej zaś mógł to być najważniejszy szyfr, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem. Tak czy inaczej, nawet jeśli nie miałem teraz z niego żadnego pożytku, to mógł mi się przydać później. Pułkownik Raine uważał, że mam fotograficzną pamięć, ale nie do takich bzdur, wobec czego wziąłem z profesorskiego biurka ołówek i kartkę, przepisałem szyfr, odłożyłem pergamin na miejsce, a złożoną kartkę owinąłem w nieprzemakalną folię i schowałem pod skarpetkę. Nie uśmiechał mi się powrót przez korytarz i kuchnię, toteż wyszedłem przez niewidoczne z innych domów okno.

Dwadzieścia minut później zostawiłem wszystkie domy daleko za sobą i wstałem obolały. Od lat niemowlęcych nie przebyłem na czworakach takiej odległości, więc wyszedłem z wprawy. W rezultacie dłoń, łokieć i kolana piekły mnie jak diabli. Ale i tak były w dużo lepszym stanie niż moje spodnie i koszula.

Niebo przesłaniały ciemne chmury, lecz co pewien czas wypływał nagle księżyc, zmuszając mnie do szybkich uskoków w cień krzewów, gdzie czekałem, aż znów się ściemni. Posuwałem się wzdłuż torów kolejowych, biegnących półkolem od kruszarni na południe, a

dalej zapewne na zachód wyspy. Bardzo mnie interesowały te tory. Profesor Witherspoon starannie wystrzegął się wszelkich wzmianek na temat tego, co znajduje się po drugiej stronie wyspy, ale i tak powiedział za dużo. Wygadał się, że spółka fosforytowa wydobywała po tysiąc ton fosforanów dziennie - a zatem musieli je stąd wywozić. Niewątpliwie statkiem, wielkim statkiem, a żaden wielki statek nie przybiłby do tego ruchomego molo z powiązanych bali przed domem profesora, nawet gdyby mógł podpłynąć dostatecznie blisko brzegu, co w płytkiej wodzie laguny było niemożliwe. Musiało więc istnieć coś większego, o wiele większego - molo kamienne albo betonowe, ewentualnie zbudowane z bloków rafy koralowej, wyposażone w dźwig portowy. Widocznie profesor Witherspoon nie chciał, żebym tam zaglądał.

Kilka sekund później ja również tego nie chciałem. Minąłem właśnie niewielki, prawie całkiem zarośnięty strumień, spływający z góry do morza, i nie zrobiłem nawet dziesięciu kroków, gdy za plecami usłyszałem szybki, ukradkowy tupot nóg i coś ciężkiego spadło mi na plecy. Zanim zdążyłem zareagować, coś innego ścisnęło mi lewe ramię tuż powyżej łokcia, z siłą i brutalnością opadającej pułapki na niedźwiedzie. Ból był nie do zniesienia.

Hewell. W pierwszej chwili instynktownie pomyślałem o nim. Uskoczyłem chwiejnie w bok. Niewiele brakowało, a byłbym się przewrócił. Hewell, to musiał być on, nikt inny ze znanych mi ludzi nie dysponował taką siłą, miałem wrażenie, że zmiażdży mi ramię. Odwróciłem się zniechęcony, z całej siły celując prawą ręką w miejsce, gdzie powinien być jego brzuch, lecz trafiłem w próżnię. Omal nie wybiłem sobie ręki w stawie barkowym, ale miałem na głowie ważniejsze sprawy niż takie drobiazgi. Znow dałem nura w bok, ratując się przed upadkiem. Przed upadkiem... i śmiercią. To nie Hewell mnie napadł, lecz pies o rozmiarach i sile wilka.

Spróbowałem go strząsnąć. Zyskałem na tym tylko tyle, że jeszcze mocniej zatopił zęby w moim ramieniu. Zacząłem więc okładać go prawą pięścią, ale nie bardzo go mogłem dosięgnąć. Spróbowałem go kopnąć - również bez rezultatu. Nie mogłem się do niego dobrać, nie mogłem go zrzucić, nie miałem pod ręką nic twardego, o co mógłbym go roztrzaskać, i wiedziałem, że jeśli spróbuję rzucić się z nim na ziemię, żeby go przygnieść, to rozszarpie mi gardło, zanim się obejrzę.

Ważył jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt funtów. Jego kły przypominały stalowe haki. Mając ramię przebite stalowymi hakami, na których wisi ciężar o wadze dziewięćdziesięciu funtów, tylko jednego można być pewnym - że skóra i ciało rozerwą się na strzępy. Czulem, że słabnę, czulem narastające fale bólu i mdłości, aż wreszcie, w przeblasku olśnienia, ruszyłem głową. Bez trudu wyciągnąłem nóż zza paska, lecz odwijając go z serwety przez całe dziesięć nie kończących się, bolesnych sekund. Potem już poszło łatwo - czubek sztyletu niemal bez oporu wszedł tuż pod mostkiem, kierując się w stronę serca. Ucisk na moim ramieniu zelżał w ułamku sekundy, a pies skonał, nim jeszcze spadł na ziemię.

Nie rozpoznałem, jakiej jest rasy, lecz guzik mnie to obchodziło. Chwyciłem go za nabijaną ćwiekami obrozę, zaciągnąłem do strumienia, który dopiero co minąłem, i wrzuciłem do wody w miejscu, gdzie była najbardziej zarośnięta. Miałem nadzieję, że z góry nie będzie go widać, ale nie odważyłem się zapalić latarki, żeby to sprawdzić. Licząc się z nagłym przybojem wód po ewentualnym deszczu, przygniotłem zwłoki kilkoma ciężkimi kamieniami, by nie wypłynęły, po czym prawie pięć minut leżałem tam na brzuchu, czekając, aż najgorszy ból, szok i mdłości przeminą, a galopujące tętno powróci mniej więcej do normy.

Zdejmovanie koszuli i podkoszulka nie należało do przyjemności, zwłaszcza że ręka mi już zdrętwiała, ale przemogłem się i starannie obmyłem ramię w strumieniu. Całe szczęście, że płynęła w nim słodka woda, a nie słoń. Pomyślałem wprawdzie, że niewiele mi przyjdzie z tych ablucji; jeżeli pies miał wodowstręt, rezultat byłby mniej więcej taki sam, jak po ukąszeniu przez kobrę królewską. Chwilowo jednak nie było się czym przejmować, wobec

czego podarłem podkoszulek, jak najstaranniej zabandażowałem ranę, włożyłem koszulę i ruszyłem w drogę, nadal trzymając się torów kolejowych. W prawej ręce ścisnąłem odkryty nóż. Czuję, jak przepelnia mnie zimny gniew. W tym momencie nie byłem zbyt życzliwie nastawiony do świata i ludzi.

Wkrótce dotarłem na południowy kraniec wyspy. Rosły tam tylko niskie, skąpo rozsiane krzaki i chcąc się za nimi ukryć, musiałbym się położyć na ziemi. Nie miałem na to najmniejszej ochoty, lecz zachowałem jeszcze resztki zdrowego rozsądku, toteż gdy księżyc wypłynął nagle zza chmur, rozplaszczylem się koło krzaka, za którym trudno byłoby się schować królikowi.

W jasnej poświacie księżycy przekonałem się, że błędnie oceniłem kształt wyspy. Kiedy obserwowałem ją z rafy, jej południowe kontury ginęły w porannej mgle. Równina u podnóża góry biegła wprawdzie dookoła wyspy, tu jednak była o wiele węższa niż na wschodzie. Co więcej, na pozór nie opadała łagodnie ku morzu, lecz wprost przeciwnie. Mogło to oznaczać tylko jedno - że od południa góra kończy się stromym stokiem wpadającym do laguny, może nawet urwiskiem. Myliłem się również co do samej góry, choć patrząc z rafy nie mogłem przewidzieć, że nie tworzy ona gładkiego stożka. Dopiero stąd dostrzegłem pozostałość po czasach, gdy północna część góry zniknęła w morzu. Praktyczny wyraz takiej konfiguracji terenu sprowadzał się do tego, że jedyna droga ze wschodu na zachód wyspy wiodła przez wąską równinę od południa, szeroką na co najwyżej sto dwadzieścia jardów.

Minął kwadrans, a księżyc ani myślał skryć się za chmurami. Uznałem więc, że trzeba się zbierać. W jasnym świetle było bez różnicy, w którą stronę się skieruję, wobec czego postanowiłem iść dalej. Pomstowałem na księżyc, ile wlezie. Złorzeczyłem mu i wymyślałem od najgorszych. I choć naraziłem się pewnie poetom i tekściarzom z Tin Pan Alley, to z pewnością odkupiłem swoje winy, gdy dwie minuty później przepraszałem tenże sam księżyc z całego serca.

Czołgałem się właśnie na zdartych łokciach i kolanach, z głową uniesioną jakieś dziewięć cali ponad ziemię, gdy na tej samej wysokości, niecałe dwie stopy przed sobą, ujrzałem nagle drut. Nie zauważyłem go wcześniej, bo był pomalowany na czarno. Farba oraz fakt, że przeciągnięto go tak nisko, i to na stalowych, nie izolowanych szpilkach, świadczyły, że jest to staromodna instalacja alarmowa, nie przewodząca śmiertelnościanego prądu.

Odczekałem bez ruchu dwadzieścia minut, aż księżyc skryje się za chmurami, po czym wstałem sztywno, przeszedłem nad drutem i znów się położyłem. Teren po mojej prawej ręce wyraźnie opadał do podnóża góry, dlatego też tory kolejowe podparto z jednej strony, aby zachować poziom. Postanowiłem czołgać się dalej wzdłuż tej niewielkiej skarpy. Gdy księżyc znów się pokaże, jej cień da mi schronienie. A przynajmniej miałem taką nadzieję.

Nie przeliczyłem się. Pełznąąc na czworakach, litowałem się w duchu nad stworzeniami, które natura skazała na taki sposób przemieszczania się z miejsca na miejsce. Zeszło mi na tym trzydzieści minut, podczas których nic nie widziałem ani nie słyszałem, aż wreszcie księżyc znów wypłynął zza chmur. W samą porę.

Trzydzieści jardów przed sobą ujrzałem siatkę. Widziałem już takie siatki, ale nie wokół angielskich posesji. Widziałem je w Korei, gdzie otaczały obozy jenieckie. Ta była wykonana z drutu kolczastego, wysoka na ponad sześć stóp i wygięta u góry na zewnątrz. Wychodziła z nieprzeniknionej ciemności pionowej rozpadliny w zboczu góry po mojej prawej ręce i biegła na południe, przecinając równinę.

Dziesięć jardów dalej zobaczyłem drugą siatkę, bliźniaczo podobną do pierwszej, lecz tym razem moją uwagę zwrócili stojący za nią trzej mężczyźni. Prawdopodobnie rozmawiali, lecz o wiele za cicho, bym mógł coś usłyszeć. Jeden z nich zapalił papierosa. Wszyscy trzej mieli białe mundury, okrągłe czapki, kamasze i pasy z nabojami, a także karabiny przewieszane przez ramię. Nie ulegało wątpliwości, że są to marynarze z brytyjskiej marynarki wojennej.

Poddałem się. Byłem zmęczony, ledwie żywy ze zmęczenia i nie potrafiłem zebrać myśli. Gdybym miał więcej czasu, być może znalazłbym kilka sensownych powodów, dla których na tej odludnej wysepce z archipelagu Fidżi spotykam trzech brytyjskich marynarzy. Po co się jednak wysilać, skoro mogłem ich zwyczajnie zapytać? Podparłem się na rękach i zacząłem wstawać.

Trzy jardy przede mną poruszył się krzak. Z zaskoczenia zamarłem w bezruchu, tym samym ratując życie. Skamieniałem tak, że nie umywało się do mnie żadne z wykopalisk profesora. Krzak nachylił się do sąsiedniego krzewu i szepnął coś cicho. Gdybym stał choćby pięć jardów dalej, nic bym nie usłyszał. Za to oni musieli mnie usłyszeć, w uszach czułem łomotanie serca, które waliło mi niczym kafar. A jeśli nawet mnie nie usłyszeli, to z całą pewnością poczuli wibracje przenoszące się z mojego ciała na ziemię. Seismograf w Suva musiał mnie zarejestrować, a więc tym bardziej oni, skoro stałem tak blisko. A jednak nic nie usłyszeli, nic nie poczuli. Położyłem się na ziemi tak, jak hazardzista kładzie na stół ostatnią przegraną kartę. Zapisalem sobie w pamięci, że wszelkie brednie o tym, jakoby tlen był niezbędny do życia, należy między bajki włożyć. Ja w ogóle przestałem oddychać. Bolała mnie prawa ręka, w świetle księżyca kostki mojej dłoni zaciśniętej na trzonku noża błyszczwały jak wypolerowana kość słoniowa. Z niemałym wysiłkiem woli zmniejszyłem uchwyt, a mimo to nadal ścisnąłem nóż tak, jak nigdy.

Minęły całe wieki. W końcu trzej wartownicy, którzy traktowali swe obowiązki równie liberalnie, jak ich koledzy z każdej innej marynarki wojennej na świecie, kolejno zniknęli. Tak mi się w każdym razie wydawało, dopóki nie uświadomiłem sobie, że ciemna plama za nimi to nie ziemia, lecz chata. Po minucie usłyszałem metaliczny szczęk i syczenie prymusa. Przede mną krzak znów się poruszył. Przełożyłem nóż ostrzem w górę, lecz krzak odczołgał się cicho wzdłuż siatki do następnego krzewu, ze trzydzieści jardów dalej, który również zmienił położenie. Tej nocy dookoła roiło się od ruchomych krzaków. Odechciało mi się pytać strażników, co tu robią. Może innym razem. Bo dziś należało wracać do łóżka i pogłówkować. Taki też miałem zamiar, zakładając, że w drodze powrotnej nie zżre mnie jakiś pies ani nie zasztyletuje któryś z Chińczyków Hewella.

Dotarłem do domu zdrów i cały. Zabrało mi to w sumie dziewięćdziesiąt minut, z czego połowę trwało przebycie pierwszych pięćdziesięciu jardów, ale grunt, że się udało.

Kiedy uniosłem ściankę domu od strony morza i wszedłem do środka, dochodziła piąta nad ranem. Marie spała. Nie było sensu jej budzić, złe wieści mogły poczekać. W miednicy w rogu pokoju zmyłem pastę z twarzy, lecz nie miałem już siły zmienić opatrunku na ramieniu. Nie miałem nawet siły myśleć. Wgramoliłem się do łóżka i zasnąłem, nim jeszcze dotknąłem głową poduszki. Nawet gdybym miał dziesięć rąk, a każda z nich bolałaby mnie jak pogryzione lewe ramię, tej nocy i tak bym spał jak zabity.

Czwartek, 12.00 - piątek, 1.30

Obudziłem się w samo południe. Tylko jedna ścianka była podniesiona - ta od strony laguny. Ujrzałem rozmigotaną zieloną wodę, biały blask piasku, pastelowe kolory rafy, a za laguną ciemniejszy pas wody i bezchmurne niebo. Przy trzech opuszczonych ścianach z braku przeciągu było gorąco i duszno, ale za to mieliśmy spokój od ciekawskich. Lewe ramię pulsowało mi wściekle. Nic to - ważne, że żyłem i nie miałem wodowstrętu.

Marie Hopeman siedziała na krześle koło łóżka. Ubrana była w białe szorty i bluzkę, oczy miała czyste i wypoczęte, a policzki rumiane. Patrząc na nią poczułem się okropnie. Uśmiechała się do mnie i widziałem, że już się nie gniewa. Patrzyła na mnie o wiele przyjaźniej niż przed wyjazdem z Londynu.

- Świetnie wyglądasz - odezwałem się. - Jak się czujesz?

Grunt to oryginalność.

- Zdrowa jak ryba - odparła. - Gorączka minęła bez śladu. Przepraszam, że cię obudziłam, ale za pół godziny jest obiad. Profesor kazał jednemu ze swoich chłopaków zrobić je dla ciebie, na wypadek, gdybyś chciał przyjść - dorzuciła, wskazując pierwszorzędnie wykonane kule inwalidzkie, oparte o krzesło. - Choć możesz zjeść tutaj. Pewnie jesteś głodny, ale nie chciałam cię budzić na śniadanie.

- Wróciłem dopiero przed szóstą.

- To wszystko tłumaczy. - Jej cierpliwość i umiejętność powstrzymania ciekawości zasługiwały na najwyższy podziw. - Jak się czujesz?

- Okropnie.

- I tak też wyglądasz - przyznała szczerze. - Po twardejuli nie zostało ani śladu.

- Mam wrażenie, że się zaraz rozsypię. Co robiłaś to tej pory?

- Przyjmowałam zaloty profesora. Z samego rana poszłam z nim popływać - zdaje się, że bardzo mu to przypadło do gustu - a po śniadaniu oprowadził mnie po okolicy, łącznie z kopalnią. - Wzdrygnęła się gwałtownie. - To była średnia przyjemność.

- A gdzie on się teraz podziewa?

- Szuka psa. Nigdzie nie mogą go znaleźć. Profesor okropnie się tym martwi. Zdaje się, że był do niego bardzo przywiązany.

- Przywiązany! Miałem okazję się z nim poznać. I z jego zębami. - Wyciągnąłem rękę spod koca i odwinąłem zakrwawione strzępy materiału. - Zobacz, jak on się do mnie przywiązał.

- O Boże! - Rozszerzyła oczy, a krew odpłynęła jej z twarzy. - To... to straszne.

Z żalną dumą obejrzałem ramię i stwierdziłem, że nic a nic nie przesadziła. Rękę od barku aż po łokieć miałem sino-fioletowo-czarną, a do tego spuchniętą i poszarpaną w czterech czy pięciu miejscach. Z niektórych głębokich, trójkątnych ran sączyła się jeszcze krew. Siniaków nie było widać tylko tam, gdzie zakrywała je gruba skorupa zaschniętej krwi. Oglądałem już przyjemniejsze widoki.

- I co się stało z tym psem? - spytała szeptem Marie.

- Zabiłem go. - Sięgnąłem pod poduszkę i wyciągnąłem zakrwawiony nóż. - Tym.

- Skąd go masz? Skąd... opowiedz mi lepiej wszystko od początku.

Cicho i szybko streściłem jej przebieg wypadków, podczas gdy ona obmyła mi ramię i zmieniła opatrunek. Zrobiła to znakomicie, choć wyraźnie bez entuzjazmu.

- I co tam jest, po drugiej stronie wyspy? - spytała, kiedy skończyłem.

- Nie wiem - odparłem zgodnie z prawdą. - Mam wprawdzie pewne podejrzenia, tyle że jedno gorsze od drugiego.

Powstrzymała się od komentarza. Zabandażowała mi tylko ramię i pomogła włożyć koszulę z długimi rękawami. Następnie z powrotem unieruchomiła mi nogę w kostce łubkami i założyła gips. W końcu podeszła do szafy i wróciła z torebką.

Chcesz sobie przypudrować noskę na użytek amanta?- spytałem zgryźliwie.

- Nie sobie, a tobie - odcięła się i zanim się obejrzałem, natłuściła mi twarz jakimś kremem i przypudrowała. Potem odsunęła się, podziwiając swe dzieło. - Wyglądasz po prostu bosko - orzekła podając mi lusterko.

Wyglądałem okropnie. Jeden rzut oka na moją twarz odstraszyłby każdego agenta ubezpieczeniowego, który chciałby mi sprzedać polisę na życie. Ściągnięte rysy, przekrwione i podkrążone oczy - to była moja zasługa, ale upiorną błądź zawdzięczałem wyłącznie Marie.

- Cudownie - zgodziłem się. - A jeśli profesor poczuje zapach pudru?

Wyjęła z torebki flakonik perfum w aerozolu.

- „Tajemnicza noc”. Kilka uncji wystarczy, żeby nie poczuł niczego innego w promieniu dwudziestu jardów.

Zmarszczyłem nos.

- Rozumiem - mruknąłem. Faktycznie były to mocne perfumy, przynajmniej w ilościach, w jakich Marie ich używała. - A jeśli zacznę się pocić? Czy cały ten krem i puder się nie rozpułynie?

- Producent gwarantuje, że nie - odparła z uśmiechem. - W razie czego podamy go do sądu.

- Jasne - burknąłem. - Zapowiada się to ciekawie. Duchy świętej pamięci J. Bentalla i M. Hopeman niniejszym wnoszą pozew przeciwko...

- Przestań! - rzuciła ostro. - Proszę cię, przestań!

Przestałem. Szkoda gadać, drażliwa z niej dziewczyna. A może to ja nie popisałem się taktem i wycuciem sytuacji?

- Pół godziny już chyba minęło, jak sądzisz? - rzekłem.

Skinęła głową.

- Zbierajmy się.

Dopiero gdy zszedłem po schodkach i zrobiłem kilka kroków w pełnym słońcu, zrozumiałem, że Marie niepotrzebnie fatygowała się z kremem i pudrem. Sądząc po tym, jak się czułem, i tak nie mógłbym wyglądać gorzej. Korzystając tylko z jednej nogi, musiałem się wspierać na kulach, a za każdym uderzeniem lewej kuli o twardą, spaloną ziemię kłująca szpila bólu przeszywała mi lewą rękę, od koniuszków palców aż po kark, skąd wędrowała dalej, na sam czubek głowy. Nie rozumiem wprawdzie, dlaczego uraz ręki miałby przyprawiać człowieka o ból głowy, lecz jak widać istnieje jakiś związek. To jeszcze jedna rzecz do uzgodnienia z lekarzami.

Albo stary Witherspoon wyglądał przez okno, albo nasłuchiwał, czy nie nadchodzimy, bo nagle otworzył drzwi i dziarsko wybiegł nam na spotkanie. Na mój widok szeroki uśmiech na jego twarzy ustąpił miejsca z troską.

- Chryste Panie! O Chryste Panie! - Podskoczył do mnie z niepokojem i chwycił mnie za ramię. - Wygląda pan... znaczy się, co to ja chciałem powiedzieć, musiało to być dla pana straszliwe przeżycie. Jest pan dosłownie zlany potem.

Nie przesadzał, rzeczywiście byłem zlany potem. Spocilem się w tej samej chwili, gdy złapał mnie za ramię, lewe ramię, tuż powyżej łokcia. Ścisnął je i wykręcał, jak gdyby chciał mi je wyrwać ze stawu. Pewnie uważał, że mi w ten sposób pomaga.

- Nic mi nie jest - zapewniłem go z bladym uśmiechem. - Schodząc po schodkach uraziłem sobie tylko stopę, ale poza tym nic mi nie dolega.

- Nie powinien pan wychodzić z domu - zbesztął mnie. - To bardzo nierozsądnie. Dostałby pan obiad do łóżka. No, ale skoro już pan tu jest... mój Boże, tak mi przykro, że to wszystko przeze mnie.

- To nie jest pańska wina - zapewniłem go. Chwylił mnie nieco wyżej pod rękę, by pomóc mi wejść po schodach, a ja z lekkim zdziwieniem stwierdziłem, że dom kołysze się z boku na bok. - Skąd pan mógł wiedzieć, że podłoga jest nierówna?

- Ależ ja o tym wiedziałem. Właśnie dlatego tak się martwię. To niewybaczalne, niewybaczalne. - Usadził mnie na krzesło w salonie i podskakiwał dokoła niczym stara kwoka. - Do kroćset, rzeczywiście kiepsko pan wygląda. Może kropelkę brandy?

- O niczym tak nie marzę - przyznałem szczerze.

Przywołał służącego, znowu sprawdzając wytrzymałość dzwonka, i wkrótce dzięki brandy postawiono pacjenta na nogi. Stary odczekał, aż wychylę połowę zawartości kieliszka, po czym zapytał:

- Chyba już czas, żebym rzucił okiem na pańską kostkę?

- Dziękuję, na szczęście nie trzeba - odparłem swobodnie. - Marie już to zrobiła. Udało mi się ożenić z wykwalifikowaną pielęgniarką. Słyszałem natomiast, że pan ma kłopoty. Czy pański pies już się znalazł?

- Niestety, przepadł bez śladu. Bardzo mnie to martwi, bardzo. Wie pan, doberman... ogromnie się do niego przywiązałem. Ogromnie. Nie mam pojęcia, co mu się mogło przydarzyć. - Ze zmartwieniem potrząsnął głową, nalał sobie i Marie trochę sherry i usiadł obok niej na trzcinowej kanapie. - Boję się, że przytrafiło mu się coś złego.

- Na tej spokojnej wyspie? - Marie spojrzała na niego ze zdziwieniem. - A cóż tu może grozić?

- Wężę - wyjaśnił. - Wyjątkowo jadowite żmije. Pełno ich tu na południu, gnieźdzą się w skałach u podnóża góry. Któraś z nich mogła ukąsić Carla... mojego psa. Przy okazji ostrzegam: pod żadnym pozorem nie chodźcie na południową część wyspy. To naprawdę niebezpieczne.

- Żmije! - Marie wzdrygnęła się. - Czy... czy one zbliżają się do domów?

- Ależ nie, skądże. - Profesor z roztargnieniem poklepał ją po dłoni. - Może się pani nie obawiać, moja droga. One nie cierpią tego pyłu fosforanowego. Pamiętajcie tylko, żeby ograniczać spacerów do tej części wyspy.

- Nie zapomnę - obiecała Marie. - Ale proszę mi powiedzieć, profesorze, przecież gdyby go ukąsiła żmija, to chyba znalazłby pan jego zwłoki?

- Nie, jeżeli zawędrował na skały u podnóża góry. To jedno wielkie rumowisko. Oczywiście, niewykluczone, że jeszcze wróci.

- A może poszedł popływać? - wtrąciłem.

- Popływać? - Profesor zmarszczył brwi. - Niezupełnie rozumiem, mój chłopcze.

- Lubił wodę?

- Tak, w rzeczy samej. Na Boga, chyba trafił pan w sedno. W lagunie pełno jest rekinów tygrysih. Niektóre to istne olbrzymy, dochodzą do osiemnastu stóp... a w nocy podpływają blisko brzegu. Biedny Carl! Cóż to za straszliwy koniec! - Ponuro potrząsnął głową i odchrząknął. - Będzie mi go brakować. Był więcej niż tylko psem, to był prawdziwy przyjaciel. Wierny, oddany przyjaciel.

Minutą ciszy czciliśmy pamięć chodzącej dobroci w psiej skórze, po czym zasiedliśmy do obiadu.

Kiedy się obudziłem, było jeszcze jasno, ale słońce skryło się już za górą. Czuję się świeży, wypoczęty, a choć ramię wciąż miałem sztywne, to pulsujący ból minął bez śladu, tak że właściwie nie było o czym mówić.

Marie jeszcze nie wróciła. Po obiedzie profesor w towarzystwie dwóch krajowców zabrał ją na ryby, a ja poszedłem spać. Wprawdzie stary Witherspoon mnie również zapraszał, ale chyba tylko z czystej kurtuazji, w obecnym stanie nie miałbym siły wyłowić sardynki. Wyłynęli więc beze mnie. Profesor kajał się i przepraszał, że mi porywa żonę, ale liczył, że

go zrozumieć. Odparłem, że rozumiem doskonale, i życzyłem im dobrej zabawy, co przyjął z dziwnym spojrzeniem, którego nie potrafiłem rozgryźć. Ogarnęło mnie niejasne przeczucie, że popełniłem jakiś fałszywy krok. Nie pozwolił mi się jednak nad tym długo głowić - za bardzo się palił do łowienia ryb... i do Marie.

Zanim wrócili, umyłem się, ogoliłem i jako tako doprowadziłem do ładu. Wyglądało na to, że tego dnia ryby nie brały, lecz nikt jakoś się tym nie przejmował. Wieczorem przy stole profesor prezentował wyśmienitą formę. Jak przystało na jowialnego gospodarza, bez przerwy sypał dowcipami. Przechodził sam siebie, żeby nas zabawić. Nawet bez szczególnie bujnej wyobraźni można się było domyślić, że nie stara się tak ze względu na mnie ani na Hewella, który siedział naprzeciwko, zamyślony i nieobecny duchem. Marie śmiała się i szczebiotała nie mniej niż Witherspoon. Najwyraźniej jego urok i dobry humor podziałały na nią zaraźliwie. Za to na mnie nie działały zupełnie. Po południu, zanim zasnęłam, przez dobrą godzinę myślałam o tym i o owym, a jedyny możliwy wniosek wypływający z mojego dumania był dość przerażający. Nie należę do strachliwych, lecz wiem, kiedy trzeba się bać - najlepsza ku temu okazja nadarza się wówczas, gdy człowiek dowiaduje się, że wydano na niego wyrok śmierci. A na mnie taki wyrok właśnie wydano. Co do tego nie miałem cienia wątpliwości.

Po kolacji wstałem, sięgnąłem po kule i podziękowałem profesorowi za gościnę, mówiąc, że nie powinniśmy nadużywać jego uprzejmości. Jest przecież taki zajęty. Zaprotestował bez przekonania i spytał, czy podesłać nam jakieś książki. Odparłem, że byłoby nam bardzo miło, ale najpierw chciałbym się przespacerować po plaży. Cmoknął głośno, zastanawiając się, czy to dla mnie nie za duży wysiłek, gdy jednak wtrąciłem, że wyglądając z okna, łatwo będzie się mógł o tym przekonać, z oporem przyznał, że może dam sobie radę. Pożegnaliśmy się więc i rozstaliśmy.

Pokonanie stromego nasypu na skraju plaży sprawiło mi nieco kłopotu, lecz dalej już poszło łatwo. Piasek był suchy i zbity, dzięki czemu kule prawie nie grzęzły. Nie schodząc z pola widzenia profesora, przeszliśmy ze dwieście jardów i usiedliśmy nad brzegiem laguny. Podobnie jak ubiegłej nocy, księżyc to zniknął, to wychodził zza przepływających chmur. Słyszałem daleki pomruk fal rozpryskujących się o rafę i lekki szmer wiatru pośród rozkołysanych palm. Ale zamiast egzotycznych zapachów tropiku czułem tylko morze - prawdopodobnie ten duszący, szary pył fosforanowy uśmiercił wszystkie rośliny z wyjątkiem kilku najbardziej wytrzymałych drzew i krzewów.

Marie delikatnie dotknęła mego ramienia.

- Bardzo boli?

- Już dużo mniej. Podobało ci się na rybach?

- Nie.

- Tak myślałam. Za bardzo okazywałaś radość po powrocie. Dowiedziałaś się czegoś ciekawego?

- A niby jak? - burknęła zdegustowana. - On przez cały czas tylko bajdurzył i opowiadał dyrdymały.

- To wina „Tajemniczej nocy” i tego twojego stroju - wyjaśniłem uprzejmie. - Facet kompletnie stracił dla ciebie głowę.

- Ty jakoś dla mnie głowy nie straciłeś - odcięła się zgryźliwie.

- Fakt - przyznałem, a po chwili dorzuciłem z goryczą: - Trudno stracić coś, czego się nie posiada.

- Skąd ten nieoczekiwany przyływ skromności?

- Spójrz na tę plażę - rzekłem. - Czy przyszło ci kiedyś na myśl, że jeszcze zanim wyruszyliśmy z Londynu, ktoś wiedział, że się tu znajdziemy? Jak Bożę kocham, jeżeli uda mi się wyjść z tego cała, to resztę życia spędzę na grze w pchełki. Nie nadaję się do tej roboty. Wiedziałem, że się nie mylę co do Flecka, wiedziałem, że nie jest mordercą.

- Za bardzo przeskakujesz z tematu na temat - poskarżyła się Marie. - Poczciwy kapitan Fleck. Jasne, że on nie chciał nas zabić. On by nam tylko dał po głowie i wyrzucił nas za burtę. Brudną robotę załatwiłyby za niego rekiny.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy tam na pokładzie? Pamiętasz, jak mówiłem, że coś mi tu nie gra, ale nie potrafiłem tego sprecyzować? Pamiętasz?

- Tak.

- Nie ma to jak Bentall - parsknąłem wściekle. – Nic nie umknie jego uwagi. Wentylator... wentylator, dzięki któremu ich podsłuchaliśmy, ten, który uchodził przy kabinie radiowej. On nie miał prawa biec w tamtą stronę, powinien być skierowany do przodu. Przypomnij sobie, w ładowni prawie nie mieliśmy czym oddychać. Nic dziwnego, do ciężkiej cholery...

- Nie musisz od razu...

- Przepraszam. Ale nareszcie chyba rozumiesz, co? Fleck wiedział, że nawet taki cymbał jak ja odkryje, że ta rura przewodzi odgłosy z kabiny radiowej. Dziesięć do jednego, że zainstalował w ładowni ukryty mikrofon, żeby się dowiedzieć, czy Bentall, Einstein wywiadu, dokona tego epokowego odkrycia. Wiedział, że ze względu na karaluchy będziemy spali na skrzyniach, więc Henry obluźował kilka listew, przypadkiem akurat w miejscu, gdzie mogliśmy znaleźć coś do jedzenia i picia po tym, jak zrezygnowaliśmy ze świństw, które nam celowo zaserwowali. Kolejne zbiegi okoliczności: za skrzyniami z żywnością znów są obluźwane listwy, a za nimi pasy ratunkowe. To tak, jakby prowadził do nich drogowskaz. Potem Fleck - choć na pozór nie ma takiego zamiaru – napędza mi porządnego stracha, informując mimochodem, że decyzja w sprawie ewentualnej egzekucji zapadnie o siódmej. Wobec czego przyklejamy uszy do wentylatora, a kiedy nadchodzi wiadomość, wkładamy pasy i wybywamy. O co zakład, że Fleck obluźował nawet śruby w pokrywie luku? Na upartego mógłbym ją nawet podnieść małym palcem.

- Ale... ale mogliśmy przecież utonąć – zaprotestowała Marie. - Mogliśmy się rozminąć z rafą i laguną.

- Co takiego? Nie trafić w cel o szerokości sześciu mil? Sama mówiłaś, że Fleck często zmieniał kurs, i miałaś rację. Chciał się upewnić, że wyskoczmy dokładnie na wprost rafy. Zmniejszył nawet szybkość, żebyśmy się przypadkiem nie potłukli wyskakując. Pewnie umierał ze śmiechu patrząc, jak Bentall i Hopeman na palcach przemykają się na rufę. A te głosy, które słyszałem po nocy na rafie? To John i James krążyli w swoim czólnie, pilnując, żeby nam włos z głowy nie spadł. Boże jedyny, czy można być większym ślepcem?

Zapadła cisza. Przypaliłem dwa papierosy i podałem jednego Marie. Księżyc zaszedł za chmury; w panujących ciemnościach jej twarz majaczyła niewyraźnie. Nagle stwierdziła:

- Fleck i profesor... oni ze sobą współpracują?

- A widzisz inną możliwość?

- Czego oni od nas chcą?

- Jeszcze nie jestem pewny. - Byłem pewny, lecz tego akurat w żadnym wypadku nie mogłem jej powiedzieć.

- Ale... po co to wszystko? Dlaczego Fleck od razu nas tu nie przywiózł i nie oddał w ręce profesora?

- To również da się wytłumaczyć. Za tym wszystkim stoi kawał spryciarza. Wszystko, co robi, ma swój sens.

- Myślisz... myślisz, że to profesor...

- Ja nic nie myślę. Nie zapominaj o zasięgach. Na wyspie urzęduje marynarka wojenna, a nie sądzę, żeby przyjechali tu grać w kręgle. Po drugiej stronie prowadzą jakąś ściśle tajną operację. Oni nie mogą ryzykować. Wiedzą o badaniach Witherspoona, więc musieli go prześwietlić na wylot. Zasięki o niczym nie świadczą, mają tylko odstraszyć ciekawskich pracowników profesora. Ale w wywiadzie wojskowym siedzą naprawdę bystre chłopaki, więc skoro pozwolili mu tutaj zostać, to znaczy, że jest czysty. Oczywiście, on też wie o

marynarce. Fleck ma konszachty z profesorem. Profesor ma konszachty z marynarką wojenną. Rozumiesz coś z tego?

- A więc jednak ufasz profesorowi? Twierdzisz, że jest w porządku?

- Ja nic nie twierdę. Po prostu głośno myślę.

- Wcale nie - upierała się. - Sam powiedziałeś, że skoro marynarka wojenna go zaakceptowała, to znaczy, że jest czysty. Ale wobec tego co ci Chińczycy robili przy siatce, po co ten pies i zasieki?

- Zastanówmy się. Może profesor zabronił swoim ludziom podchodzić do siatki i powiedział im o psie? Nie twierdę, że widziałem tam jego Chińczyków, tak tylko zakładałam. Pamiętaj jednak, że tajemnicę może wykraść nie tylko włamywacz, lecz także zbieg. Być może marynarka trzyma kilku najbardziej zaufanych ludzi po tej stronie, żeby pilnowali, czy ktoś nie próbuje stamtąd uciec? Oczywiście za wiedzą i zgodą profesora. W ostatnich latach wykradzono nam wiele tajnych informacji właśnie przez brak należytej ochrony. Być może rząd wyciągnął z tej lekcji nauczkę.

- A co my mamy do tego wszystkiego? – spytała bezradnie. - Strasznie to skomplikowane. Czym wytłumaczysz fakt, że chcieli ci zmiążyć nogę?

- Niczym. Ale im więcej nad tym myślę, tym bardziej nabieram przekonania, że jestem jak ten pionek w szachach, którego trzeba poświęcić, żeby wygrać partię.

- Ale dlaczego? - nie ustępowała. - Dlaczego? I dlaczego taki nieszkodliwy stary piernik jak profesor Witherspoon...

- Jeżeli ten nieszkodliwy stary piernik jest profesorem Witherspoon, to ja jestem Królową Śnieżką – przerwałam jej ponuro.

Przez blisko minutę słychać było tylko daleki pomruk fal i świst wiatru pośród drzew.

- Ja mam dość - oświadczyła w końcu Marie ze znużeniem. - Sam mówiłeś, że widziałeś go w telewizji i że...

- Bo też jest wyjątkowo udanym sobowtorem – wpadłem jej w słowo. - Możliwe nawet, że naprawdę nazywa się Witherspoon, ale z całą pewnością nie jest profesorem archeologii. Jest jedyną znaną mi osobą, która ma o archeologii mniejsze pojęcie niż ja. Wierz mi, to nie lada sztuka.

- Ależ on tyle wie na ten temat...

- Nic nie wie. Wykuł się z paru książek o archeologii i Polinezji, ale żadnej nie przeczytał nawet do jednej czwartej. W każdym razie nie sprawdził, że - wbrew temu, co twierdzi - w tych stronach, nie ma ani żmij, ani malarii. To dlatego nie chciał, żebyś zaglądała do jego książek. Bał się, że dowiesz się rzeczy, których on nie wie, o co nietrudno. Opowiadał o wydobywaniu z bazaltu ceramiki i przedmiotów drewnianych, a przecież lava jedne by potłukła, a drugie spaliła. Mówił, że ustala wiek znalezisk na podstawie wiedzy i doświadczenia, tymczasem każdy uczeń szkoły średniej powie ci, że bardzo precyzyjnie określa się to mierząc poziom węgla radioaktywnego. Sugerował, że wydobycie eksponatów z głębokości stu dwudziestu stóp należy uznać za rekord, a pewnie z dziesięć milionów ludzi orientuje się, że odkryty trzy lata temu szkielet, którego wiek oszacowano na dziesięć milionów lat, znaleziono w kopalni węgla w górach Toskanii na głębokości sześciuset stóp. Co się zaś tyczy stosowania w archeologii materiałów wybuchowych zamiast tradycyjnej łopaty i dłuta, to nie wspominaj o tym w British Museum, jeśli ci życie miłe.

- Ale... ale te jego eksponaty...

- Zapewne są autentyczne. Być może profesor Witherspoon naprawdę dokonał tu odkrycia, a ci z marynarki wymyślili, że stwarza to znakomity pretekst do odcięcia wyspy od świata. Mając taki parawan, nie wzbudziłiby podejrzeń krajów, które z pewnością zainteresowałyby się ich tutejszą działalnością. Wykopaliska już pewnie dawno zakończono, a na miejsce Witherspoona podstawiono jego sobowtóra, licząc się z ewentualną wizytą niespodziewanych gości. A może te eksponaty są fałszywe? Może to tylko genialny pomysł marynarki

wojennej? Witherspoon musiałby wprawdzie z nimi współpracować, ale nie byłby im potrzebny osobiście - i stąd ten podstawiony profesor. Może prasie podrzucono spreparowaną historyjkę? Rząd mógł poprosić właścicieli niektórych gazet, żeby pomogli w tym oszustwie. Nie takie rzeczy już się zdarzały.

- Tyle że pisała o tym także prasa amerykańska.
- Może to przedsięwzięcie jest angielsko-amerykańskie?
- Wciąż jednak nie rozumiem, po co mieliby ci łamać nogę - stwierdziła Marie z powątpiewaniem. - Choć kto wie, czy w którejś z twoich sugestii nie ma ziarenka prawdy.
- Niewykluczone. Dowiem się tego dziś w nocy. Odpowiedź znajdę w kopalni.
- Czyś ty na głowę upadł? - powiedziała spokojnie. - Nigdzie nie pójdziesz w takim stanie.
- To tylko krótki spacer. Dam sobie radę. Nogi mam całe i zdrowe.
- Idę z tobą.
- Nie ma mowy.
- Proszę cię, Johnny.
- Nie.

Rozłożyła ręce.

- Do niczego nie jestem ci potrzebna?
- Nie zgłupiaj się. Ktoś musi zostać na straży fortecy, żeby nikt nam nie wlaźł do domu i nie zastał dwóch pustych łóżek. Słyszac, że choćby jedno z nas oddycha, i widzac, że drugie leży tuż obok, zostawia nas w spokoju. To ja teraz wracam, przespać się ze dwie godzinki, a ty może się zabawisz z profesorem? Nie odrywa od ciebie oczu. Być może dowiesz się w ten sposób o wiele więcej niż ja.
- Niezupełnie rozumiem, co masz na myśli.
- Wiesz, stary numer *a la* Mata Hari – wyjaśniłem zniecierpliwiony. - Szepnij mu w siwą brodę słodkie to i owo, a facet zgłupieje w jednej chwili. Kto wie, jakie tajemnice zdradzi ci w zamian.
- Tak myślisz?
- Czemu nie? Jeśli chodzi o kobiety, on jest w bardzo niebezpiecznym wieku, gdzieś między osiemnastką a osiemdziesiątką.
- A jeśli zaczniesz sobie coś wyobrażać?
- No to co? Grunt, żebyś wyciągnęła z niego informacje. Najpierw obowiązek, potem przyjemność, pamiętaj.
- Rozumiem - mruknęła cicho. Podniosła się i wyciągnęła do mnie rękę. - Wstawaj, idziemy.

Wstałem. Dwie sekundy później wylądowałem z powrotem na piasku, i to nawet nie dlatego, że zaskoczyło mnie uderzenie w twarz - sprawiła to siła, z jaką rąbnęła mnie na odlew. Gdy pełen podziwu dla wybryków płci pięknej siedziałem obmacując szczękę, Marie wdrapała się na skarpe i zniknęła.

Szczękę miałem chyba w porządku. Bolała, to prawda, ale nadal przypominała moją szczękę. Wstałem więc i podpierając się kulami, ruszyłem na skraj plaży. Było już dosyć ciemno i bez kul poruszałbym się trzy razy szybciej, nie mogłem jednak wykluczyć, że stary obserwuje mnie przez lornetkę z noktowizorem.

Nasyp miał zaledwie trzy stopy wysokości, ale i tak okazał się dla mnie za wysoki. Poradziłem sobie tak, że siedząc zapierałem się kulami i w ten sposób podjechałem tyłem na szczyt skarpy. Gdy jednak wstałem i odwróciłem się, kule ugrzęzły w miękkiej ziemi i polecialem z powrotem w dół.

Upadek na plecy pozbawił mnie tchu, lecz nie było to nic poważnego. Zakląłem pod nosem i właśnie próbowałem odzyskać oddech, by posłać następną soczystą wiązanke, gdy usłyszałem szybkie, lekkie kroki i ktoś przeszedł przez nasyp. Błysk bieli, powiew

„Tajemniczej nocy” – Marie wróciła, żeby mnie wykończyć. Przygotowałem się na kolejny cios, lecz ona pochyliła się nade mną w pozycji wykluczającej użycie siły.

- Widziałam, jak upadłeś - szepnęła ochryple. – Bardzo boli?

- Nie do wytrzymania. Hej, uważaj na moje ramię!

Ale ona nie uważała. Całowała mnie. Całowała tak samo, jak biła, bez żadnych zahamowań. Nie płakała, lecz policzek miała mokry od łez. W końcu mruknęła:

- Tak mi wstyd. Przepraszam.

- Ja też przepraszam - odparłem. Nie miałem pojęcia, o czym my właściwie mówimy, ale nie było to w tej chwili najważniejsze. Marie wstała, pomogła mi przejść przez nasyp i pokuśtykałem do domu, trzymając ją za rękę. Po drodze minęliśmy domek profesora, lecz ani słowa nie wspomnieliśmy o tym, że może powinna go odwiedzić.

Tuż po dziesiątej uniosłem ściankę od strony morza i wymknąłem się na dwór. Na twarzy czułem jeszcze pocałunki Marie, ale że szczeka wciąż mnie bolała, odchodziłem nastawiony neutralnie. Oczywiście jeśli chodzi o Marie, bo moje nastawienie do innych - a konkretnie do profesora i jego ludzi - dalekie było od neutralności. W jednej ręce trzymałem latarkę, w drugiej nóż, lecz tym razem nie owinąłem ostrza materiałem. Zdziwiłbym się, gdyby na wyspie Vardu oprócz tamtego psa nie czekały mnie inne niemiłe niespodzianki.

Księżyc skrył się właśnie za wielką chmurą, ale nie ryzykowałem. Do kopalni miałem prawie ćwierć mili i cały ten dystans przebyłem na czworakach. Nie wpłynęło to najlepiej na moje lewe ramię, z drugiej jednak strony dotarłem na miejsce bezpiecznie.

Nie wiedziałem, czy profesor wystawił straż u wejścia do kopalni, wydawało mi się jednak, że ostrożność nie zawadzi. Dlatego też kiedy już wstawałem powoli, chowając się za skałą, by nie zaskoczyło mnie światło księżyca, odczekałem bez ruchu bite piętnaście minut, ale słyszałem tylko daleki szum morza i bicie mojego serca. Żaden strażnik nie wytrwa przez kwadrans w absolutnym bezruchu, chyba że śpi. A ja się śpiących nie bałem. Wszedłem do kopalni.

W sandałach na gumie bezszelestnie poruszałem się po wapieniu. Gdy już minąłem jaśniejszy wylot pieczary, nikt nie mógł mnie usłyszeć ani zauważyć. Latarki nie zapalałem. Jeżeli ktokolwiek przebywał w kopalni, to wkrótce mieliśmy się spotkać, a wołałem nie zdradzać swojej obecności. W ciemności wszyscy ludzie są równi, lecz mając nóż w ręku należałem do tych równiejszych.

Pomiędzy ścianą tunelu a torami było dość miejsca, żebym nie musiał skakać po podkładach kolejowych. Nie chciałem ryzykować potknięcia. Kierowałem się na dotyk, co chwila muskając ścianę palcami prawej ręki. Było to łatwe, musiałem tylko uważać, żeby nie zaczepić o skałę trzonkiem noża.

Wkrótce tunel skręcił ostro w prawo. Znalazłem się w pierwszej jaskini. Szukając kantem lewej stopy podkładów kolejowych, ruszyłem wzdłuż torów do korytarza naprzeciwko. Pokonanie siedemdziesięciu jardów, bo tyle wynosiła średnica groty, zajęło mi pięć minut. Nikt nie podniósł rabanu, nikt nie zapalił światła, nikt na mnie nie napadł. Byłem sam. A może tylko pozostawiono mnie samego? To jednak dwie różne rzeczy.

Trzydzieści sekund po opuszczeniu pierwszej jaskini

dotarłem do drugiej. Tej, w której według profesora dokonano pierwszych odkryć archeologicznych. Tej, gdzie po lewej znajdowały się dwa zablokowane tunele, na wprost tory, a po prawej korytarz, w którym zastaliśmy przy pracy Hewella i jego ludzi. To stąd, jak twierdził profesor, rozchodziły się wybuchy, które obudziły mnie poprzedniego dnia, tyle że całą zalegającą tam skałę można by wysadzić za pomocą paru solidnych korków. Znowu ruszyłem wzdłuż torów do tunelu naprzeciwko.

Za nim otwierała się trzecia jaskinia, a dalej czwarta. Obszedłem je dookoła i stwierdziłem, że nie ma tam korytarzy biegnących na północ, w głąb góry, natomiast z obu wychodzą tunele

prowadzące na południe. Ja jednak wszedłem w przedłużenie korytarza, którym się tam dostałem.

Ciągnął się i ciągnął w nieskończoność. Miałem wrażenie, że nigdy nie dojdę do końca. Tutaj nie prowadzono wykopalisk, był to zwyczajny, prosty tunel, zmierzający w ściśle wytyczonym celu. Teraz już musiałem iść po podkładach kolejowych, bo korytarz zwęził się do połowy pierwotnej szerokości. Zwróciłem uwagę, że biegnie lekko pod górę. Zauważyłem też, że półtorej mili od wejścia do kopalni powietrze w tunelu nadal jest świeże. To by tłumaczyło nachylenie korytarza - zapewne specjalnie wydrążono go równoległe do stoku, by ułatwić wiercenie otworów wentylacyjnych. Przebyłem już połowę drogi w kierunku zachodniej części wyspy, więc niedługo chodnik powinien zacząć opadać.

Nie myliłem się. Po prostym odcinku o długości stu jardów zaczął się spadek. W tym właśnie miejscu moja prawa ręka nie namacała ściany tunelu. Zaryzykowałem i na chwilę zapaliłem latarkę. Po prawej ujrzałem głęboką na trzydzieści jardów grotę, niemal zasypaną gruzem i odłamkami skały. W pierwszej chwili pomyślałem, że jest to efekt wczorajszych wybuchów, lecz szybko zmieniłem zdanie. Było tam dobre kilkaset ton gruzu, o wiele za dużo jak na jeden dzień pracy. Poza tym jaki sens miałoby drażnienie skały na północ, w kierunku serca góry? Prawdopodobnie grotę tę wykopano już dawno temu, a teraz służyła za magazyn, gdy trzeba było szybko usunąć gruz z korytarza.

Trzysta jardów dalej dotarłem do końca tunelu. Pomasaowałem czoło, które dokonało tego odkrycia, i zapaliłem latarkę. Zobaczyłem dwie skrzynki, prawie puste, jeśli nie liczyć kilku ładunków wybuchowych, zapalników i lontów. Niewątpliwie była to scena wczorajszych wybuchów. Oświetliłem koniec tunelu, lecz ujrzałem tylko litą ścianę o rozmiarach siedem stóp na cztery. Nagle spostrzegłem, że nie jest tak całkiem lita. Prawie na poziomie oczu sterczał z niej okrągły kamień o średnicy jednej stopy. Wyglądał, jak gdyby wciśnięto go w dziurę. I rzeczywiście. Wyciągnąłem go i zajrzałem w otwór. Miał około czterech stóp długości i zwęzał się tak, że u wylotu mierzył najwyżej dwa cale. Zobaczyłem, że po drugiej stronie coś mruga. Gwiazda. Wsunąłem kamień na miejsce i odszedłem.

Powrót do najbliższej z czterech jaskiń zajął mi pół godziny. Sprawdziłem oba wyloty biegnące na południe, ale prowadziły tylko do dwóch ślepych grot. Przeszedłem wzdłuż torów do trzeciej - licząc od wejścia - jaskini, zbadałem oba wychodzące z niej korytarze i osiągnąłem tylko tyle, że przez blisko pół godziny błądziłem w labiryncie. W końcu udało mi się wrócić do drugiej groty. Z dwóch tuneli prowadzących na północ darowałem sobie ten, w którym pracował Hewell. Nie miałem tam czego szukać. W sąsiednim także nic nie znalazłem. Dwa zawałone tunele od południa, zablokowane drewnianymi stemplami, też mogłem, rzecz jasna, pominąć. Ruszyłem więc do pierwszej jaskini. Nagle przyszło mi do głowy, że przecież nie wiem, czy te zagrodzone tunele są rzeczywiście zawałone, słyszałem o tym tylko od profesora, on zaś, jak to niezbiecie ustaliłem, nie dość, że nie ma pojęcia o archeologii, to jeszcze kłamie jak z nut.

Nie kłamał jednak, jeśli chodzi o pierwszy z tych korytarzy. Blokujące wejście pionowe stemple o wymiarach trzy cale na sześć nie dały się ruszyć, a gdy poświeciłem sobie latarką i zajrzałem przez szparę między nimi, zobaczyłem ścianę gruzu, blokującą przejście aż po strop. Czyżbym był wobec profesora niesprawiedliwy?

Może tak, a może nie. Dwa z bali zagradzających przejście do drugiego tunelu były obluźwane.

Wyciągnąłem jeden z nich tak delikatnie i ostrożnie, jak kieszonkowiec wyciąga cudzy portfel. Błysnąłem latarką i w jednej chwili przekonałem się, że nigdzie nie widać śladu zawału, jedynie szary, gładki chodnik, ginący w oddali. Wysunąłem drugi stempel i precyzyjnie się przez szczelinę do tunelu.

Dopiero wtedy odkryłem, że od środka nie sposób zastawić wejścia. Owszem, udało mi się wstawić jeden stempel, choć niezbyt dokładnie, ale przez sześciocalową szparę nijak nie mogłem manewrować drugim. Zostawiłem więc wejście otwarte i ruszyłem chodnikiem.

Trzydzieści jardów dalej skręcał nagle w lewo. Kierowałem się tak jak przedtem, to znaczy przesuając po ścianie grzbietem prawej dłoni. Ściana skręciła raptownie w prawo. Ostrożnie wyciągnąłem rękę i dotknąłem zimnego metalu. Klucz, zawieszony na haku klucza! Za nim namacałem niskie drewniane drzwi. Zdjąłem klucz z haka, wsadziłem go po omacku w zamek, przekręciłem i cal po calu uchyliłem drzwi. Uderzył mnie cierpki zapach ropy naftowej i kwasu siarkowego. Uchyliłem drzwi o dalsze dwa cale. Zawiasy zaskrzypiały grobowo, a ja nagle wyobraziłem sobie szubienicę i siebie kołyszącego się na wietrze w charakterze wisielca. Po chwili wróciłem do rzeczywistości, zrozumiałem, że dłużej nie ma co się czaić i szybko wszedłem do środka. Zamknąłem za sobą drzwi i zapaliłem latarkę.

W niewielkiej grocie o średnicy dwudziestu stóp nie zastałem nikogo, lecz gdy ją omiotłem latarką, od razu zorientowałem się, że ktoś tam niedawno urzędował.

Zrobiłem krok w przód i boleśnie kopnąłem dużym palcem w coś twardego. Spojrzałem pod nogi i zobaczyłem wielki akumulator kwasowy, podłączony do gniazdka w ścianie. Przekręciłem kontakt i jaskinię zalało światło.

Być może „zalało” to za dużo powiedziane, chyba że w porównaniu z nikłym światełkiem mojej latarki. Ze stropu zwisała goła żarówka, najwyżej czterdziestka, ale było wystarczająco jasno jak na moje potrzeby.

Środek groty zajmowały żółte skrzynie z impregnowanego drewna, które od razu wydawały mi się dziwnie znajome, a kiedy przyjrzałem im się z bliska i odczytałem napis „Świece zapłonowe Championa”, nabrałem stuprocentowej pewności, gdzie i kiedy je ostatnio widziałem: w ładowni statku Flecka. Amunicja do broni maszynowej i amonal. A więc jednak na rafie nie majaczyłem, kiedy zdawało mi się, że w oddali dostrzegam jakieś światła. Naprawdę je widziałem. To Fleck wyładowywał towar.

Po prawej stronie stały dwa drewniane stojaki, a na nich dwadzieścia pięć pistoletów maszynowych i karabinów nie znanego mi typu. Dla ochrony przed wilgocią zabezpieczono je grubą warstwą smaru. Za stojakami upchnięto trzy prostokątne metalowe skrzynki, ani chybi z amunicją. Patrząc na nie poczułem się jak prawdziwy smakosz, zasiadający do obiadu przygotowanego przez francuskiego mistrza kuchni. Gdy jednak otworzyłem wszystkie trzy skrzynki, poczułem się jak tenże smakosz, któremu w ostatniej chwili szef sali oznajmia, że właśnie zamykają lokal.

W skrzynkach nie było ani jednego naboju do karabinów czy pistoletów maszynowych. Jedna z nich zawierała proch strzelniczy, druga dziurawe jak plaster miodu bryły amonalu oraz amunicję do strzelby kaliber 0.44, a w trzeciej znalazłem spłonki, piorunian rtęci, ze sto jardów lontu i płaskie blaszane pudełko zapalników chemicznych. Większość z tych rzeczy służyła pewnie Hewellowi do wysadzania skał. Nic więcej nie odkryłem. Moje marzenia o nabitym pistolecie maszynowym i radykalnej zmianie w układzie sił na wyspie rozwiały się jak złoty sen. Amunicja bez broni, broń bez amunicji. Na nic, wszystko na nic.

Zgasilem światło i wyszedłem. A przecież wystarczyłoby mi raptem pięć minut, żeby uszkodzić całą znajdującą się tam broń. Do końca życia będę żałował, że myśl ta nie przyszła mi wówczas do głowy.

Dwadzieścia jardów dalej dotarłem do podobnych drzwi po prawej stronie tunelu. Te nie były zamknięte. Delikatnie dotknąłem klamki, nacisnąłem ją i uchyliłem drzwi. Natychmiast buchnął straszliwy fetor, gnilne wyziewy, które urywały nos, mdliły i zwały z nóg. Włos mi się zjeżył na głowie. Przeszedł mnie lodowaty dreszcz.

Otworzyłem drzwi szerzej, wszedłem do środka i zamknąłem je za sobą. Kontakt znajdował się w tym samym miejscu, co w poprzedniej grocie. Zapaliłem światło i rozejrzałem się po jaskini.

Byłem w grobowcu.

Piątek, 1.30 - 3.30

Specyficzne warunki panujące w jaskini - być może połączenie wilgoci i fosforanów - sprawiły, że zwłoki zachowały się w niemal idealnym stanie. Niezbyt zaawansowany rozkład nie zatarł rysów twarzy dziewięciu mężczyzn, których ciała leżały w odległym kącie pieczary. Ciemne plamy na ich koszulach świadczyły o tym, jak zginęli.

Zaciskając nos i oddychając tylko przez usta, zapaliłem latarkę, by przyjrzeć się zmarłym.

Sześciu z nich nie znałem. Sądząc po ich ubraniu i rękach byli robotnikami, ale wiedziałem, że nigdy się nie spotkaliśmy. Siódmego jednak rozpoznałem od razu. Białe włosy, białe wąsy i biała broda - miałem przed sobą prawdziwego profesora Witherspoona. Nawet po śmierci zadziwiająco przypominał człowieka, który zajął jego miejsce. Obok niego leżał olbrzym o rudych włosach i rudych sumiastych wąsach. Niewątpliwie doktor „Rudy” Carstairs, którego zdjęcie widziałem w prasie. Dziewiątego nieboszczyka zidentyfikowałem już na pierwszy rzut oka. Zachował się w dużo lepszym stanie niż pozostali, a jego obecność świadczyła o tym, że ktokolwiek ponowił ofertę pracy dla specjalisty z zakresu paliw, rzeczywiście takiego potrzebował. Był to bowiem doktor Charles Fairfield, mój dawny szef w Instytucie Badawczym i Zakładach Paliwowych Hepwortha - jeden z ośmiu naukowców, których zwabiono do Australii.

Pot spływał mi po twarzy, mimo że trząsałem się z zimna. Skąd tu się wziął doktor Fairfield? Dlaczego go zamordowano? Stary Fairfield był ostatnim człowiekiem pod słońcem, który mógł zobaczyć coś, czego nie powinien. Ten błyskotliwy naukowiec był bowiem ślepy jak kret, w dodatku pochłonięty wyłącznie pracą i jedyną pasją swego życia - archeologią. Archeologiczny związek między Fairfieldem a Witherspoonem od razu rzucał się w oczy, tyle że nie widziałem w tym żadnego sensu. Powody, które sprawiły, że doktor Fairfield tak nagle wyjechał z Anglii, na pewno nie miały nic wspólnego z jego wprawą w posługiwaniu się łopatą i dłutem w opuszczonych kopalniach. Ale cóż on tu wobec tego robił, na miłość boską?!

Czułem się jak w lodówce, a pocilem się coraz bardziej. Prawą ręką, w której trzymałem latarkę - w lewej ściskałem nóż - wyciągnąłem z kieszeni spodni chusteczkę i przetarłem kark. Nagle ujrzałem błysk na ścianie jaskini przed sobą - jakiś przedmiot z metalu odbił się w świetle latarki. Ale jaki? Cóż to za metalowy przedmiot? Oprócz zwłok, w grocie znajdowała się tylko instalacja świetlna i kontakt, lecz te były wykonane z bakelitu. Latarkę i chusteczkę nadal trzymałem nad głową, bez ruchu. Odblask światła na ścianie nie zniknął. Stałem jak posąg, ani na chwilę nie spuszczając z niego wzroku. Światło drgnęło.

Serce mi zamarło. Niech sobie lekarze gadają na ten temat, co chcą, a mnie i tak serce zamarło. Powoli, ostrożnie opuściłem prawą rękę, przelożyłem latarkę do lewej, jak gdybym chciał schować chusteczkę do kieszeni, zacisnąłem prawą dłoń na trzonku noża i odwróciłem się błyskawicznie.

Było ich dwóch. Zdażyli już wejść ze cztery stopy w głąb jaskini, lecz nadal dzieliło nas dobre piętnaście stóp. Chińczycy. Zachodzili mnie już z dwóch stron. Jeden z nich miał na sobie drelichowe spodnie i bawełnianą koszulę, drugi tylko bawełniane szorty. Byli boso. Potężnie zbudowani, nabici mięśniami faceci, patrzyli na mnie bez zmrużenia oka. Kamienne, typowe dla ludzi Wschodu miny nie maskowały uczuć, przeciwnie – podkreślały malujące się na ich twarzach zimne nieprzejednanie. Nie musiałem studiować podręczników etykiety, by poznać, że nie przyszli z wizytą towarzyską. Świadczyły o tym choćby ich karty wizytowe - dwa złowrogie, dwustronne, spiczaste noże. Niestety, podręczniki savoir-vivre'u przewidują w zasadzie wszystkie sytuacje, w których można nawiązać znajomość, z wyjątkiem tej jednej.

Przyznaję, że się wystraszyłem, zaprzeczenie byłoby po prostu śmieszne. Bałem się, bałem jak cholera. Dwóch na jednego, i to na inwalidę; cztery sprawne ręce przeciwko jednej; dwaj zaprawieni w bojach, przebiegli nożownicy przeciwko facetowi, który nigdy w życiu nie zatopił noża w mięsie na pieczeń, a co dopiero w żywym człowieku. A nie miałem czasu na naukę. Musiałem coś zrobić, i to szybko, zanim któryś z nich uświadomi sobie, że z odległości pięciu jardów stanowią cel, w który nie sposób nie trafić.

Rzuciłem się na nich, unosząc nóż wysoko ponad głowę, niczym maczugę. Obaj cofnęli się mimowolnie o kilka kroków, zaskoczeni moją głupotą, a może powodowani pełnym szacunku strachem, który ludzie Wschodu wykazują w obliczu szaleństwa. Zamachnąłem się nożem, zgasilem latarkę i przy dźwiękach tłuczonej żarówki w jaskini zapadły grobowe - nomen omen - ciemności.

Musiałem się ruszyć, i to szybko, zanim zorientują się, że latarka oraz świadomość, iż mogę ciąć nożem na oślep, daje mi podwójną przewagę. Ja mogłem trafić jedynie wroga, natomiast każdy z nich miał pięćdziesiąt procent szans, że zasztyletuje przyjaciela. Nie zważając na ewentualny hałas, zerwałem plaster ze szkiełka latarki, zdjąłem sandały, zrobiłem trzy susy w kierunku wyjścia, zatrzymałem się raptownie i pchnąłem sandały po ziemi tak, by stuknęły cicho w drewniane drzwi.

Gdybym zostawił im jeszcze dziesięć sekund na przemyślenie sytuacji, to chyba nie przysłoby im do głowy rzucić się na oślep w kierunku źródła dźwięku. Ale mieli najwyżej pięć sekund do namysłu, więc - co rozumiałe - uznali, że próbuję uciec. Usłyszałem szybki tupot bosych nóg, odgłosy krótkiej szamotaniny i nagły jęk bólu, który utonął w metalicznym brzęku, gdy coś upadło na podłogę.

Cztery szybkie bezszelestne kroki, jeden ruch kciuka i przygwoździłem ich białym światłem latarki. Wyglądali jak zainscenizowany żywy obraz, choć nienaturalna sztywność upodobniała ich raczej do marmurowej rzeźby. Zwróceni do siebie twarzą w twarz, niemal stykali się piersiami, ale tylko niemal. Jeden z nich lewą ręką trzymał drugiego za koszulę, a prawą przyciskał mu do ciała, tuż poniżej pasa. Drugi, którego twarzy nie widziałem, stał przegięty do tyłu niczym naprężony łuk i oburącz ścisnął prawą rękę kolegi; napięte ścięgna dłoni przywodziły na myśl szpony, kostki błyszczały mu jak wypolerowana kość. Z jego pleców, dwa cale poniżej krzyża, sterczał zakrwawiony czubek noża.

Przez dwie, może trzy sekundy - choć wydawało się, że trwa to znacznie dłużej - pierwszy z nich z niedowierzaniem gapił się na konającego. Wreszcie uświadomił sobie swój fatalny błąd, zrozumiał, że teraz przyszła kolej na niego, i otrząsnął się z szoku. Gorączkowo spróbował odzyskać nóż, lecz dogorywający strażnik unieruchomił jego prawą dłoń w żelaznym uścisku. Odwrócił się więc do mnie, desperacko unosząc lewą rękę. Może szykował się do ciosu, a może chciał się zasłonić przed promieniem latarki, który skierowałem prosto w jego zmrużone oczy, w każdym bądź razie na chwilę zupełnie się odsłonił. To mi wystarczyło. Ostrze mojego noża mierzyło dwanaście cali, a mimo to poczułem szarpnięcie nadgarstka, gdy trzonek zatrzymał się na mostku. Chińczyk zacharczał i rozchylił cienkie wargi, odsłaniając zaciśnięte zęby. Wtem ostrze złamało się i zostałem tylko z trzonkiem w rękę, a dwaj Chińczycy, nadal szczepieni ze sobą, zatoczyli się i runęli na wapienną podłogę jaskini.

Oświetliłem latarką ich twarze, lecz była to zbędna ostrożność, ci dwaj nie mogli mi już sprawić kłopotu. Zabrałem sandały, podniosłem nóż i wyszedłem, zamykając za sobą drzwi. Na zewnątrz oparłem się ciężko o ścianę tunelu i zwiesiłem ręce, łapczywie wdychając świeże powietrze. Składałem to nagle osłabienie na karb pogryzionej ręki i fetoru w grobowcu, bo krótki, acz gwałtowny epizod po drugiej stronie drzwi o dziwo nie wywarł na mnie większego wrażenia. Tak mi się w każdym razie wydawało, dopóki nie rozboleły mnie mięśnie policzkowe i nie uświadomiłem sobie, że mimowolnie rozchyliam wargi w imitacji

grymasu człowieka, którego przed chwilą zabiłem. Rozluźnienie napiętych mięśni twarzy wymagało nie lada wysiłku.

Nagle usłyszałem śpiew. A jednak! Bentall zidiociał do reszty, szok wywołany tym, co przed chwilą zrobił i zobaczył, poraził nie tylko mięśnie policzkowe. Bentall sfiksował, zbzikował, Bentall zaczyna słyszeć głosy. Jak by zareagował pułkownik Raine na wieść, że jego wierny sługa postradał zmysły? Prawdopodobnie uśmiechnąłby się tym swoim nikłym uśmiezkiem i odparł swym suchym, zakurzonym głosem, że jeśli ktoś słyszy śpiewy w opuszczonej kopalni, w dodatku patrolowanej przez chińskich zabijaków na usługach mordercy i oszusta, to jeszcze wcale nie znaczy, że zwariował. Na co jego wierny sługa przyznałby mu rację, dodając jednak, że jeśli się słyszy chór Aniołek śpiewających *Greensleeves*, to brak piątej klepki nie ulega wątpliwości.

A ja właśnie słyszałem chór kobiet śpiewających *Greensleeves*. Nie było to nagranie, bo jeden z głosów wyraźnie fałszował, inny zaś próbował trzymać tonację z nader wątpliwym skutkiem. Angielki śpiewające *Greensleeves*. Gwałtownie potrząsnąłem głową, lecz głosy nie milkły. Zatkaną uszy i śpiew ucichł. Odetkałem je - śpiew rozległ się znowu. Zatykanie uszu nie likwiduje dźwięków, które rodzą się w głowie. Fakt, że w kopalni przebywały jakieś Angielki, trudno chyba uznać za rzecz normalną, za to ja byłem całkowicie normalny. Jak w transie odepchnąłem się od drzwi i ostrożnie, by nie narobić hałasu, poczłapałem dalej tunelem, żeby to wyjaśnić.

Śpiew przybierał na sile, gdy korytarz skręcił nagle pod kątem prostym w lewo. Dwadzieścia jardów dalej dostrzegłem lekki odblask światła na lewej ścianie tunelu, na wprost miejsca, gdzie chodnik skręcał ostro w prawo. Cicho jak opadający puch podkradłem się do rogu i wyjrzałem ostrożnie niczym stary jeź, który obudził się ze snu zimowego.

Dwadzieścia stóp za zakretem tunel blokowała żelazna krata zaopatrzona w drzwiczki. Dziesięć stóp dalej znajdowała się bliźniacza krata. Pomiędzy nimi zaś ze stropu zwisała goła żarówka, oświetlająca niewielki stolik i siedzących przy nim dwóch mężczyzn w kombinezonach. Na blacie leżał stos dziwnych drewnianych klocków. Prawdopodobnie ci dwaj grali, choć nie spotkałem się dotychczas z taką grą. W każdym razie na pewno wymagała skupienia, sądząc z irytacji obu mężczyzn i ze sposobu, w jaki łypali w kierunku śpiewających za drugą kratą kobiet. One jednak ani myślały przestać. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, dlaczego śpiewają o tak późnej porze, dobrze po północy, lecz przypomniałem sobie, że dla ludzi uwięzionych w ciemnych lochach dzień i noc to puste pojęcia, które nic nie znaczą. Natomiast po co w ogóle śpiewały, tego nawet nie próbowałem odgadnąć.

Minęło ze dwadzieścia sekund, aż wreszcie jeden z graczy rąbnął pięścią w stół, zerwał się na równe nogi i chwycił jeden z dwóch opartych o krzesło karabinów. Podszedł do kraty i załomotał kolbą o metal, jednocześnie krzycząc coś gniewnie. Nie rozumiałem słów, ale pojąłem ich sens bez pomocy tłumacza. Wartownik prosił o ciszę. Na próżno - po kilkusekundowej przerwie kobiety znów zaczęły śpiewać, jeszcze głośniejsze i jeszcze bardziej fałszywie. Niedługo zaczną pewnie hymn państwowy. Mężczyzna z karabinem potrząsnął głową z niesmakiem i niedowierzaniem i wrócił powoli do stołu. Sytuacja go przerastała.

Mnie również. Może gdybym nie był taki zmęczony albo gdybym był zgoła kim innym, powiedzmy kimś dwa razy sprytniejszym, to wymyśliłbym, w jaki sposób przedostać się za kraty i unieszkodliwić strażników. W tym momencie jednak potrafiłem wymyślić tylko tyle, że mam jeden mały nóż, a oni dwa wielkie karabiny, a zresztą i tak już wyczerpałem swój przydział szczęścia na tę noc.

Odszedłem.

Kiedy wróciłem do domu, Marie spała spokojnie. Nie obudziłem jej, oby spała jak najdłużej. Jeżeli jej przeczucia się sprawdzą, będzie to ostatni sen w jej życiu.

Byłem wyczerpany umysłowo, fizycznie i psychicznie. Kompletnie wykończony i zawiedziony jak nigdy. Wracając z kopalni doszedłem do wniosku, że tylko jedno pozostało mi do zrobienia, zebrałem więc resztkę nerwów i wziąłem się w garść. Zamierzałem bowiem zabić zarówno Witherspoona - w duchu nadal go tak nazywałem - jak i Hewella. Właściwie to nawet nie tyle zabić, co zamordować z zimną krwią, zamordować ich we własnych łóżkach. A może trafniej byłoby powiedzieć: wykonać wyrok śmierci. Biegący na drugą stronę wyspy tunel i arsenał w kopalni wskazywały, że szykują atak na poligon marynarki wojennej. Sądziłem, że po śmierci Witherspoona i Hewella pozbawieni przywódców Chińczycy zrezygnują z tego planu. Nie dopuścić do ataku - to było dla mnie wtedy najważniejsze. Ważniejsze nawet niż śpiąca koło mnie dziewczyna, choć przestałem się oszukiwać, że moje uczucia do niej są takie same jak jeszcze kilka dni temu. Mimo to ona była na drugim miejscu.

Nie zabiłem jednak Hewella i Witherspoona we własnych łóżkach, a to z tego prostego powodu, że ich tam nie było. Siedzieli w salonie profesora i popijając zimne puszkowane piwo, które chiński służący donosił im co chwila, rozmawiali cicho, pochyleni nad mapami. Generał i jego adiutant przygotowujący się do rozstrzygającego natarcia. Które miało nastąpić lada chwila.

Rozczarowanie, gorzka ostatecznej porażki dobiły mnie do reszty. Przestałem zaglądać przez okno do salonu profesora i dobre pięć minut stałem tam bezmyślnie, ryzykując wpadką, aż wreszcie uruchomiłem niedobitki szarych komórek. Poczłapałem z powrotem do kopalni. O stanie mojego umysłu najlepiej świadczy fakt, że nawet mi nie przyszło do głowy pełznąć na czworakach, jak poprzednio. Ze składu broni wziąłem kilka lontów i zapalników chemicznych, wyszedłem na powierzchnię, poszperałem w siłowni, aż znalazłem kanister z benzyną, i wróciłem do siebie.

W domu wziąłem papier i ołówek, osłoniłem latarkę dłonią i w jej świetle zacząłem pisać na kartce drukowanymi literami. Zajęło mi to raptem trzy minuty, a choć nie byłem w pełni zadowolony ze swego dzieła, to jednak nie miałem wyboru. Podszedłem do łóżka i potrząsałem Marie za ramię.

Budziła się powoli, niechętnie, mrużąc coś zaspanym głosem. Nagle usiadła raptownie. W ciemności dostrzegłem błady błysk jej ramion i ruch ręki, gdy odrzucała z czoła kosmyk włosów.

- Johnny? - szepnęła. - Co się dzieje? Odkryłeś coś?
 - Aż za dużo. A teraz słuchaj uważnie i nie przerywaj, mamy bardzo mało czasu. Znasz się na radiu?
 - Na radiu? - Zamilkła. - Przeszłam rutynowe szkolenie. Potrafię nadawać Morse'em, niezbyt szybko, ale...
 - Z tym sam sobie poradzę. Czy wiesz, na jakiej częstotliwości radiotelegrafści zwracają się o pomoc?
 - Chodzi ci o SOS? Nie jestem pewna. Zdaje się, że na niskiej. A może na długich falach?
 - To jedno i to samo. Nie pamiętasz zakresu?
- Zastanawiała się, a ja raczej poczułem, niż zobaczyłem, jak potrząsa głową w ciemności.
- Przykro mi, Johnny.
 - Nieważne. - Było to bardzo ważne, jeszcze jak ważne, ale nie powinienem był robić sobie nadziei. - Pamiętasz może prywatny szyfr starego Raine'a?
 - Oczywiście.
 - Więc zaszyfruj tę depezę. - Wcisnąłem jej do ręki kartkę, ołówek i latarkę. - Jak najszybciej.

Nie spytała o cel tej prośby, która wydała jej się pewnie idiotyczna. Zakryła tylko latarkę kocem i odczytała cicho:

RIDEX COMBON LONDYN STOP UWIEZIENI NA WYSPIE VARDU OKOŁO STO PIĘCDZIESIĄT MIL NA POŁUDNIE OD VITI LEVU STOP ZAMORDOWANO DOKTORA CHARLESA FAIRFIELDA ARCHEOLOGA PROFESORA WITHERSPOONA DOKTORA CARSTAIRSA I SZEŚCIU INNYCH BILEX STOP ODKRYŁEM ZWŁOKI STOP UWIEZIONO TU ŻONY ZAGINIONYCH NAUKOWCÓW STOP O ŚWICIE NASTĄPI ATAK NA POLIGON MARYNARKI WOJENNEJ W ZACHODNIEJ CZĘŚCI VARDU STOP SYTUACJA POWAŻNA STOP NATYCHMIASTOWA POMOC Z POWIETRZA BEZWZGLĘDNIE KONIECZNA BENTALL.

Lekki odblask światła zniknął, gdy Marie zgasila latarkę. Przez dobre dwadzieścia sekund słyszałem jedynie daleki pomruk fal rozbijających się o rafę.

- Odkryłeś to wszystko tej nocy, Johnny? – odezwała się w końcu niepewnie.
- Tak. Przekopali tunel na drugą stronę wyspy. W jednej z jaskiń, gdzie przechowują materiały wybuchowe, mają dobrze zaopatrzony arsenał. Słyszałem też kobiety. Śpiewały.

- Śpiewały?
- Wiem, że to brzmi idiotycznie. To z pewnością żony naukowców, bo któżby inny? Uwijaj się z tym szyfrem. Zaraz znów muszę wyjść.

- Szyfr... w jaki sposób zamierzasz przesłać tę depeszę? - spytała bezradnie.

- Korzystając z radia profesora.

- Ale... ależ go obudzisz.

- On nie śpi. Wciąż się naradza z Hewellem. Muszę ich jakoś wyciągnąć z domu. Najpierw myślałem, żeby jakieś pół mili stąd na północ podłożyć kilka ładunków amatu z opóźnionym zapłonem, ale nic by mi to nie dało. Podpałę więc chatę robotników. Mam tu benzynę i lont.

- Oszalałeś - stwierdziła wciąż niepewnym głosem, choć chyba nie bez racji. - Chata robotników oddalona jest od domu profesora najwyżej o sto jardów. Mógłbyś wysadzić ten amatu o milę stąd, zyskać na czasie i... - Urwała, po czym spytała zniemacka: - A w ogóle skąd ten nagły pośpiech? Skąd pewność, że zaatakują o świcie?

- Ta sama odpowiedź na wszystkie pytania – odparłem ze znużeniem. - Zdetonowanie paru bomb na północy wyciągnęłoby ich z domu, a jakże, tyle że zaraz po powrocie zaczęliby dociekać, skąd się tam wzięły te ładunki. Raz dwa doszliby do wniosku, że pewnie z ich arsenału. A pierwsze, co by stwierdzili po wejściu do kopalni, to brak dwóch wartowników. Szybko by ich znaleźli. Zresztą nawet gdybym nie podłożył bomb, to i tak odkryją ich nieobecność najpóźniej o świcie. A przypuszczalnie dużo wcześniej. Tyle że nas już tu nie będzie, bo inaczej nas zabiją. A w każdym razie mnie.

- Powiedziałeś, że brakuje dwóch wartowników? - upewniła się.

- Nie żyją.

- Zabiłeś ich? - szepnęła.

- Mniej więcej.

- Boże święty, czy tobie zawsze tylko dowcipy w głowie?

- To wcale nie miał być dowcip. - Podniosłem kanister, lont i zapalniki. - Proszę cię, zaszyfruj to jak najszybciej.

- Dziwny jesteś - mruknęła. - Czasami się ciebie boję.

- Tak, wiem, powinienem nadstawić oba policzki naraz i pozwolić naszym żółtym braciom, żeby mnie poszatkowali. Kiepski ze mnie chrześcijanin, ot i wszystko.

Wyczołgałem się pod tylną ścianę, wlokąc kanister za sobą. U profesora wciąż się świeciło. Okrążyłem dom Hewella i zatrzymałem się na tyłach długiej chaty w miejscu, gdzie stromy dach opadał na wysokości czterech stóp nad ziemią. Nie zależało mi na tym, żeby spalić ten dom doszczętnie, zresztą byłoby to chyba niemożliwe, skoro w każdej chacie stały pod ścianą wielkie beczki ze słoną wodą, ale dach powinien się zająć aż miło. Powoli, z wysiłkiem,

uważając, żeby benzyna nie bulgotała, oblałem go na dole na szerokości dwóch stóp. Jeden koniec lontu wetknąłem w nasiąkniętą strzechę, a drugi do zapalnika chemicznego. Położyłem zapalnik na kamieniu, poklepałem go trzonkiem noża, przytrzymałem lont, dopóki się nie rozgrzał, i czym prędzej odszedłem. Pusty kanister wrzuciłem pod podłogę domku Hewella.

Gdy wróciłem, Marie siedziała przy stole, nakryta kocem, spod którego przebijał ciemnożółty blask. Właśnie opuszczałem ostrożnie ściankę od strony morza, gdy lampa zgasła i Marie wynurzyła się spod koca.

- Johnny? - spytała szeptem.

- Tak. Skończyłaś?

- Proszę. - Podała mi skrawek papieru.

- Dzięki. - Złożyłem kartkę i schowałem ją do górnej kieszeni. - Za cztery minuty zacznie się bal. Kiedy Hewell i Witherspoon pognają do pożaru, stań w drzwiach i wytrzeszczając oczy, ogarniając szlafrok, czy coś w tym guście, zadaj im jakieś dumę pytanie, jak to w takiej sytuacji. Potem rzuć w głąb ciemnego pokoju, żebym się nie ruszał z łóżka, niby że nie nadaję się do chodzenia, i czym prędzej się ubieraj. Włóż spodnie, skarpetki, koszulę, sweter, wszystko, co masz ciemnego. Dokładnie zakryj całe ciało. Nie tak wygląda ideał kostiumu kąpielowego, ale może dzięki temu będziesz mniej apetycznym kąskiem dla rekinów tygrysi, o których mówił profesor, niż gdybyś miała na sobie bikini. Odczep też pojemniki ze środkiem odstraszającym rekiny od zapasowych pasów ratunkowych i zamocuj je...

- Będziemy pływać? - przerwała mi. - Po co?

- Żeby przeżyć. Weźmiemy po dwa kanistry i jednym pasie ratunkowym, w ten sposób szybciej nam pójdzie.

- Ale... ale twoje ramię, Johnny. I rekiny...

- Jeśli zginę, moje ramię na nic mi się nie zda - odparłem ponuro. - A zawsze i wszędzie wolałbym się spotkać z rekinami niż z Hewellem. Dwie minuty. Muszę już iść.

- Johnny...

- O co chodzi? - burknąłem zniecierpliwiony.

- Uważaj na siebie.

- Przepraszam. - W ciemności musnąłem jej policzek. - Jestem okropnie nietaktowny.

- Nietaktowny to nie to słowo. - Przycisnęła moją dłoń do swego policzka. - Wróc, Johnny, tylko wróc.

Kiedy dotarłem do okna na tyłach domu profesora, on i Hewell wciąż jeszcze przygotowywali się do batalii. Konferencja najwyraźniej przebiegała wspaniale. Profesor mówił cicho, z naciskiem, wskazując na mapę przedstawiającą chyba część Pacyfiku, a granitowa twarz Hewella co chwila pękała w zimnym, nikłym uśmiechu. Byli zajęci, ale nie na tyle, by zapomnieć o piwie, które na pozór wcale na nich nie działało. Za to podziałało na mnie. Nagle uświadomiłem sobie, że gardło mam spieczone i suche jak pieprz. Czekaając przy oknie, marzyłem o dwóch rzeczach - o piwie i broni. O piwie, żeby zlikwidować pragnienie, a o broni, żeby zlikwidować Hewella i Witherspoona. Poczciwy stary Bentall, jak zawsze niebanalny - jeśli już coś sobie wymarzy, to koniecznie coś nieosiągalnego. A jednak znowu się pomyliłem - trzydzieści sekund później jedno z moich życzeń się spełniło.

Chiński służący przyniósł właśnie obu strategom nowe zapasy, gdy czarny prostokąt okna za głową Hewella raptownie zmienił kolor. Zza chaty Chińczyków wystrzelił jasnożółty płomień, który po kilku sekundach przeszedł w pomarańczowy, a następnie jaskrawoczerwony, kiedy płomienie wzbily się na piętnaście, dwadzieścia stóp ponad szczyt dachu. Jak widać strzecha i benzyna to wyjątkowo łatwo palna kombinacja.

Służący i Witherspoon dostrzegli to w tej samej chwili. Jak na kogoś, kto właśnie wyłopał tyle piwka, profesor wykazał zadziwiający refleks. Tym razem nie wzywał Pana Boga swego nadaremno, lecz zaklął głośno, kopniakiem usunął krzesło z drogi i wystrzelił jak rakietą. Chińczyk zareagował jeszcze szybciej, tyle że stracił sekundę na odstawienie tacy na biurko,

więc dotarł do drzwi razem w Witherspoonem. Przez chwilę szamotali się w progu, po czym profesor wygłosił kolejny, zgoła nienaukowy komentarz i zniknęli. Hewell deptał im po piętach.

Pięć sekund później siedziałem już przy biurku. Otworzyłem szafkę po prawej, zdjąłem słuchawki z haczyka, wyjąłem osadzony na bakelitowej podstawce klucz nadawczy i sprawdziłem, czy wszystko jest podłączone. Słuchawki wsadziłem sobie na głowę, a klucz położyłem na blacie. Z przodu radia ujrzałem dwa przyciski. Logicznie rzecz biorąc, powinny to być wyłączniki - jeden od sieci, drugi od nadajnika. Wcisnąłem je i okazało się, że przynajmniej połowicznie mam rację - w słuchawkach natychmiast usłyszałem głośne trzaski.

Na niskiej częstotliwości, powiedziała Marie, według niej SOS nadaje się na niskiej częstotliwości. Spojrzałem na pięć półokrągłych tarcz - środkowa była podświetlona. Przeniosłem wzrok na opisane po chińsku i po angielsku nazwy miast azjatyckich, zastanawiając się, skąd ja mam niby wiedzieć, gdzie są fale długie, a gdzie krótkie.

Nie miałem też pojęcia, czy w słuchawkach usłyszę siebie. Wystukałem próbnie SOS - cisza. Przetastowałem jeden z wyłączników do poprzedniej pozycji - bez zmian. I wtedy to zauważyłem niewielką dźwignię na bakelitowej oprawie. Przesunąłem ją ku sobie i nareszcie w słuchawkach rozległ się stukot mojego klucza. Widocznie mogłem nadawać z podsłuchem albo bez.

Tarcze były wprawdzie wyskalowane, ale nie opisane. Zawodowy radiotelegrafista od razu zorientowałby się co i jak, ale nie ja. Z boku dwóch górnych tarcz ujrzałem skrót „KHz”; koło trzech dolnych widniały litery „MHz”. Przez ładne kilka sekund ich znaczenie do mnie nie docierało, ból głowy doskwierał mi już prawie tak jak ramię. Wreszcie zrozumiałem: KHz oznacza kiloherce, MHz - megaherce. A więc najniższa częstotliwość, czyli ta, która mnie interesowała, była na górze... przynajmniej taką miałem nadzieję. Pokręciłem gałką z lewej strony, służącą - jak sądziłem - do zmiany zakresu fal, i rzeczywiście: światelko przy środkowej tarczy zgasło, a oświetliło górną.

Przekręciłem gałkę maksymalnie w lewo i zacząłem nadawać. Wystukiwałem SOS trzy razy pod rząd, czekałem sekundę, znów nadawałem, odczekałem kilka sekund, po czym zmieniałem o włos zakres fal i powtarzałem wszystko od początku. Gdyby nie piwo, zanudziłbym się na śmierć.

Minęło dziesięć minut. Przez ten czas wysłałem SOS na przynajmniej trzydziestu różnych zakresach fal, ale bez odzewu. Cisza. Spojrzałem na ścienny zegar - za minutę trzecia. Jeszcze raz wystukałem SOS. I znów bez odpowiedzi.

Siedziałem jak na rozżarzonych węglach. Wprawdzie nadal widziałem czerwoną lunę ognia, odbijającą się na ścianach pokoju, lecz nie miałem gwarancji, że Hewell i profesor zostaną tam, dopóki ostatnia szczapa się nie dopali. Mogli wrócić w każdej chwili, nie mówiąc już o tym, że ktoś mógł mnie zauważyć przez okna lub otwarte drzwi. Chwilowo nie miało to jednak większego znaczenia, wiedziałem, że jeśli nie uda mi się nawiązać kontaktu radiowego, to będzie po mnie. O wiele bardziej martwiło mnie to, czy ktoś nie odkrył już w kopalni martwych strażników, bo wówczas także byłoby po mnie, tyle że dużo szybciej. Czy już szukają strażników, bo nie stawili się do raportu? A jeśli profesor sprawdzi, czy naprawdę leżę w łóżku? Jeśli ktoś znajdzie kanister po benzynie pod podłogą domu Hewella? Pytania można było mnożyć bez końca, lecz wszystkie nasuwały tak niemiłe odpowiedzi, że wybiłem je sobie z głowy. Łyknąłem jeszcze trochę piwa i stukąłem dalej.

W słuchawkach zatrzeszczało. Nachyliłem się, jak gdybym mógł się w ten sposób zbliżyć do rozmówcy, i powtórnie nadałem SOS. I znów w uszach zadźwięczało mi Morse'em. Rozróżniałem poszczególne litery, ale nie rozumiałem słów. Czterokrotnie powtórzyło się: *Akita Maru, Akita Maru*. Japoński statek, japoński telegrafista. Nie ma to jak Bentallowe szczęście. Zmieniłem zakres fal.

Myślałem o tym, co robi Marie. Pewnie gotowa do drogi czeka z niepokojem, zastanawiając się, co mnie, u licha, zatrzymało? Pewnie spogląda na zegarek ze świadomością, że zostały nam już tylko te trzy godziny dzielące nas od świtu, oczywiście pod warunkiem, że nie znaleziono już martwych strażników, bo jeśli tak, to zostało nam mniej czasu. O wiele mniej. Stukając kluczem, jednocześnie układałem sobie w myślach mówkę, którą zamierzałem palnąć pułkownikowi Raine po powrocie. Jeżeli wrócę.

W słuchawkach usłyszałem szybki, płynny terkot Morse'a. Najpierw potwierdzenie odbioru, a potem:

- Amerykańska fregata *Novair County*. Pozycja, nazwa?

Amerykańska fregata! Może ze sto mil od nas. To by rozwiązało nasze problemy! Fregata. Rewolwery, pistolety maszynowe, uzbrojeni marynarze, wszystko co trzeba. Nagle moja euforia opadła. Pozycja? Nazwa? Oczywiście, wysyłając SOS zawsze podaje się najpierw pozycję.

- Sto pięćdziesiąt mil na południe od Fidżi - wystukałem. - Vardu...

- Szer. i długość? - wtrącił telegrafista. Nadawał tak szybko, że ledwie go rozumiałem.

- Nie wiem.

- Jaki statek?

- To nie statek. Wyspa Vardu...

I znowu mi przerwał.

- Wyspa?

- Tak.

- To wyłącz się, bałwanie, i żebym cię więcej nie słyszał. Jesteś na częstotliwości alarmowej. - Po tych słowach nadawanie urwało się raptownie.

Chętnie wykopałbym cały ten nadajnik aż do laguny. Telegrafistę z *Novair County* potraktowałbym zresztą tak samo. Z bezsilnej wściekłości miałem ochotę płakać, ale nie było czasu na łzy. Poza tym nie mogłem go winić. Jeszcze raz nadałem SOS na tej samej fali, lecz telegrafista z *Novair County* - bo któż by inny? - nacisnął swój klucz i trzymał go tak dopóki się nie wyłączyłem. Znowu przekręciłem gałkę o włos. Przynajmniej uzyskałem bezcenną informację - że jestem na właściwej fali. Pal się, chatko, pal, błagałem w duchu. Nie gaśnij, jeśli ci stary Bentall miły. Zważywszy na to, jak ją potraktowałem, prośba taka zakrawała na bezczelność.

Lecz chatka paliła się nadal, a ja nadal stukiałem kluczem. Po dwudziestu sekundach uzyskałem kolejny odzew.

- Ss. *Annadale*. Pozycja?

- Bandera australijska? - zapytałem.

- Tak. Pozycja, powtarzam, pozycja? - Zirytował się, i słusznie. Jeśli ktoś wzywa pomocy, to nie powinien zaczynać od badania rodowodu wybawcy. Zanim odpowiedziałem, zawahałem się przez chwilę; musiałem z miejsca wyrzucić na telegrafistę odpowiednie wrażenie, żeby nie potraktował mnie równie krótko, jak jego amerykański kolega. Częstotliwość alarmowa we wszystkich krajach uchodzi za świętość.

- Brytyjski agent specjalny John Bentall prosi o natychmiastowe przesłanie zaszyfrowanej depeszy do siedziby admiralicji w Whitehall, w Londynie. Superpilne.

- Toniecie?

Odczekałem chwilę, ale że szlag nagły mnie nie trafił, odparłem:

- Tak. - Wyglądało na to, że lepiej nie wdawać się w dyskusje. - Proszę się przygotować do odbioru depeszy. - Byłem pewny, że pożar dobiega końca, z chaty niewiele już pewnie zostało.

Nastąpiła długa przerwa. Nie śpieszyli się z podjęciem decyzji. Wreszcie usłyszałem jedno tylko słowo:

- Pierwszeństwo - i znak zapytania.

- Adres podany w depeszy zapewnia bezwzględne pierwszeństwo w drodze do Londynu. Nareszcie coś go ruszyło.

- Proszę nadawać.

Przesłałem więc zaszyfrowany tekst, zmuszając się, by stukać powoli, dokładnie. Czerwony blask na ścianach pokoju przygasł, wściekły huk płomieni ustąpił miejsca leniwym trzaskom. Zdawało mi się, że słyszę głosy. Od spoglądania przez ramię na okno zeszytywniał mi kark, ale nie przeszkodziło mi to w nadaniu depeszy. Zakończyłem słowami:

- Prześlijcie dalej natychmiast.

Pół minuty później usłyszałem:

- Kapitan się zgadza. Czy grozi wam niebezpieczeństwo?

- Widzę nadpływający statek - odpowiedziałem. To go powinno uspokoić.

- Dobrze.

Nagle przyszło mi coś do głowy.

- Jaka jest wasza pozycja?

- Dwieście mil na wschód od Newcastle.

Jak na moje potrzeby równie dobrze mogliby krążyć na orbicie, wobec czego odparłem: - Dziękuję ogromnie - i wyłączyłem się.

Odłożyłem słuchawki i klucz nadawczy na miejsce, zamknąłem szafkę biurka, podszedłem do okna i z zaciekawieniem wyjrzałem na dwór. A jednak przecenilem te wielkie beczki ze słoną wodą - z niedawnej chaty robotników pozostał teraz tylko wysoki na pięć stóp stos popiołu i węgla. Szkoda, że za pracę w kontrwywiadzie nie dają Oskarów, bo jako podpalacz nie ustępowałbym najlepszym. A w każdym razie na pewno się nie skompromitowałem. Hewell i profesor stali obok siebie i chyba rozmawiali, a Chińczycy biegali z kubłami wody i zalewali dymiące pogorzelsko. Wyglądało na to, że niewiele mogą tam już zdziałać, toteż w każdej chwili należało się spodziewać ich powrotu. Czas na mnie. Przeszedłem korytarzem, skręciłem w prawo, by wyjść przez jasno oświetloną kuchnię, i nagle zatrzymałem się, jak gdyby wyrosła przede mną niewidzialna ściana.

Zastopował mnie tak widok trzcinowego kosza pełnego pustych puszek po piwie. Boże przenajświętszy, piwo! Nie ma to jak Bentall, ten nic nie przegapi, a już zwłaszcza rzeczy uderzająco oczywistych. W salonie wydudliłem przecież dwie szklanki piwa, a puste puszeki zostawiłem na biurku! Ani profesor, ani Hewell nie zapomną chyba, że zostawili pełne szklanki, a już na pewno nie zapomni o tym służący. Nie pomyślą też raczej, że przez ten pożar piwo wyparowało z gorąca. Wyciągnąłem dwie pełne puszeki ze skrzynki, otworzyłem je w równe cztery sekundy kluczem, który znalazłem na zlewie, podbiegłem do biurka i napelniłem obie szklanki, trzymając je na skos, by nie powstała podejrzenie wysoka piana. Następnie wróciłem do kuchni, cisnąłem puste puszeki na stertę innych - tej nocy poszło ich tyle, że dwie w te czy wewte nie robiło różnicy - i wyszedłem na dwór. W samą porę - Witherspoon podchodził właśnie do drzwi frontowych. Udało mi się jednak niepostrzeżenie przemknąć do siebie.

Wczołgałem się pod ściankę z zielska i od razu zobaczyłem Marie. Stała w drzwiach i obserwowała zgliszczą. Zawołałem ją szeptem.

- Johnny! - Podbiegła do mnie. Nikt nigdy nie ucieszył się tak na mój widok. - Odkąd wyszedłeś, umierałam ze sto razy.

- Tylko tyle? - Przytuliłem ją zdrowym ramieniem. - Nadałem depeszę, Marie.

- Nadałeś? - Byłem wykończony, tak psychicznie, jak fizycznie, ale chyba tylko kompletny kretyń może się nie zorientować, że oto usłyszałem największy komplement w życiu. A ja się nie zorientowałem. - Udało ci się? To cudownie, Johnny!

- Po prostu fart. Trafił mi się sensowny telegrafista z australijskiego statku. Dzięki niemu depesza jest już w drodze do Londynu. I wywoła jakąś reakcję. Jaką - tego nie wiem. Jeżeli w pobliżu są jakieś brytyjskie, amerykańskie albo francuskie statki, to za kilka godzin będą

jeszcze bliżej. A może zrzucą tu desant spadochroniarzy z Sydney? Nie mam pojęcia. Ale jedno jest pewne, że i tak nie zdążą na czas...

- Ciii! - Położyła mi palec na ustach. - Ktoś idzie.

Usłyszałem głosy dwóch mężczyzn - jeden mówił szybko, ostrym tonem, drugi brzmiał niczym betoniarka jadąca pod górę na pierwszym biegu. Witherspoon i Hewell. Dzieliło ich od nas dziesięć jardów, może nawet mniej. Przez szpary w ścianie widziałem rozkołysaną lampę, którą niósł jeden z nich. Popędziłem do łóżka, gorączkowo szukając bluzy od piżamy. Włożyłem ją, zapiąłem pod szyję i wskoczyłem pod koc. Wylądowałem na łokciu pogryzionej ręki, nic więc dziwnego, że gdy od drzwi dobiegło pukanie i obaj weszli nie czekając na zaproszenie, naprawdę źle wyglądałem. Czyli dokładnie tak, jak się czułem.

- Proszę nam wybaczyć, pani Bentall - odezwał się gładko profesor. W jego głosie brzmiała mieszanina zatroskania i skondensowanej obłudy, która pewnie by mnie przyprawiła o mdłości, gdyby nie to, że i tak już mnie mdliło. Z drugiej strony nie mogłem wyjść z podziwu dla jego niepospolitych umiejętności przeistaczania się w zależności od sytuacji. W świetle tego, co tam widziałem, słyszałem i zrobiłem, łatwo można było zapomnieć, że wciąż się bawimy w ciuciubabkę. - Niepokoiłiśmy się, co u was słychać, czy wszystko w porządku. Przykra historia, bardzo przykra. - Poklepał Marie w sposób, który jeszcze kilka dni temu pewnie by mi nie przeszkadzał, i poświecił na mnie lampą. - Boże miłosierny, ty naprawdę źle wyglądasz, mój chłopcze. Jak się czujesz?

- Tylko w nocy trochę mi jeszcze doskwiera – odparłem dzielnie. Ostentacyjnie odwróciłem głowę, na pozór przed oślepiającym światłem lampy, a tak naprawdę dlatego, że w tych okolicznościach wolałem nie rozsiewać w jego kierunku oparów piwa. - Do rana ból minie bez śladu. Straszny był ten pożar, profesorze. Szkoda, że nie mogłem wstać i wam pomóc. Jak do tego doszło?

- To przez tych cholernych żółtków! - warknął Hewell. Wielki jak góra, stał poza zasięgiem światła; jego głęboko osadzone oczy całkiem ginęły pod obwisłymi, krzaczastymi brwiami. - Albo palą fajki, albo parzą herbatę na prymusach. Ostrzegałem ich setki razy.

- To wbrew wszelkim przepisom - zawtórował profesor z irytacją. - Doskonale o tym wiedzą. No, ale wyjeżdżamy już niedługo, więc do tego czasu mogą spać w suszarni. Mam nadzieję, że nie popsuło wam to humoru. Zbieramy się. Czy możemy coś dla ciebie zrobić, kochanie?

Nie mnie miał chyba na myśli, wobec czego ze zduszonym jękiem opadłem na poduszkę. Marie podziękowała za troskę.

- A zatem dobranoc. Przy okazji, na śniadanie możecie przyjść o dowolnej porze, zajmie się wami mój służący. Jutro Hewell i ja wstajemy skoro świt. – Zarechotał ponuro. - Archeologia jest jak łagodna trucizna... jak już wejdzie w krew, to na dobre.

Nim wyszli, jeszcze raz poklepał moją „żonę” po ramieniu. Odczekałem, aż Marie da znać, że obaj wrócili do siebie, po czym rzekłem:

- Jak to mówiłem, zanim nam przerwali, pomoc wprawdzie nadejdzie, ale za późno. Jeśli chcemy ocalić skórę, musimy stąd zwiewać. Przygotowałaś pasy ratunkowe i środek przeciwko rekinom?

- Przerażająca para, nie sądzisz? - mruknęła. - Wolałabym, żeby ten stary cap trzymał łapy przy sobie. Tak, przygotowałam. Czy to konieczne, Johnny?

- Do diabła, nie rozumiesz, że musimy uciekać?

- Tak, ale...

- Łądem nie da rady, bo to i góra, i urwisko, i podwójne zasięki po drodze, a do tego jeszcze chmara Chińczyków. Moglibyśmy spróbować tunelem, tyle że kilku zdrowych mężczyzn wyrębałoby kilofem te ostatnie kilka stóp skały w godzinę, ale ja nie poradziłbym sobie przez tydzień.

- Mógłbyś ją wysadzić. Wiesz, gdzie trzymają...

- Niech Bozia ma nas w swojej opiece! Z ciebie jeszcze większa ignorantka niż ze mnie. Drażenie tuneli wymaga kwalifikacji. Nawet jeżeli nie zwałilibyśmy sobie stropu na głowę, to ani chybi zasypalibyśmy wylot, a wtedy nasi przyjaciele mogliby nas stamtąd wygarnąć w dowolnej chwili. Nie możemy skorzystać z łodzi, bo obaj wiosłarze śpią na przystani, a zresztą to i tak odpada, gdyby taka prosta metoda wchodziła w rachubę, to Witherspoon i Hewell, mając do dyspozycji dzielnego kapitana Flecka, nie bawiliby się w drażnienie tunelu. Skoro marynarka wojenna tak się zabezpieczyła przed ewentualną wizytą domniemyanych przyjaciół, to jakie środki ostrożności zastosowali od strony morza, gdzie każdy może się natopoczyć? Głowę daję, że zainstalowali tam radar zdolny wychwycić podpływającą do brzegu mewę, a do tego pewnie parę szybkostrzelnych karabinów. Nie podoba mi się wprawdzie, że musimy zostawić tu naukowców i ich żony, ale nie widzę sposobu...

- Nic nie mówiłeś o żadnych naukowcach - wtrąciła ze zdziwieniem.

- Nie? Widocznie uznałem, że to oczywiste. Choć kto wie? Może się mylę. Ale wobec tego po co by tu trzymali ich żony? Marynarka wojenna najwyraźniej prowadzi tu ważne badania, a ten cholerny siwy staruch tylko czeka, żeby się do tego dobrać. Sądząc z jego ostatniej uwagi - bo pewne jak dwa a dwa cztery, że kłamie do końca - czekanie już mu się znudziło. Zamierza zdobyć to coś i wykorzystać zakładniczki, żeby zmusić ich mężów do współpracy. Po co, tego jeszcze nie wiem, ale na pewno w jakimś łajdackim celu. - Wygramoliłem się z łóżka i zdjąłem bluzę od piżamy. - Przychodzi ci do głowy jakaś alternatywa? Osiem zaginionych żon i tyluż naukowców. Witherspoon na pewno chce się nimi posłużyć, inaczej nie zawracałby sobie głowy, tylko poczęstował je paroma uncjami ołowiu, tak samo jak prawdziwego Witherspoona i pozostałych. Ten facet jest szalony, wyprany z wszelkich uczuć. A miejsce męża jest przy żonie. Nie sądzisz chyba, że pułkownik Raine wysłał nas na Fidżi, żebyśmy mogli potańczyć hula-hula?

- To się tańczy na Hawajach, a nie na Fidżi - sprostowała cicho.

- Chryste Panie! -jęknąłem. - Kobiety!

- Nie widzisz, wariacie, że tylko się z tobą droczę? - Objęła mnie za szyję i przytuliła. Dłonie miała nienaturalnie zimne, dygotała. - Nie rozumiesz, że muszę? Nie potrafię tak siedzieć i o tym rozprawiać jakby nigdy nic. Zdawało mi się, że w tym fachu jestem całkiem dobra, pułkownik Raine zresztą uważał tak samo, ale już tak nie myślę. Za dużo w tym wyrachowania, nieludzkiej obojętności, nie liczy się dobro, zło czy moralność, a tylko to, co praktyczne... wszyscy ci ludzie zabici bez powodu, a teraz jeszcze i my, bo chyba oszalałeś, skoro masz nadzieję, że przeżyjemy... W dodatku te biedne kobiety, zwłaszcza one... - Zamilkła, westchnęła przeciągle i szepnęła: - Opowiedz mi jeszcze raz o tym, jak będziemy tylko my dwoje i światła Londynu.

Opowiedziałem jej, opowiedziałem jej tak, że sam niemal w to uwierzyłem. Ona też chyba uwierzyła, bo już po chwili przestała dygotać, lecz kiedy ją pocałowałem, wargi miała zimne jak lód. Odwróciła się i ukryła twarz w mojej szyi. Trzymałem ją tak jeszcze przez minutę, po czym jak na komendę odsunęliśmy się od siebie i zaczęliśmy wkładać pasy ratunkowe.

Niebo było zachmurzone. Zgliszczą chaty robotników jaśniały w ciemności czerwonym blaskiem, wydzielając ostry śwąd. U profesora wciąż się świeciło. Tej nocy nie zamierzał spać, poznałem go na tyle, by wiedzieć, że jedna bezsenna noc w zamian za nieopisaną rozkosz napawania się wizjami nadchodzącego dnia to dla niego pestka.

Ledwie wyszliśmy, zaczęło padać. Ciężkie krople deszczu rozpryskiwały się i syczały w dogasającym ogniu. Dla nas były to wymarzone warunki. Nikt nie zauważył naszej ucieczki, bo nikt nie mógł nas zobaczyć z odległości większej niż dziesięć stóp. Brzegiem wyspy przeszliśmy na południe prawie półtorej mili i dopiero gdy weszliśmy na teren, który - tak jak poprzedniej nocy - mogli patrolować Chińczycy Hewella, skręciliśmy do wody. Zanurzyliśmy się do pasa i na wpół idąc, na wpół płynąc, oddaliliśmy się od brzegu o jakieś dwadzieścia pięć jardów. Gdy jednak dotarliśmy do miejsca, skąd mogłem dojrzeć ciemny nawis skalny,

oznaczający początek zasieków, wypłynęliśmy ze dwieście jardów w morze. Wolałem nie ryzykować, że nagle zaleje nas światło księżyca.

Nie przypuszczałem wprawdzie, że na brzegu mogliby nas usłyszeć, a mimo to nadmuchałem pasy jak najwolniej. Woda była chłodna, ale nie zimna. Popłynąłem przodem, odkręcając pojemnik ze środkiem odstraszającym rekiny. Natychmiast po powierzchni rozlał się cuchnący, za dnia prawdopodobnie żółty płyn. Nie wiem, czy rzeczywiście działał odstraszająco na rekiny, mnie w każdym razie odrzucił.

Piątek, 3.30 - 6.00

Deszcz przeszedł w mżawkę, a w końcu ustał zupełnie, za to ciemności nic nie rozpraszało. Rekiny omijały nas z daleka. Płynęliśmy wolno, bo lewą rękę miałem w zasadzie bezużyteczną, ale najważniejsze, że się posuwaliśmy do przodu. Mniej więcej po godzinie uznałem, że zostawiliśmy zasieki dobre pół mili za sobą i powoli skierowaliśmy się w stronę lądu.

Niecałe dwieście jardów od brzegu stwierdziłem, że zmieniliśmy kierunek przedwcześnie - wysokie urwisko było bardziej wysunięte na południe, niż się spodziewałem. Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko telepać się dalej - teraz już nasze niezborne ruchy trudno byłoby nazwać pływaniem - z nadzieją, że nie stracimy orientacji w znów gęstniejącej mżawce.

Szczęście nam jednak sprzyjało - nie zawiodło nas poczucie orientacji. Gdy wreszcie przestało się ślizić, ujrzałem, że od cienkiej wstążki piasku, wyznaczającej linię brzegową, dzieli nas najwyżej sto pięćdziesiąt jardów. Niby niewiele, a mnie się zdawało, że to całe sto pięćdziesiąt mil. Po drodze miałem niejasne wrażenie, że zaczął się odpływ, widocznie się jednak myliłem, bo inaczej już dawno zniosłoby nas na pełne morze. To pewnie rezultat osłabienia. A mimo to nie czułem zmęczenia ani wysiłku, jedynie bezsilny gniew - do szewskiej pasji doprowadzał mnie fakt, że szło nam tak wolno, choć czas naglił straszliwie.

Trąciłem stopami dno i wstałem chwiejnie w głębokiej po pas wodzie. Zatoczyłem się i byłbym upadł, gdyby Marie nie złapała mnie za ramię. Ona była w dużo lepszej formie. Razem poczłapaliśmy na brzeg. Jeżeli mój wygląd choć trochę odzwierciedlał moje samopoczucie, to byłem chyba krańcowym przeciwieństwem Wenus wynurzającej się z fal. Wygramoliwszy się z wody, w jednej i tej samej chwili klapnęliśmy razem na piasek.

- Nareszcie, Bogu dzięki! - wysapałem. Powietrze uchodziło mi z płuc ze świstem, niczym z dziurawych miechów kowalskich. - Myślałem już, że nigdy nie dopłyniemy.

- My też tak myśleliśmy - przytaknął jakiś przeciągły głos. Odwróciliśmy się i natychmiast oślepiły nas dwie silne latarki. - Nie śpieszyło wam się, to fakt. Nie próbujcie... jasny gwint, przecież to kobieta!

Z biologicznego punktu widzenia niewątpliwie miał rację, choć w odniesieniu do Marie Hopeman określenie to wydało mi się z gruntu niestosowne. Puściłem to jednak mimo uszu.

- Od dawna nas widzieliście? - zapytałem wstając z wysiłkiem.

- Od dwudziestu minut - wycedził tamten. - Nasz radar wyłapałby krewetkę, gdyby wystawiła głowę ponad powierzchnię. A niech mnie, kobieta! Jak się nazywacie? Macie broń? - Nie ma to jak porządnie poszufladkowany umysł.

- Mam nóż - wyjaśniłem apatycznie. - Jak pan chce, może pan go sobie wziąć, nie dałbym teraz rady ściąć asparagusa. - Przestali nas już oślepiać latarkami i dostrzegłem zarysy trzech ludzi w białych mundurach. Dwaj trzymali broń. - Nazywam się Bentall. A pan jest z marynarki wojennej?

- Anderson. Podporucznik Anderson. Skąd się tu wzięliście, na miłość boską? Co was sprowadza...

- Z tym można poczekać - wpadłem mu w słowo. - Proszę nas zaprowadzić do komendanta. Byle szybko, to sprawa nie cierpiąca zwłoki. Natychmiast.

- Nie tak prędko, przyjacielu - zaoponował wojak przeciągle. - Pan chyba nie zdaje sobie sprawy...

- Powiedziałem: natychmiast. Niech pan słucha, Anderson, wygląda pan na dobrze zapowiadającego się oficera, ale gwarantuję, że pańska obiecująca kariera skończy się jeszcze dzisiaj, jeżeli nam szybko nie pomożecie. Niech pan nie będzie idiotą. Myśli pan, że

zjawilibyśmy się tu w ten sposób, gdyby wszystko było w porządku? Jestem agentem brytyjskiego wywiadu, podobnie jak panna Hopeman. Daleko do komendanta?

Albo Anderson nie był idiotą, albo zastanowił go mój głos, bo po chwili wahania odparł:

- Prawie dwie mile. Ale przy radarze, jakieś ćwierć mili stąd, jest telefon. - Skinął ręką w kierunku podwójnych zasieków z drutu kolczastego. - Jeżeli to naprawdę pilne...

- Proszę tam wysłać jednego z pańskich ludzi. Niech powie komendantowi... a właściwie, jak on się nazywa?

- Kapitan Giffiths.

- Niech powie kapitanowi Griffithsowi, że niedługo, prawdopodobnie w ciągu najbliższych dwóch godzin, nastąpi atak na wasz poligon - rzekłem szybko. - Profesor Witherspoon i jego asystenci, którzy prowadzili wykopaliska archeologiczne po drugiej stronie wyspy, zostali zamordowani. Mordercy przekopali...

- Zamordowani? - Zbliżył się do mnie. - Czy dobrze pana zrozumiałem?

- Niech mi pan pozwoli skończyć. Przekopali tunel i starczy, że wydrążą jeszcze kilka stóp wapienia, a będą mogli wyjść z tej strony. Niestety nie wiem dokładnie gdzie, prawdopodobnie ze sto stóp nad poziomem morza. Musicie rozesłać patrole, żeby nasłuchiwały stukania kilofów, bo nie sądzę, żeby chcieli skorzystać z materiału wybuchowego.

- Rany boskie!

- Wiem, wiem. Ilu macie ludzi?

- Osiemnastu cywilów, reszta z marynarki. W sumie około pięćdziesięciu.

- Uzbrojenie?

- Karabiny i pistolety maszynowe, razem kilkanaście sztuk. Proszę posłuchać, panie, hm... Bentall, jest pan pewien... to znaczy, skąd mogę wiedzieć...

- Jestem pewien. Na miłość boską, człowieku, pośpiesz się!

Po chwili wahania odwrócił się do jednego ze swoich ludzi.

- Słyszałeś, Johnston?

- Tak jest, poruczniku. Witherspoon i pozostali nie żyją. Wkrótce nastąpi atak przez tunel. Wysłać patrole, nasłuchiwać. Zrozumiałem.

- Dobra. To biegiem marsz! - Johnston popędził co sił w nogach, Anderson zaś odwrócił się do mnie. - Proponuję, żebyśmy poszli od razu do kapitana. Proszę mi wybaczyć, ale mat Allison będzie szedł z tyłu, za wami. Wdarliście się nielegalnie na zamknięty teren, więc nie mogę ryzykować. Przynajmniej dopóki się nie upewnię, że mówicie prawdę.

- A niech sobie idzie za mną, byleby nie odsuwał bezpiecznika - odparłem ze znużeniem. - Nie po to przejechałem taki szmat świata, żeby któryś z pańskich ludzi zastrzelił mnie tylko dlatego, że się zaplątał we własne nogi.

Ruszyliśmy gęsiego, w milczeniu. Anderson z latarką w ręku szedł na czele, Allison i jeszcze jeden marynarz zamykali pochód. Byłem otępiały i czułem się ogólnie paskudnie. Na wschodzie zza horyzontu wyjrzały szarawe przebłyski świtu. Uszliśmy jakieś trzysta jardów ledwie widoczną ścieżką prowadzącą pośród karłowatych palm i niskich krzewów, gdy nagle pilnujący mnie marynarz coś krzyknął. Zbliżył się do mnie i zawołał:

- Poruczniku!

Anderson zatrzymał się i odwrócił.

- O co chodzi, Allison?

- Ten człowiek jest ranny. Poważnie ranny. Proszę spojrzeć na jego lewe ramię.

Wszyscy spojrzeli na moje lewe ramię, a już z największym zainteresowaniem ja sam. Mimo iż płynąc starałem się nie używać tej ręki, wysiłek otworzył mi rany, bo całe ramię miałem zalane krwią. Słona woda rozproszyla krew tak, że ręka wyglądała dużo gorzej niż powinna, za to lepiej oddawała moje samopoczucie.

Moje uznanie dla Andersona rosło z każdą chwilą. Podporucznik nie tracił czasu na wyrazy współczucia i biadolenie.

- Mogę oderwać ten rękaw? - zapytał tylko.

- A proszę bardzo - odparłem. - Tylko żeby mi pan przy okazji nie oderwał ramienia. Zdaje się, że wisi na włosku.

Anderson nożem Allisona odciął mi rękaw. Ujrzałem, jak jego szczupła, inteligentna twarz ściąga się na widok ran.

- To robota waszych przyjaciół z kopalni fosforanów?

- Właśnie. Mieli psa.

- Wdała się tu chyba jakaś infekcja, gangrena albo jedno i drugie. W każdym razie wygląda to paskudnie. Całe szczęście, że mamy tu lekarza wojskowego. Proszę to potrzymać - rzekł do Marie, podając jej latarkę. Zdjął koszulę, porwał ją na kilka szerokich pasów i ciasno zabandażował mi ramię. - Na infekcję to nie pomoże, ale zatamuje krwotok. Cywile mieszkają najwyżej pół mili stąd. Wytrzyma pan? - Rezerwa ulotniła się z jego głosu, widok mojej lewej ręki podziałął jak referencje od Pierwszego Lorda Admiralicji.

- Wytrzymam. Nie jest tak źle.

Dziesięć minut później z szarówki wychynął długi, niski budynek. Andersen zapukał do drzwi, wszedł do środka i włączył górne światło.

Wnętrze przypominało stajnię. Jedną trzecią pomieszczenia zajmowało coś w rodzaju wspólnego salonu, a resztę dwa rzędy klitek o wymiarach osiem stóp na osiem, przedzielonych wąskim korytarzem. Każda miała osobne drzwi; przepierzenia między nimi nie sięgały sufitu. Na wyposażenie salonu składała się brązowa wykładzina podłogowa, dwa małe stoliki z przyborami do pisania oraz siedem czy osiem płóciennych i trzciniowych krzeseł. Jak na prawdziwy dom to trochę za mało, ale jak na coś, co po wyjeździe marynarki rozsypie się w proch, było tego w sam raz.

Anderson ruchem głowy wskazał mi krzesło. Nie musiał powtarzać zaproszenia. Stałem w niewielkiej wnęce, podniósł słuchawkę telefonu, którego wcześniej nie zauważyłem, i pokręcił korbką prądnicy. Po chwili odwiesił słuchawkę.

- Cholerny grat - rzucił z irytacją. - Zawsze siada, jak jest najbardziej potrzebny. Przykro mi, Allison, ale czeka cię dłuższy spacer. Przepróż ode mnie porucznika Brookmana i sprowadź go tu z jego torbą lekarską. Wy tłumacz mu dlaczego. A kapitanowi powiedz, że przyjdziemy, jak tylko się da.

Allison wyszedł. Spojrzałem na Marie, siedzącą po drugiej stronie stolika, i uśmiechnąłem się. Moje pierwsze wrażenie dotyczące Andersona było fałszywe, oby wszyscy byli równie operatywni jak on. Ogarnęła mnie przemożna pokusa, aby zamknąć oczy i zasnąć, ale pomyślałem o zakładniczkach w rękach Witherspoona i Hewella i cała senność minęła.

Otworzyły się drzwi pierwszej kabiny po lewej i na korytarz wyszedł wysoki, przedwcześnie posiwiły chudzielec w samych spodenkach. Zsunął na czoło grube okulary w rogowej oprawie, ścierając sen z oczu. Poznał Andersona i już miał się odezwać, gdy naraz ujrzał Marie i pierzchnął do siebie z dziwnym piskiem.

Nie on jeden się zdziwił, jego zaskoczenie ani się umywało do mojego. Opierając się o stół, wstałem powoli - Bentall na swój niezrównany sposób dawał do zrozumienia, że oto ujrzał przed sobą ducha. Wciąż jeszcze sprawiałem takie wrażenie, gdy okularnik wrócił otulony w długi, sięgający kostek szlafrok. Tym razem najpierw zobaczył mnie. Stał jak wryty, przyjrzał mi się, wysuwając głowę osadzoną na długiej, chudej szyi i podszedł do mnie powoli.

- Johnny Bentall? - Wyciągnął rękę i dotknął mego ramienia, prawdopodobnie sprawdzając, czy aby nie jestem zjawą. - Johnny Bentall!

Przymknąłem rozdziawione szczęki na tyle, by móc się odezwać.

- We własnej osobie. Prawdę mówiąc, ja też nie spodziewałem się zastać pana tutaj, doktorze Hargreaves. - Ostatnio widzieliśmy się ponad rok temu, kiedy pracował u Hepwortha jako szef działu hipersoniki.

- A ta pani? - Nawet w najbardziej stresowych sytuacjach wychodził z niego pedant do szpiku kości. - Pańska żona, Bentall?

- Raz tak, raz nie - odparłem. - Marie Hopeman, niegdyś pani Bentall. Później to panu wyjaśnię. Co pan tu...

- Pańskie ramię! - rzucił nagle ostrym tonem. - Jest pan ranny w rękę!

Już miałem na końcu języka, że wiem o tym, ale się powstrzymałem.

- Pies mnie pogryzł - wyjaśniłem cierpliwie. Zabrzmiało to jakoś głupio. - Wszystko panu wyjaśnię, ale najpierw ustalmy kilka spraw. Byle szybko, to teraz bardzo ważne. Pan tu pracuje, doktorze?

- Oczywiście. - Odpowiedział tak, jakby uważał moje pytanie za idiotyczne, co zresztą trudno mieć mu za złe - ostatecznie do obozu marynarki wojennej nie przyjeżdża się na wakacje.

- I co pan tu robi?

- Co tu robię? - Urwał i spojrzał na mnie przez grube szkła. - Nie jestem pewien, czy...

- Pan Bentall twierdzi, że jest oficerem wywiadu brytyjskiego - wtrącił spokojnie Anderson.

- Ja mu wierzę.

- Wywiad? - Widocznie tej nocy Hargreaves musiał wszystko powtarzać. Spojrzał na mnie podejrzliwie. - Proszę mi wybaczyć, Bentall, nie bardzo się mogę połapać. Co się stało z tym przedsiębiorstwem handlu maszynami, które odziedziczył pan przed rokiem?

- Nic. Nigdy nie istniało. Był to tylko pretekst mający wyjaśnić moje nagłe odejście. Zdradzam tu tajemnice państwowe, ale chyba nie stanie się nic złego, jeśli panu powiem, że oddelegowano mnie do zbadania sprawy przecieku informacji na temat nowych paliw stałych, nad którymi wówczas pracowaliśmy.

- Uhm. - Przez chwilę zastanawiał się, po czym podjął decyzję. - Paliwa stałe, powiada pan? Właśnie dlatego tu jesteśmy. Testujemy je. Wie pan, ścisła tajemnica i w ogóle.

- Jakaś nowa rakietka?

- Otóż to.

- Tak myślałem. Żeby coś przetestować, nie trzeba uciekać aż na takie odludzie, chyba że chodzi o materiały wybuchowe albo rakietki. Ale materiałów wybuchowych mamy tyle, że tylko patrzeć, jak wszyscy wylecimy w powietrze.

Tymczasem w kilku kabinach uchyliły się drzwi i na korytarz zaczęli wyglądać różni mężczyźni, w różnym stopniu ubrani bądź rozebrani. Anderson podszedł do nich i rzucił cicho parę słów, po czym zapukał do drzwi kilku innych klitek, wrócił i uśmiechnął się ze skruchą.

- Równie dobrze wszyscy mogą pana posłuchać, Bentall. Jeżeli się pan nie myli, to i tak już czas na pobudkę, a dzięki temu nie będzie pan musiał powtarzać tego samego w nieskończoność.

- Dzięki, poruczniku. - Usiadłem i z wdzięcznością porwałem szklanekę whisky, która ni stąd, ni zowąd pojawiła się przede mną. Po kilku małych łydkach pokój zawirował, nie mogłem skupić ani wzroku, ani myśli, ale już po dalszych paru łykach wzrok mi się wyraźnie poprawił, a ból w ramieniu jakby zelżał. Chyba się wstawiłem.

- Śmiało, Bentall - ponaglił mnie Hargreaves niecierpliwie. - Czekamy.

Podniosłem wzrok. Czekali. Nie licząc Andersona było ich tam siedmiu... bo ósmym zaginionym naukowcem był świętej pamięci doktor Fairfield.

- Przepraszam - powiedziałem. - Będę się streszczał. Najpierw jednak chciałbym się dowiedzieć, czy któryś z panów ma może zapasowe ubranie. Panna Hopeman dopiero co przechodziła ciężką gripę i obawiam się...

Tym sposobem zyskałem minutę spokoju i czas na opróżnienie szklanki, którą Andersen natychmiast ponownie napełnił. Konkurs na tego, kto ma dostarczyć ubranie Marie, rozstrzygnął się błyskawicznie. Kiedy uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością i zniknęła w jednej z klitek, opowiedziałem im wszystko szybko i treściwie, nie wspominając tylko o tym, że słyszałem kobiety śpiewające w opuszczonej kopalni. Uporałem się z tym w dwie minuty. Jeden z naukowców - wysoki, rumiany staruch, który wyglądał jak emerytowany rzeźnik, a jak się później dowiedziałem, był najlepszym w kraju specjalistą od systemów naprowadzania - spojrzał na mnie zimno.

- To absurdalne, czysty absurd! - warknął. - Groźba natychmiastowego ataku, też coś! Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo.

- Jak pan myśli, co się stało z doktorem Fairfieldem? - spytałem.

- Co myślę? - powtórzył emerytowany rzeźnik. - Ja nic nie myślę. Witherspoon wszystko nam opowiedział. Był bardzo zaprzyjaźniony z Fairfieldem, który odwiedzał go regularnie, no i wybrali się na ryby...

- I wypadł za burzę, a resztę załatwiły rekiny, tak? Im kto mądrzejszy, tym bardziej łatwowierny. Pierwszy naiwny to pestka w porównaniu z naukowcem wypuszczonym poza ściany laboratorium. - Stary Carnegie pewnie przewracał się w grobie. - Mogę wam to udowodnić, ale tylko przynosząc złe wieści, nie inaczej. Wasze żony są przetrzymywane w opuszczonej kopalni po drugiej stronie wyspy.

Spojrzeli po sobie i przenieśli wzrok na mnie.

- Czyś pan zwariował, Bentall? - Hargreaves, z zaciśniętymi ustami, przyglądał mi się przez grube szkła.

- Dla was byłoby to lepiej. Niewątpliwie wyobrażacie sobie, panowie, że wasze żony nadal są w Sydney, Melbourne czy gdzieś tam. Niewątpliwie piszecie do nich regularnie i regularnie dostajecie listy. Niewątpliwie też przynajmniej niektóre z nich zatrzymujecie. Chyba się nie mylę, panowie?

Nikt się nie odezwał.

- A zatem, wnosząc z rachunku prawdopodobieństwa, można by się spodziewać, że skoro wasze żony piszą od siebie z domów, to każda używa innego papieru, innego pióra i atramentu, a stemple pocztowe na kopertach różnią się między sobą. Jak przystało na ludzi nauki, wierzycie chyba w rachunek prawdopodobieństwa? Proponuję więc, żebyście porównali swoje listy i koperty od żon. Nie chodzi mi o czytanie cudzej korespondencji, ale o powierzchowne zbadanie różnic i podobieństw. Co wy na to? Chyba że - zerknąłem na rumianego - boicie się prawdy.

Pięć minut później rumiany przestał być rumiany, za to poznał prawdę. Z siedmiu kopert, które mi pokazano, trzy należały do jednego gatunku, dwie do drugiego i dwie do trzeciego - dość, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Wszystkie stemple na kopertach, tak wyraźne, że chyba zostały skradzione, a nie podrobione, były tego samego koloru. Do pisania tych siedmiu listów użyto jednego pióra i jednego długopisu, a co najważniejsze - tylko jeden list był napisany na innym papierze niż pozostałe. W tym wypadku Witherspoon i Hewell nie zachowali ostrożności, ale to pewnie dlatego, że podstarzali naukowcy zwykle nie chwalą się nikomu prywatną korespondencją.

Kiedy skończyłem oględziny i zwróciłem listy właścicielom, wymienili między sobą oszołomione, pełne strachu spojrzenia. Nareszcie mi uwierzyli.

- Od pewnego czasu miałem wrażenie, że moja żona jest nie w humorze - przyznał Hargreaves powoli. - Zawsze była taka wesoła, pokpiwała z naukowców, a teraz...

- Ja zauważyłem to samo - mruknął inny. - Ale sądziłem, że to wynika z...

- Przymusu - podpowiedziałem bez ogródek. - Niełatwo jest pisać z pistoletem przystawionym do głowy. Nie zamierzam udawać, że wiem, w jaki sposób te listy dostają się do poczty, którą otrzymujecie, ale dla kogoś tak genialnego jak zabójca Witherspoona to

drobiazg. On jest naprawdę genialny. Inna sprawa, że wrzucanie listów do worków z pocztą nie zwraca niczyjej uwagi, to tylko wyciąganie jest podejrzane.

- Ale... ale co to wszystko znaczy? - Głos Hargreavesa drżał, jego dłonie rozwierały się i zaciskały nerwowo. – Co oni chcą... co oni zrobią z naszymi żonami?

- Dajcie mi trochę czasu - rzekłem. - Fakt, że was tu zastałem, zaskoczył mnie tak samo jak was wiadomość o losie żon. Myślę, że i wy, i wyrzutnia raketowa jesteście względnie bezpieczni, ale waszym żonom może grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. Naszymi wrogami kierują względy czysto praktyczne, a nie humanitarne, to trzeba sobie jasno powiedzieć. Jeden zły ruch z waszej strony, a możecie już nigdy nie ujrzeć swych żon. Pozwólcie mi się zastanowić.

Rozeszli się niechętnie, a ja zająłem się myśleniem, z początku niezbyt konstruktywnym. Myślałem o tym starym lisie, pułkowniku Raine, ale bez specjalnej sympatii. Przypuszczam, że po dwudziestu pięciu latach pracy w tej branży jego prawica nie wiedziała, co robi lewica. Ważniejsze jednak, że niezwykle trafnie udało mu się określić charakter Bentalla. Jeżeli coś takiego w ogóle istniało.

Darowałem sobie pytanie, czy wszyscy oni odpowiedzieli na ogłoszenia prasowe. To było oczywiste. Planując ściśle tajną operację rząd nie mógł dopuścić do tego, żeby ośmiu czołowych naukowców brytyjskich zniknęło nagle w niewyjaśnionych okolicznościach. Ci ludzie zostali wytypowani do tej pracy dużo wcześniej, a ogłoszenia w prasie miały tylko uzasadnić ich wyjazd z kraju. A skoro wszyscy oni demonstracyjnie wyjeżdżali na stałe, to bezwarunkowo musieli zabrać ze sobą żony. Mimo że kobiet lepiej do takich spraw nie mieszać. Nie mieli jednak wyboru - opuszczając kraj na zawsze, nawet najbardziej roztargniony naukowiec nie zapomni o żonie.

Rzecz jasna, Raine musiał o tym wiedzieć, skoro był to projekt rządowy. Pewnie nawet sam opracował ten plan. Przypomniałem sobie, jak gładko przełknąłem jego historyjkę, i skłamałem w duchu za pokrętny umysł.

Widocznie jednak ta mistyfikacja była konieczna. Mając niezliczone kontakty i tyluż informatorów, Raine pewnie dowiedział się, że żony naukowców, którzy odlecieli do Vardu, zniknęły ze swych nowych australijskich domów. Odgadł, że uwięziono je w charakterze zakładniczek, domyślił się dlaczego i doszedł do tego samego wniosku, co ja przed chwilą.

Do głowy mu jednak nie przyszło, że są na Vardu, bo pewnie to właśnie on, wspólnie z nieżyjącym już profesorem Witherspoonem, obmyślił plan wykorzystania tej wyspy pod pretekstem prowadzenia wykopalisk. Nieważne przy tym, czy rzeczywiście dokonano tam jakichś odkryć archeologicznych. A ponieważ z całą pewnością sprawdzili starego Witherspooona i jego asystentów od podszewki, więc posądzenie ich o jakiegokolwiek machinacje zakrawałoby na absurd. Raine szukałby więc zaginionych żon wszędzie, tylko nie na Vardu. Ale nie miał pojęcia, gdzie ich szukać.

Dlatego też uraczył mnie bajeczką o tym, jak to mam odnaleźć zaginionych naukowców, naprawdę zaś chciał, żeby Marie odnalazła ich żony. Pewnie wymyślił, że jej się to uda, bo tak samo zostanie porwana, i liczył, że któreś z nas coś wtedy wykombinuje. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie może wyjawić mi wszystkiego, bo nigdy bym na to nie przystał. Wiedział, co myślę o rzucaniu kobiet wilkom na pożarcie. To nie Marie jechała ze mną dla dodania kolorytu, to ja robiłem za popychadło i ozdobnik. Przypomniałem sobie, jak mówił, że ona ma dużo większe doświadczenie niż ja, że kto wie, czy to nie ona będzie się mną opiekować, a nie na odwrót. Poczulem się malutki jak karzełek. Ciekaw tylko byłem, czy Marie naprawdę cokolwiek wie na ten temat.

Jak na zawołanie, Marie wyszła z kabiny. Wysuszyła i uczesała włosy, a także przebrała się w spodnie i podkoszulek, przylegające tylko tam, gdzie się stykały z ciałem. Stykały się z nim jednak dostatecznie często, by można się było przekonać, że to nie pierwotny właściciel w nich siedzi. Uśmiechnęła się do mnie, a ja zrewanżowałem się odruchowo, choć im dłużej nad

tym myślałem, tym bardziej nabierałem przekonania, że Marie musiała wiedzieć, jak się sprawy mają. Być może i ona, i Raine uważali mnie tylko za amatora, któremu dopisuje szczęście, ale w tej branży amatorom się nie ufa. Nawet tym, którym szczęście sprzyja. Bolał mnie jednak nie tyle brak zaufania, ale fakt, że - jeśli się nie myliłem - kompletnie wyprowadziła mnie w pole. A skoro mogła nabrać mnie w tej sprawie, to mogła i w innych. Byłem zmęczony, słaby i nie mogłem się uwolnić od tej myśli. Marie spojrzała na mnie tak, jak zawsze chciałem, żeby ktoś taki jak ona na mnie patrzył. I wiedziałem, że to niemożliwe, żeby mnie oszukała. Wiedziałem o tym przez dwie sekundy, bo tyle trwało, zanim sobie przypomniałem, że przeżyła pięć lat w jednym z najbardziej niebezpiecznych zawodów tylko dzięki nadzwyczajnym zdolnościom oszukiwania wszystkich dookoła.

Właśnie szykowałem jakieś podchwytliwe pytanie, by ją zdemaskować, gdy podszedł do mnie Hargreaves, a za nim pozostali. Wszyscy byli już ubrani i zmartwieni jak cholera.

- Doszliśmy wspólnie do wniosku, że nasze żony są w niewoli i że grozi im niebezpieczeństwo – oświadczył Hargreaves bez zbędnych wstępów. - W tej chwili one są naszą jedyną troską. Co powinniśmy według pana zrobić? - Trzymał się w ryzach, lecz zdradzały go zaciśnięte usta i pięści.

- Do diabła, człowieku! - Emerytowany rzeźnik znowu kipiał gniewem. - Uratujemy je, oto co zrobimy!

- Jasne - zgodziłem się. - Uratujemy. Jak?

- No...

- Posłuchaj, przyjacielu, nie masz nawet pojęcia, o jaką stawkę tu chodzi. Pozwólcie, że wam wyjaśnię. Są trzy możliwości. Możemy pozwolić Chińczykom przebić się przez tunel, a kiedy wyskoczą, kilku z nas wśliznie się tam, przejdzie na drugą stronę, uwolni wasze żony... i co dalej? Ludzie Hewella zaatakują marynarzy, a z całym szacunkiem dla marynarki wojennej, będzie to walka wilków z jagniętami. I kiedy już pożrą jagnięta, stwierdzą, że zniknęliśmy, a wtedy wrócą nas załatwić... i wasze żony też. Choć z nimi mogą się specjalnie nie śpieszyć... Możemy też zablokować tunel i nie pozwolić im wyjść. Zatrzymamy ich w ten sposób przez godzinę, bo mniej więcej tyle im zajmie powrót po wasze żony. Kiedy przystawią im pistolety do głów, będziemy musieli rzucić broń.

Przerwałem, by moje słowa dotarły do nich w całej pełni, ale jeden rzut oka na ściągnięte, napięte twarze powiedział mi, że to już się stało. Patrzyli na mnie bez szczególnej sympatii, choć podejrzewam, że to nie tyle ja im się nie spodobałem, co moje przemówienie.

- Wspomniał pan o trzeciej możliwości – przypomniał Hargreaves.

- Tak. - Wstałem sztywno i zerknąłem na Andersona. - Przykro mi, poruczniku, ale nie mogę dłużej czekać na pańskiego lekarza. Za dużo czasu już zmarnowaliśmy. Istnieje trzecie wyjście, panowie. Jedyne praktyczne. Gdy tylko oni przebiją się przez tunel - albo gdy usłyszymy, że się przebijają - kilku naszych weźmie młoty i łomy do wyważania zamków, a także broń na wypadek, gdyby tamci zostawili strażników, popłynię na drugą stronę wyspy łodzią, wylądować i mam nadzieję, że uwolni wasze żony, zanim Witherspoon i Hewell wpadną na pomysł, żeby je tu sprowadzić w charakterze zakładniczek. Przypuszczam, że w dzisiejszych czasach marynarka wojenna nie stosuje już wiosł i żagli. Motorówka powinna tam dopłynąć w piętnaście minut.

- Z pewnością - bąknął Anderson, wyraźnie nieszczęśliwy. Zapadła kłopotliwa cisza, po czym dorzucił: - Rzecz w tym, panie Bentall, że my nie mamy żadnej łodzi.

- Mógłby pan to powtórzyć?

- Nie mamy ani jednej łodzi. Nawet wiosłowej. Przykro mi.

- Słuchaj pan - zachnąłem się. - Ja wiem, że drastycznie obcięto wam fundusze, ale jeżeli chce mi pan wmówić, że marynarka może funkcjonować bez...

- Mieliśmy łodzie - przerwał mi Anderson. - Cztery szalupy z *Neckara*... to lekki krążownik, który przez ostatnie trzy miesiące kotwiczył w lagunie. Ale dwa dni temu

odpłynął razem z naczelnym dowódcą operacji, kontradmirałem Harrisonem, oraz z doktorem Daviesem, który od początku odpowiadał za całość badań nad Mrocznym Krzyżowcem. Praca nad nim...

- Mroczny Krzyżowiec?

- To nazwa rakiety. Nie jest jeszcze gotowa do odpalenia, ale czterdzieści osiem godzin temu dostaliśmy z Londynu pilny telegram z poleceniem natychmiastowego zakończenia prac i wysłania *Neckara* na poligon... blisko tysiąc mil stąd na południowy wschód. Właśnie dlatego wybrano tę wyspę... w razie awarii rakiety, dookoła będą tylko otwarte wody.

- Proszę, proszę - mruknąłem cicho. - Cóż za cudowny zbieg okoliczności. Telegram z Londynu. Założę się, że bezbłędnie zaszyfrowany, z ukrytymi znakami identyfikacyjnymi i prawidłowym kodem telegraficznym. Nie można winić waszych ludzi, że dali się na to nabrać.

- Niezupełnie rozumiem...

- A dlaczego *Neckar* musiał odpłynąć, skoro rakieta nie jest jeszcze gotowa do odpalenia? - przerwałem.

- Już niewiele brakuje - rzekł Hargreaves. - Doktor Fairfield zakończył swoją część pracy na długo przed... uhm... zniknięciem. Potrzeba nam tylko eksperta od paliw stałych - a przyznaję, że nie ma ich zbyt wielu - który podłączyłby ostatnie przewody i uzbroił raketę. W tamtym telegramie obiecywano, że ktoś taki przybędzie na wyspę dzisiaj.

Omał im się nie przedstawiłem. Depeszę wysłano pewnie zaraz po tym, jak Witherspoon dowiedział się, że Bentall o chłódzie i głodzie spędza noc na rafie. Bez dwóch zdań facet był przestępcą, ale przestępcą genialnym. Ja zaś nie byłem ani przestępcą, ani geniuszem. On grał w ekstraklasie, ja w trzeciej lidze. Czuję się jak Dawid, który spotkawszy Goliata stwierdza, że zapomniał zabrać procy. Mimochodem uświadomiłem sobie, że Anderson rozmawia z rumianym cholerykiem, który nazywał się Farley, lecz nagle usłyszałem dwa słowa, które sprawiły, że podskoczyłem, jak gdybym zobaczył tarantulę w swojej zupie.

- Czy mi się zdaje, czy ktoś tu mówił o kapitanie Flecku? - spytałem ostrożnie.

- Owszem - przytaknął Anderson. - Fleck to właściciel szkunera, który przywozi nam z Kandavu prowiant i pocztę. Spodziewamy się go dopiero po południu.

Całe szczęście, że stałem, bo inaczej pewnie bym zleciał ze stołka.

- Przywozi wam prowiant i pocztę? - powtórzyłem głupkowato.

- Właśnie - warknął zniecierpliwiony Farley. - To Australijczyk. Handluje towarami z demobilu, ale pracuje także dla nas. Oczywiście został sprawdzony na wylot, jest czysty.

- Oczywiście, oczywiście. - Oczywiście duszy widziałem Flecka przewożącego pocztę z jednej strony wyspy na drugą i z powrotem. - Czy on się orientuje, co tu się dzieje?

- Naturalnie, że nie - rzekł Anderson. - Wszelkie prace nad raketami - mamy tu dwie - prowadzimy potajemnie. Czy to zresztą ważne, panie Bentall?

- Nie. - Rzeczywiście, teraz to już nie miało żadnego znaczenia. - Coś mi się zdaje, Anderson, że czas najwyższy naradzić się z waszym komendantem. Zostało nam niewiele czasu. Jeżeli w ogóle nam coś zostało.

Odwróciłem się do wyjścia i zatrzymałem, gdy ktoś zastukał w drzwi z drugiej strony. Anderson rzucił: - Wejść! - na co drzwi otworzyły się i w progu stanął mat Allison. Zamrugał, oślepiony nagłym światłem.

- Jest lekarz, poruczniku.

- A, to świetnie. Wejdz, Brookman, mamy tu... - Nagle urwał i spytał ostro: - Gdzie wasza broń, Allison?

Mat jęknął z bólu i zatoczył się w głąb pokoju, gdy coś uderzyło go od tyłu. Wpadł na Farleya. Nim obaj przeturlali się po podłodze i zatrzymali na ścianie, w drzwiach stanął Hewell. Wydawał się wielki jak Everest. Prawdopodobnie kazał Allisonowi wejść przed sobą,

a sam zaczekał na zewnątrz, by przyzwyczać oczy do światła. W olbrzymiej dłoni ścisnął pistolet, zaopatrzony w czarny cylindryczny przedmiot przykręcony do lufy - tłumik.

Podporucznik Anderson popełnił ostatni błąd w swoim życiu - sięgnął do pasa, by wyrwać kolta z kabury. Krzyknąłem, próbując powstrzymać jego dłoń, niestety stał po mojej lewej ręce i nie zdążyłem.

Przed oczami mignęła mi twarz Hewella; zrozumiałem, że jest już za późno. Kiedy nacisnął na spust, jego mina była jak zawsze kamienna, pusta, wyprana z wyrazu. Rozległ się cichy, stłumiony huk i w oczach Andersona błysnął wyraz zdziwienia, kiedy oburącz chwycił się za pierś i przewrócił do tyłu. Skoczyłem, żeby go podtrzymać, co było o tyle głupie, że nikomu to nie pomogło, za to wykręciłem sobie lewe ramię. Co za sens cierpieć za kogoś, kto i tak nic już nie czuje?

Piątek, 6.00 - 8.00

Hewell wszedł do pokoju, nie zaszczycając spojrzeniem leżącego na podłodze trupa. Skinął ręką, na co w progu pojawili się dwaj Chińczycy. Trzymali pistolety maszynowe i wyglądali na takich, którzy wiedzą, jak się nimi posługiwać.

- Czy ktoś z was ma broń? - zapytał Hewell swym głębokim, grobowym głosem. - Czy ktoś tu jest uzbrojony? Jeśli tak, niech się przyzna od razu. Inaczej zarobi kulkę w łeb. Więc jak?

Nikt nie miał broni. Każdy z nich oddałby mu nawet wykałaczkę, w obawie, że weźmie ją za broń. Tak to już Hewell działał na ludzi.

- Dobrze. - Zrobił jeszcze jeden krok w głąb pokoju i spojrzał na mnie. - Spryciarz z ciebie, Bentall, oszukałeś nas. Wcale nie masz złamanej nogi. A co ci się stało w rękę... pewnie cię pogryzł nasz doberman, zanim go zabiłeś, co? Poza tym zabiłeś dwóch moich ludzi, Bentall. Zapłacisz mi za to.

W jego powolnym, grobowym głosie nie było nic złowieszczonego czy złowróbnego, ale już sam wygląd Hewella sprawiał, że wszelkie groźby stawały się zbędne. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że zapłacę mu za wszystko.

- Z tym jednak musimy trochę poczekać. Chwilowo jeszcze nie możemy pozwolić ci umrzeć, Bentall. - Szybko wydał polecenia w jakimś obcym języku jednemu z Chińczyków - wysokiemu, muskularnemu i na oko bystremu facetowi o kamiennej twarzy - po czym odwrócił się do mnie. - Opuśćcie was teraz na chwilę... musimy się zająć wartownikami przy zasiekach. Garnizon i cały teren są już w naszych rękach, a linia telefoniczna do wartowni jest zerwana. Zostawiam was pod opieką Hanga. Nie próbujcie tylko czasem jakichś sztuczek. Jeśli sądzicie, że jeden człowiek, nawet uzbrojony w pistolet maszynowy, nie zapanuje nad dziewięcioma mężczyznami w małym pomieszczeniu, to łatwo możecie się przekonać, dlaczego Hang jako starszy sierżant dowodził batalionem strzelców w Korei. - Rozdziawił usta w ponurym uśmiechu. - Nie muszę chyba tłumaczyć, po czyjej stronie walczył.

Co rzekłszy, zniknął wraz z drugim Chińczykiem. Wymieniłem spojrzenia z Marie. Twarz miała zmęczoną, smutną, a nikły uśmiešek, którym mnie obdarzyła, był czysto machinalny. Wszyscy inni patrzyli na strażnika, który z kolei nie patrzył na nikogo.

Farley odchrząknął.

- A może byśmy się tak na niego rzucili, Bentall? - odezwał się swobodnie. - Z dwóch stron?

- Sam się pan na niego rzucaj - odburknąłem. - Ja nawet nie kiwnę małym palcem.

- Do diabła, człowieku, kto wie czy to nie nasza ostatnia szansa! - W jego głowie brzmiała desperacja.

- Ostatnią szansę już pogrzebaliśmy. Pańska odwaga jest godna podziwu, Farley, czego nie da się powiedzieć o pańskiej inteligencji. Niech pan nie będzie idiotą.

- Ale...

- Słyszał pan, co mówił Bentall? - odezwał się strażnik po angielsku, z silnym akcentem amerykańskim. - Nie bądź pan idiotą.

Farley opadł jak przekłuty balon; cała buta i determinacja opuściły go w jednej chwili, gdy uświadomił sobie naiwność swego przypuszczenia, że strażnik nie włada innym językiem niż ojczysty.

- Usiądźcie na podłodze i skrzyżujcie nogi - ciągnął strażnik. - Tak będzie bezpieczniej... dla was. Nie chcę nikogo zastrzelić. - Przerwał, a po namyśle dorzucił: - Z wyjątkiem Bentalla. Dziś w nocy zabiłeś dwóch członków mojego klanu, Bentall.

Z braku stosownego komentarza, puściłem to mimo uszu.

- Kto chce, może palić - rzekł Chińczyk. - Rozmawiać też możecie, byle głośno.

Nikt się jakoś nie kwapił, żeby skorzystać z pozwolenia. Są sytuacje, w których trudno o jakiś miły temat do rozmowy, a to właśnie była jedna z nich. Ja zaś nie miałem ochoty na pogawędki także dlatego, że chciałem wreszcie pomyśleć w spokoju, choć podobno myślenie niewprawnym szkodzi. Próbowałem dociec, jak to się stało, że Hewell i spółka tak szybko przebili się przez tunel. Wiedziałem, że mieli zaatakować o świcie, a tymczasem nastąpiło to o kilka godzin wcześniej. Czyżby sprawdzili, że nie ma nas w łóżkach? Możliwe, ale mało prawdopodobne. Gdy do nas zajrzeli po pożarze, nie wykazywali cienia podejrzliwości. A może znaleźli w kopalni martwych strażników? To już bardziej prawdopodobne, choć i tak za dużo w tym elemencie przypadku.

Przypuszczam, że pod ciężarem goryczy i smutku powinienem się zgiąć do samej ziemi, o dziwo jednak nawet o tym nie myślałem. Przegraliśmy tę grę i kropka; a może tylko przegraliśmy pierwszą partię? To jednak dwie różne rzeczy. Marie najwyraźniej czytała w moich myślach.

- Wciąż kombinujesz, Johnny? - Posłała mi taki uśmiech, jakim nie obdarzyła jeszcze nikogo, nawet Witherspoona, a mnie serce zaczęło wywracać koziółki niczym nadworny błazen, dopóki sobie nie przypomniałem, że ta dziewczyna każdego potrafi oszukać. – Tak jak mówił pułkownik: nawet siedząc na krześle elektrycznym wciąż byś kombinował, jak się z tego wywinąć.

- Jasne, że kombinuję - przyznałem kwaśno. - Kombinuję, ile mam życia przed sobą.

Dostrzegłem urażony błysk w jej oczach i odwróciłem głowę. Hargreaves przyglądał mi się w zamyśleniu. On też się bał, ale przynajmniej nie przestał myśleć. A to był mądry facet.

- Póki co, nie jest pan jeszcze stracony, prawda? - odezwał się. - Mam wrażenie, że ani Hewell, ani ten tutaj nie zawahaliby się pana zabić, a jednak tego nie robią. Hewell powiedział, że chwilowo nie mogą pozwolić panu umrzeć. Kiedyś pracował pan z doktorem Fairfieldem. Czyżby więc to pan był tym ekspertem od paliw, którego oczekiwaliśmy?

- Na to wygląda. - Nie było sensu zaprzeczać, nie minęło pół godziny, odkąd poznałem fałszywego Witherspoona, a już mu o tym powiedziałem. Ciekawe, czy mogłem jeszcze popełnić jakiś błąd, którego się ustrzegłem? Patrząc wstecz, sądzę, że nie. - To długa historia. Opowiem ją panu innym razem.

- Potrafi pan to zrobić?

- Niby co?

- Odpalić rakietę?

- Nie wiem nawet, jak się do tego zabrać - skłamałem.

- Przecież pracował pan z Fairfieldem? – naciskał Hargreaves.

- Nie nad paliwami stałymi.

- Ale...

- Nie mam bladego pojęcia o najnowszych badaniach nad paliwami stałymi - warknąłem ostro. I pomyśleć, że miałem go za mądrego faceta. Czy ten cholerny dureń nigdy już się nie zamknie? Nie zdaje sobie sprawy, że słucha nas strażnik? O co mu chodzi, chce mi ukrećć powróż na szyję? Zobaczyłem, że Marie przeszywa go wściekłym wzrokiem. - Są zbyt utajnione – zakończyłem temat. - Wysłali niewłaściwego eksperta.

- To ci pomoc - mruknął Hargreaves.

- Prawda? Nawet nie miałem pojęcia o istnieniu tego waszego Mrocznego Krzyżowca. A przy okazji, może by mnie pan tak oświecił na jego temat? Należę do tych, którzy uważają, że człowiek powinien się uczyć do samej śmierci, a to chyba ostatnia okazja, żeby się czegoś dowiedzieć.

Zawahał się.

- Niestety...

- Niestety to ściśle tajne - przerwałem mu niecierpliwie. - Jasne, wiem, że to tajemnica... ale nie dla ludzi na tej wyspie. Już nie.

- Co racja, to racja - przyznał Hargreaves bez przekonania. Namyslał się przez chwilę, aż wreszcie się uśmiechnął. - Pamięta pan Niebieską Smugę... tę raketę, z powodu której tak lamentowano?

- Nasz jedyny akces do produkcji rakiet międzykontynentalnych? - Skinąłem głową. - Jasne, że pamiętam. Robiła wszystko, co może robić rakietka, tylko nie potrafiła latać. Powszechnie uważano, że to bardzo niefortunny pomysł. A co się działo, kiedy rząd zaniechał dalszych prac! Gadano, że zaprzędaliśmy się Amerykanom, że jesteśmy całkowicie uzależnieni od amerykańskiego potencjału nuklearnego, że Anglia jest mocarstwem drugorzędym, jeśli w ogóle można ją uznać za mocarstwo... Pamiętam. Rząd znalazł się wtedy w wyjątkowej niełasce.

- Owszem. Chociaż wcale sobie na to nie zasłużył. Zaprzeszono dalszych prac, ponieważ znalazło się kilku prawdziwych fachowców, którzy zwrócili uwagę na fakt, że Niebieska Smuga w stu procentach nie spełnia swego zadania. Jej konstrukcja została oparta na modelach amerykańskich, takich jak rakietka międzykontynentalna „Atlas”, której odliczanie i odpalenie trwa dwadzieścia minut od pierwszego alarmu. Amerykanów to urzędują. Obliczyli, że dysponując systemami wczesnego ostrzegania, nowoczesnymi radarami i satelitami szpiegowskimi informującymi o wystrzeleniu rakietki dalekiego zasięgu, od chwili, gdy jakiś maniak naciśnie czerwony guzik, pozostaje im trzydzieści minut. My możemy liczyć najwyżej na cztery. - Hargreaves zdjął okulary, przetarł je starannie i zamrugał. - Oznacza to, że gdyby Niebieska Smuga działała, a odliczanie zaczęło się w momencie uzyskania ostrzeżenia, to i tak zostałaby zmieciona z powierzchni ziemi szesnaście minut przed startem.

- Potrafię rachować - wtrąciłem. - Nie musi mi pan tego wyliczać.

- Tym z Ministerstwa Obrony Narodowej trzeba to było tak wyliczyć - odparł Hargreaves. - Zrozumienie tego faktu zajęło im jakieś trzy, cztery lata, co jak na wojskowych nie jest źle. Niebieska Smuga miała oczywiście i tę zasadniczą wadę, że wymagała olbrzymich wyrzutni, ramp, pomostów i bunkrów, wielkich zbiorników helu i ciekłego azotu, by móc pompować naftę i ciekły tlen pod ciśnieniem, a do tego dochodziły jeszcze rozmiary samej rakietki. Powodowało to konieczność budowania stałych, nieruchomych wyrzutni, a zważywszy, że brytyjskie i amerykańskie samoloty przelatują nad terytorium ZSRR, rosyjskie samoloty latają nad Ameryką i Anglią, a także, o ile wiem, Brytyjczycy i Amerykanie szpiegują się nawzajem, rozmieszczenie wyrzutni jest tak dokładnie znane, że praktycznie wszystkie rakietki dalekiego zasięgu w ZSRR i Stanach Zjednoczonych są wycelowane w swoje odpowiedniki po drugiej stronie.

Dlatego też chodziło o to - ciągnął Hargreaves - żeby skonstruować raketę, którą można by odpalać natychmiast... a w dodatku całkowicie ruchomą, przenośną. Było to wykluczone przy zastosowaniu znanych paliw rakietowych. Z całą pewnością odpadała nafta - używać nafty w dzisiejszych czasach, też coś! - która wraz z ciekłym tlenem wciąż jeszcze stosowana jest jako napęd większości rakiet amerykańskich. Odpadały też silniki na ciekły wodór, nad którymi pracują teraz Amerykanie, bo niska temperatura wrzenia sprawia, że są niepewne jak cholera. No i są za duże.

- Pracują też nad paliwami opartymi na wykorzystaniu cezu - wtrąciłem.

- I nieprędko skończą. Zajmuje się tym kilkanaście różnych firm, a zna pan to porzekadło, że gdzie kucharek sześć... No więc nie można było skonstruować przenośnej rakietki przy zastosowaniu tradycyjnych paliw, aż wreszcie Fairfield wpadł na genialnie prosty pomysł - paliwo stałe, dwadzieścia razy silniejsze niż stosowane przez Amerykanów do innych celów. To tak genialnie proste, że sam nawet nie wiem, jak działa - przyznał Hargreaves.

Ja też nie wiedziałem, ale Fairfield wystarczająco wprowadził mnie w temat, bym mógł takie paliwo uruchomić. Ani mi się jednak śniło z tym zdradzać.

- Jest pan pewien, że to naprawdę działa? - spytałem.

- A i owszem. To znaczy, na małą skalę. Doktor Fairfield przymocował ładunek o wadze dwudziestu ośmiu funtów do specjalnie skonstruowanego modelu rakiety i odpalił ją z bezludnej wyspy u zachodnich wybrzeży Szkocji. Wystrzeliła dokładnie tak, jak przewidział, najpierw powoli, dużo wolniej niż konwencjonalne pociski. - Hargreaves uśmiechnął się na samo wspomnienie tego wydarzenia. - Aż nagle zaczęła przyspieszać. Straciliśmy ją z oczu - a raczej z ekranu radaru - gdy była w odległości sześćdziesięciu tysięcy stóp i wciąż przyspieszała, rozwijając już wtedy około szesnastu tysięcy mil na godzinę. W wyniku dalszych prób i eksperymentów Fairfield uzyskał to, czego chciał, a wtedy pomnożyliśmy wagę rakiety, paliwa, atrapy głowicy i całej reszty przez czterysta - i w ten sposób powstał Mroczny Krzyżowiec.

- Kto wie, czy mnożenie przez czterysta nie wprowadza jakiegoś nowego czynnika?

- To właśnie musimy sprawdzić. Po to tu jesteśmy.

- Amerykanie o tym wiedzą?

- Nie. - Hargreaves uśmiechnął się z rozmarzeniem. - Ale mam nadzieję, że dowiedzą się w swoim czasie. Planujemy dostarczyć im tę rakietę za rok czy dwa, dlatego też - uwzględniając ich potrzeby - zaprojektowaliśmy ją tak, by mogła przenosić dwutonowe bomby wodorowe na odległość sześciu tysięcy mil w ciągu kwadransa, osiągając maksymalną prędkość dwudziestu tysięcy mil na godzinę. Waży ona szesnaście ton, a nie dwieście, jak ich rakiety międzykontynentalne. Można ją transportować i odpalać ze zwykłych statków handlowych, przybrzeżnych, łodzi podwodnych, pociągów czy nawet ciężarówek. W dodatku odpalać natychmiast. - Znów się uśmiechnął, tym razem z samozadowoleniem. - Jankesi zakochają się w Mrocznym Krzyżowcu.

Zerknąłem na niego.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że Witherspoon i Hewell pracują dla Amerykanów?

- Dla... - Zsunął okulary na czubek nosa i spojrzał na mnie ponad rogową oprawkę. - Co pan, u licha, sugeruje?

- Chodzi mi o to, że jeśli pracują dla kogo innego, to nie bardzo rozumiem, w jaki sposób Amerykanie będą mieli szansę obejrzeć Krzyżowca, a tym bardziej się w nim zakochać.

Zerknął na mnie, skinął głową i odwrócił się bez słowa. Omal się nie zawstydzilem, że zburzyłem jego naukowy entuzjazm.

Było już prawie widno, przez okna widziałem szarzejące niebo, ale nie gasiliśmy świateł. Ramię bolało mnie tak, jak gdyby doberman wciąż jeszcze na nim wisiał. Przypomniałem sobie o nie dopitej whisky na stole, sięgnąłem po szklaneczkę i rzuciłem: - Wasze zdrowie! - Nikt mi nie odpowiedział, lecz nie zrażając się ich brakiem wychowania, wypilem do dna. Wcale mi to nie pomogło. Farley, ekspert od systemów naprowadzania pracujących w podczerwieni, stopniowo odzyskał rumieniec, a wraz z nim wróciła mu odwaga, bo wygłaszał teraz długi a gorzki monolog, w którym przewijały się głównie dwa słowa: „cholerny” i „zniewaga”. Nie wspominał tylko, że zamierza złożyć skargę na ręce swego posła do parlamentu. Nikt z pozostałych się nie odzywał. Nikt nie patrzył na trupa na podłodze. Chciałem, żeby ktoś dolał mi whisky albo chociaż powiedział, skąd Anderson wytrzasnął butelkę. Trochę to wprawdzie nieładnie myśleć o butelce, zamiast o trupie człowieka, który pierwszy dał mi się z niej napić, ale taki to już był dzień, a zresztą co się stało, to się nie odstanie. W dodatku whisky może by mi pomogła, natomiast Anderson nie mógł już pomóc nikomu.

Hewell wrócił o świcie.

Wrócił sam. Zrozumiałem, co to oznacza, jeszcze zanim ujrzałem krew na jego lewym przedramieniu. Widocznie trzech wartownicy przy zasiękach byli czujniejsi i sprawniejsi niż przypuszczałem, co jednak niewiele im dało. Jeżeli Hewell przejmował się zranioną ręką, śmiercią jednego ze swych ludzi czy zabójstwem trzech marynarzy, to skutecznie ukrył zatroskanie. Rozejrzałem się po szarych, napiętych, wystraszonych twarzach i stwierdziłem,

że nikomu nie muszę tłumaczyć, co się stało. W innych okolicznościach pewnie bym się nieźle ubawił widokiem twarzy, na których skrajne niedowierzanie szło o lepsze z przerażeniem wywołanym świadomością, że wszystko to dzieje się naprawdę. Ale tu i teraz nie było mi do śmiechu.

Hewell nie marnował słów. Wyciągnął pistolet, ruchem ręki wyprosił Hanga z pokoju, obrzucił nas beznamiętnym wzrokiem i polecił:

- Wyjść!

Wyszliśmy. Po tej stronie wyspy roślinność występowała równie rzadko jak po drugiej, jedynie nad samym brzegiem rosły nieliczne palmy. Za to góra była tu dużo bardziej stroma, a rozpadlina przedzielająca południowy stok widoczna jak na dłoni.

Hewell nie pozwolił nam podziwiać krajobrazu. Kazał nam się ustawić w dwuszeregu, z rękami splecionymi na karku - ja udałem, że nie słyszę, i tak nie dałbym rady unieść lewej ręki, ale on nie naciskał - po czym kazał nam maszerować po niskim występie skalnym na północny zachód.

Trzysta jardów dalej, przy pierwszej grani - drugą wciąż jeszcze mieliśmy przed sobą - zauważyłem po prawej stos świeżo wyrąbanych kamieni. Ponieważ znajdował się jakieś pięćdziesiąt jardów nade mną, nie widziałem co się za nim kryje, ale domyśliłem się bez trudu: wylot tunelu, którym Witherspoon i Hewell przebili się do nas nad ranem. Rozejrzałem się ostrożnie, jakby od niechcienia, starając się zapamiętać jego położenie w stosunku do innych znaków topograficznych, aż wreszcie uznałem, że trafię tam z zawiązanymi oczami. Zadumałem się nad moją nieuleczalną skłonnością do gromadzenia i zapamiętywania kompletnie nieprzydatnych informacji.

Pięć minut później dotarliśmy do drugiej grani. Przed nami roztoczył się widok na całą równinę po zachodniej stronie wyspy. Padał na nią cień góry, ale że było już całkiem jasno, widzieliśmy każdy szczegół jak na dłoni.

Z tej strony równina miała mniej więcej milę długości i jakieś czterysta jardów szerokości, nieco więcej niż na wschodzie. Nie było tam ani jednego drzewa. Od południa długie, szerokie moło wdzierało się w błyszczące wody laguny. Z odległości czterystu, pięciuset jardów wydawało mi się, że jest betonowe, ale prawdopodobnie zbudowano je z bloków koralowca. Na jego krańcu ujrzałem dźwig. Nie był to typowy żuraw z przeciwwagą, lecz taki, jakie widuje się w stocznicach remontowych - stalowa konstrukcja z wysięgnikiem, umieszczona na poruszającej się po szynach platformie. Służył on zapewne spółce fosforanowej do załadunku statków, ale prawdopodobnie zaważył też na decyzji marynarki wojennej w sprawie wyboru Vardu na miejsce eksperymentu. Ostatecznie na południowym Pacyfiku nieczęsto trafiają się bezludne wyspy z takimi udogodnieniami jak moło i dźwig, który spokojnie mógłby unieść trzydzieści ton.

Prowadziły tam również wąskie podwójne tory. Kilka lat temu kursowały nimi wagony z fosforanami, teraz jednak jeden tor, zarzewiały i zarośnięty zielskiem, biegł w kierunku kopalni, a drugi zastąpiono nowymi szynami i skierowano w głąb wyspy. Po drodze mijał on dziwaczny, okrągły betonowy podest o średnicy dwudziestu pięciu jardów, a kończył się na przypominającym hangar budynku o wysokości trzydziestu stóp. Długość hangaru wynosiła dobre sto stóp, a szerokość czterdzieści. Patrząc na niego od tyłu nie widziałem, gdzie kończą się szyny, ale śmiało można było zaryzykować twierdzenie, że wchodzą do środka tego oślepiająco białego budynku, przykrytego białym brezentem, by dało się pracować za dnia w tym piekarniku z blachy falistej.

Nieco dalej na północ stały budynki mieszkalne - rozsiane tu i tam koszmarnie klocki z prefabrykatów. Jeszcze dalej, jakieś trzy czwarte mili od hangaru, ujrzałem coś, co przypominało solidny blok betonu wbity w ziemię. Z tej odległości trudno było powiedzieć o tej bryle coś bliższego poza tym, że miała jakieś dwie, trzy stopy wysokości. Sterczało z niej

co najmniej pół tuzina wysokich stalowych prętów, na których zamocowano skanery i anteny radiowe rozmaitych typów.

Hang zaprowadził nas prosto do najbliższego i największego z prefabrykowanych baraków. Przy wejściu stali dwaj uzbrojeni w karabiny maszynowe Chińczycy. Jeden z nich skinął głową, na co Hang usunął się na bok, przepuszczając nas przodem.

Znaleźliśmy się w mesie marynarskiej. Mierzyła piętnaście stóp na czterdzieści. Po bokach stały trzypiętrowe prycze, przedzielone trzyczęściowymi szafkami. Podobnie jak ściany, były obwieszane gdzie się da nagimi panienkami wszelkiej możliwej maści i we wszystkich możliwych pozach. Cztery stoliki, wyszorowane do białości tak jak podłoga, zestawiono w jeden długi stół, zajmując środek pomieszczenia. Na wprost wejścia znajdowały się drugie drzwi z napisem: mesa podoficerów.

Na ławach otaczających dwa ostatnie stoły siedziało około dwudziestu podoficerów i marynarzy. Niektórzy byli częściowo ubrani, inni prawie wcale. Jednemu głowa opadła na stół: wyciekająca z niej krew splamiła blat i jego gołe, oparte na stole ręce. Nikt nie zdradzał ani śladu szoku, strachu czy przejęcia, siedzieli wściekli, z zaciśniętymi zębami. Wyglądali na takich, których niełatwo przestraszyć; w końcu do tego typu operacji wybrano najlepszych, najbardziej doświadczonych marynarzy, a nie osesków. Pewnie dlatego Hewell i jego ludzie natknęli się na kłopoty, mimo iż działali z zaskoczenia.

Na ławie z brzegu stołu siedziało obok siebie czterech mężczyzn. Tak jak i pozostali, trzymali ręce splecione przed sobą na blacie. Naramienniki zdradzały ich szarże. Pierwszy z lewej - wielki, siwowłosy mężczyzna o spuchniętych i krwawiących ustach oraz szarych, czujnych oczach - miał na ramieniu cztery złote belki, a zatem musiał to być kapitan Griffiths. Obok niego siedział chudy, łysiejący facet o haczykowatym nosie, z trzema belkami przedzielonymi purpurą - oficer mechanik. Dalej młody blondyn z czerwienią między dwiema belkami - zapewne porucznik Brookman, lekarz. I wreszcie jeszcze jeden porucznik, rudy chłopak o zgorzkniałych oczach i białych, zaciśniętych ustach.

Pod ścianami stało pięciu Chińczyków, każdy z karabinem w ręku. Przy pierwszym stole, z cygaretką i trzcinką zamiast broni, siedział człowiek, którego znałem jako profesora Witherspoona. Wyglądał teraz jeszcze bardziej dobrotliwie niż zwykle. A raczej tak mi się wydawało, dopóki nie odwrócił się do mnie. Jego twarz nie wyrażała nic szczególnego, a jednak stwierdziłem, że z tą dobrotliwością to chyba przesada. Po raz pierwszy ujrzałem go bez okularów przeciwsłonecznych i nie spodobało mi się to, co zobaczyłem - najjaśniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem, oczy zamglone, matowe jak kiepski marmur. Oczy ślepeca.

Witherspoon spojrział na Hewella.

- Jak poszło? - zapytał.

- Dobrze - odparł Hewell. Z wyjątkiem rudego porucznika, wszyscy wlepili w niego wzrok. Zapomniałem już, jakie wrażenie wywiera na ludziach pierwsze spotkanie z tym kolosalnym neandertalczykiem. - Mamy ich. Byli podejrzliwi i czujni, ale ich mamy. Straciłem jednego człowieka.

- Tak. - Witherspoon odwrócił się do kapitana. - To już wszyscy?

- Wy mordercy! - szepnął siwowłosy. - Wy dranie! Zabiliście dziesięciu moich ludzi!

Witherspoon skinął trzcinką. Jeden ze strażników zrobił krok w przód i przystawił lufę karabinu do karku marynarza siedzącego obok zabitego.

- To wszyscy - odpowiedział szybko kapitan Griffiths. - Przysięgam.

Na znak Witherspoona Chińczyk cofnął się pod ścianę. Widziałem biały ślad na karku marynarza, pozostawiony przez lufę, i lekkie pochylenie ramion, gdy bezdźwięcznie odetchnął głęboko. Hewell ruchem głowy wskazał nieboszczyka.

- Co się stało?

- Spytałem tego młodego durnia - Witherspoon pokazał na rudego porucznika - gdzie jest ich skład broni i amunicji. Nie chciał mi powiedzieć, więc kazałem zastrzelić jednego z nich. Za drugim razem już mi odpowiedział.

Hewell machinalnie skinął głową, jak gdyby zastrzelenie pierwszego z brzegu człowieka tylko dlatego, że inny nie chce mówić, było najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem. On jednak mnie nie obchodził, mnie interesował Witherspoon. Pomijając brak okularów, zewnętrznie nic a nic się nie zmienił, a jednak był to nie ten sam człowiek. Szybkie, jakby ptasie ruchy, afektowany falset i zwyczaj powtarzania wszystkiego po dwakroć zniknęły bez śladu; teraz miałem przed sobą spokojnego, pewnego siebie i bezwzględnego mężczyznę, pana sytuacji, który nie ma w zwyczaju marnować gestów czy słów.

- To są ci naukowcy? - zapytał, a kiedy Hewell skinął potakująco głową, wskazał trzcinką na drugą stronę pokoju. - Daj ich tam.

Hewell i jeden z Chińczyków zaczęli zaganiać siedmiu ludzi w kierunku mesy oficerskiej. Po drodze Farley zatrzymał się przed Witherspoone.

- Ty bandziorze! - wychrypiał, zaciskając pięści. - Ty cholerny...

Witherspoon na pozór wcale na niego nie spojrzał, lecz jego trzcinką ze świstem przecięła powietrze i Farley, wrzeszcząc z bólu i przyciskając obie ręce do twarzy, zatoczył się na pryczę. Hewell szarpnął go za kołnierz i Farley przeleciał przez cały pokój, potykając się o własne nogi. Witherspoon nie zaszczycił go spojrzeniem. Odniosłem wrażenie, że w najbliższym czasie mnie również nie będzie się z nim układać.

Otworzyły się drzwi po drugiej stronie pokoju, naukowców wepchnięto do środka i zamknięto, przedtem jednak usłyszeliśmy wysokie, zaskoczony i podniecone głosy kobiet.

- Trzymałeś je w ukryciu, a przez ten czas marynarka odwalala za ciebie robotę - odezwał się powoli do Witherspoona. - Teraz już marynarze nie są ci potrzebni, za to potrzebujesz naukowców - pewnie po to, żeby nadzorowali budowę kolejnych rakiet tam, gdzie się wybierasz - więc nadal musisz wzięć ich żony. Bo jak byś ich inaczej zmusił, żeby dla ciebie pracowali?

Odwrócił się do mnie, łagodnie wymachując długą, cienką i giętką trzcinką.

- Czy ktoś cię prosił o głos?

- Podnieś tylko na mnie tę trzcinkę, a cię nią zatłukę - zapowiedziałem.

Wszyscy zamarli. Hewell, który wracał właśnie z mesy, zastygł w pół kroku. Z siebie tylko wiadomych powodów wszyscy wstrzymali dech. Dźwięk opadającego piórka poderwałby ich na równe nogi niczym wystrzał armatni. Minęło dziesięć sekund, z których każda trwała pięć minut. Nadal nikt nie oddychał. Wtem Witherspoon roześmiał się cicho i zwrócił do kapitana Griffithsa:

- Mam wrażenie, że Bentall jest zupełnie innego kalibru niż pańscy ludzie i nasi naukowcy - powiedział jakby tytułem wyjaśnienia. - Na przykład jest on pierwszorzędnym aktorem. Nikt inny nie zwodził mnie tak długo i tak skutecznie. Pogryziony przez dzikiego psa nie daje tego po sobie poznać. Mając tylko jedną sprawną rękę spotyka się w ciemnej jaskini z dwoma nożownikami i zabija ich obu. A do kompletu jest niezwykle sprawnym podpalaczem. - Niemal ze skrucą wzruszył ramionami. - No, ale w końcu nie każdy może zostać brytyjskim tajnym agentem.

Zapadła kolejna cisza, jeszcze bardziej nienaturalna niż przed chwilą. Wszyscy patrzyli na pierwszego tajnego agenta, jakiego zdarzyło im się spotkać, niestety chyba ich rozczarowałem. Zapadnięta, trupia twarz i reszta też nie lepsza - nie nadawałbym się na plakat reklamowy, mający przyciągnąć do zawodu nowych kandydatów. Inna sprawa, że do mojego fachu nie bierze się ludzi z ogłoszenia. Zachodziłem w głowę, skąd Witherspoon się o mnie dowiedział, u licha. Hang - Chińczyk, który nas pilnował - oczywiście słyszał naszą rozmowę, ale do tej pory nie zamienił ze swoim szefem ani słowa.

- Chyba nie zaprzeczysz, Bentall, że jesteś agentem rządowym? - spytał cicho Witherspoon.

- Jestem naukowcem - odparłem z czystej ciekawości, jak on to przyjmie. - Technikiem od paliw. Płynnych paliw - dorzuciłem z naciskiem.

Nie zauważyłem, żeby dał jakiś znak, ale strażnik podszedł do kapitana Griffithsa i przystawił mu lufę do karku.

- Kontrwywiad - powiedziałem.

- Dziękuję. - Strażnik cofnął się. - Zwyczajni naukowcy nie specjalizują się w szyfrach, telegrafii i nadawaniu Morse'em. A ty, zdaje się, masz to wszystko w małym palcu, Bentall.

Spojrzałem na porucznika Brookmana.

- Czy mógłby pan z łaski swojej opatrzeć mi ramię?

Witherspoon zbliżył się do mnie szybko o krok. Usta miał białe jak kostki dłoni, w której ścisnął trzcinkę, choć sądząc po głosie, niczym się nie przejmował.

- Dopiero jak skończę. Pewnie cię zainteresuje, Bentall, że po wczorajszym pożarze zaledwie zdążyłem wrócić do domu, a odebrałem przez radio wiadomość ze statku *Pelican*, którym skądinąd bardzo się interesuję.

Gdyby nie to, że mój system nerwowy najwyraźniej wysiadł na dobre, pewnie bym, podskoczył pod sufit. No i gdybym miał siły na taką gimnastykę. Ale nawet nie mrugnąłem okiem. *Pelican*! Pierwsze słowo na liście, którą przepisałem z notesu Witherspoona i którą cały czas miałem schowaną pod skarpetką.

- *Pelican* prowadził nasłuch na umówionej fali. Takie miał polecenie. Wyobraź sobie zaskoczenie telegrafisty, kiedy usłyszał nagle SOS, choć nie była to wcale częstotliwość alarmowa.

To również przyjąłem bez zmrużenia oka, ale nie wynikało to wcale z siły woli, po prostu nagle uświadomiłem sobie w całej pełni swój błąd. Skąd mogłem wiedzieć, że czterdziestka szóstka na liście oznacza, iż *Pelican* oraz pozostałe statki - bo chyba były to nazwy statków - mają prowadzić nasłuch radiowy w czterdzieści sześć minut po upływie każdej kolejnej godziny? Przypomniałem sobie, że pierwsze próbne SOS wystukałem mniej więcej o tej porze, na ustawionej przez nich fali.

- Telegrafista z *Pelicana* nie jest w ciemną bitą - ciągnął Witherspoon. - Zgubił cię, ale odgadł, że przeszedłeś na częstotliwość alarmową. Odszukał cię więc, a kiedy dwukrotnie usłyszał nazwę *Vardu*, zorientował się, że coś tu nie gra, zanotował więc litera po literce tekst depeszy, którą przesłałeś na *Annadale*, i dziesięć minut później połączył się ze mną.

Stałem skamieniały niczym posąg z Wyspy Wielkanocnej. Nigdzie nie było powiedziane, że to już koniec, lecz miałem wrażenie, ba, pewność, że wszystko stracone.

- „Combo Ridex London” to telegraficzny adres twojego szefa, prawda? - zapytał. Nie przekonałbym go raczej, że wysłałem tylko życzenia urodzinowe cioci Myrtle z Putney, więc bez słowa skinąłem głową. - Tak myślałem - ciągnął. - Uznałem, że warto samemu wysłać depeszę, więc kiedy Hewell - który tymczasem odkrył waszą ucieczkę - z pomocą swych ludzi przebijał wylot tunelu, ja ułożyłem własny telegram. Rzecz jasna, nie miałem pojęcia, co zawierała twoja zaszyfrowana wiadomość, ale to, co wysłałem na adres „Combo Ridex London” powinno załatwić sprawę. Otóż nadałem depeszę tej treści: „Poprzedni telegram nieaktualny. Panujemy nad sytuacją. W żadnym wypadku nie kontaktować się ze mną przed upływem czterdziestu ośmiu godzin. Z braku czasu nie szyfruję”. Pozwoliłem sobie podpisać ten tekścik twoim nazwiskiem, Bentall. Jak myślisz, czy to wystarczy?

Nie odpowiedziałem, bo też nie miałem nic do powiedzenia. Rozejrzałem się. Nikt już na mnie nie patrzył, nawet Marie; wszyscy wpatrywali się w swoje ręce. Urodziłem się w nieodpowiednim miejscu i czasie, gdyby spotkało mnie to w Rzymie, dwa tysiące lat temu, to przewracałbym się właśnie na ostrze swego miecza. Wyobraziłem sobie paskudną dziurę, jaką taki miecz zostawiłby mi w brzuchu, z czym skojarzyły mi się od razu paskudne dziury w lewym ramieniu. Dlatego też spytałem Witherspoona:

- Czy teraz już pozwoli pan, żeby porucznik Brookman opatrzył mi ramię?

Obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem.

- Niemal żałuję, że życie postawiło nas po przeciwnych stronach barykady - stwierdził spokojnie. - Rozumiem, dlaczego to właśnie ciebie wysłano z tą misją. Takich jak ty lepiej się wystrzegać.

- Racja, a wiesz dlaczego? Bo mam szczęście. Wyprawię cię jeszcze na tamten świat.

Zerknął na mnie i zwrócił się do Brookmana:

- Niech go pan opatrzy.

- Dziękuję, profesorze Witherspoon – powiedziałem uprzejmie.

- LeClerc, a nie Witherspoon - sprostował obojętnie. - Ten stary cymbał zrobił swoje, możemy już o nim zapomnieć.

Brookman spisał się znakomicie. Otworzył i oczyścił mi rany czymś, co przypominało w dotyku drucianą szczotkę, zaszył je zgrabnie, owinął mi rękę folią aluminiową i zabandażował, wpakował we mnie całe mnóstwo proszków i - jakby tego wszystkiego było mało - skłuł mnie na koniec strzykawką. Gdyby nie audytorium, zawstydzilibym tańczącego derwisza, ale świadom szkód, jakie wyrządziłem ewentualnemu narybkowi kontrwywiadu, zniosłem zabieg względnie spokojnie. Pod koniec tańczącym derwiszem okazał się pokój, wobec czego podziękowałem Brookmanowi i nie pytając nikogo o pozwolenie, klapnąłem na ławę naprzeciw kapitana Griffithsa. Witherspoon – czy raczej LeClerc, bo tak teraz powinienem o nim myśleć - usiadł obok mnie.

- Lepiej się czujesz, Bentall?

- Trudno się czuć gorzej. Jeżeli w piekle przewidziano miejsce dla psów, to mam nadzieję, że twój już się smaży.

- Kto wie? Kapitanie Griffiths, kto z obecnych tu naukowców jest najstarszy rangą?

- Co znowu za łajdactwo szykujesz? - warknął siwowłoso.

- Drugi raz nie powtórzę, kapitanie – przypomniał LeClerc łagodnie. Jego zamglone białe oczy pobiegły w kierunku opartego głową o stół trupa.

- Hargreaves - odparł Griffiths ciężko. Zerknął na drzwi mesy, zza których dolatywały ożywione głosy. – Czy to konieczne, LeClerc? Po paru miesiącach rozłąki! Nie nadaje się teraz do niczego. Ale ja wiem o wszystkim, co tu się dzieje. To ja jestem szefem operacji, a nie Hargreaves.

- Zgoda - odparł LeClerc po namyśle. - W jakim stadium jest Mroczny Krzyżowiec?

- Tylko tyle chce pan wiedzieć?

- Tylko.

- Mroczny Krzyżowiec jest gotów pod każdym względem, z wyjątkiem okablowania i uzbrojenia mechanizmu odpalającego.

- Dlaczego tego nie zrobiono?

- Dlatego, że zginął doktor Fairfield. – Próbowałem skupić wzrok na twarzy kapitana Griffithsa, która niczym w kalejdoskopie migąła mi pośród innych twarzy i mebli. Uświadomiłem sobie, że kapitan dopiero teraz zrozumiał, co się stało z Fairfieldem. Przez dłuższą chwilę spoglądał na LeClerca, po czym wyszeptał ochryple: - Mój Boże! Oczywiście, to jasne...

- Owszem - warknął LeClerc. - Ale to nie moja wina. Dlaczego nie ukończono tych prac wcześniej? Przecież paliwo załadowano już ponad miesiąc temu.

- A pan skąd o tym wie?!

- Niech pan odpowie na pytanie.

- Fairfield obawiał się, że w gorącym klimacie mieszanka zapłonowa może wykazywać niestałość i uważał, że nie ma sensu potęgować ryzyka poprzez uzbrajanie rakiety. - Griffiths przetaił wilgotną, krwawiącą twarz opaloną ręką. - Powinien pan wiedzieć, że wszelkie pociski uzbraja się dopiero w ostatniej chwili, obojętnie czy będzie to dwufuntowy drobiazg, czy bomba wodorowa.

- Czy Fairfield mówił, ile czasu zajmuje uzbrojenie Krzyżowca?
- Wspominał coś o czterdziestu minutach.
- Pan kłamie, kapitanie - powiedział cicho LeClerc. - Wiem, że jedną z wielkich zalet Krzyżowca jest to, że można go odpalić natychmiast.
- Istotnie. Tyle że w warunkach wojennych byłby uzbrojony stale, bez przerwy, a na razie nie jesteśmy pewni stabilności paliwa...
- Czterdzieści minut?
- Czterdzieści minut.
LeClerc odwrócił się do mnie.
- Słyszałeś? Czterdzieści minut.
- Słyszałem co nieco, choć mam z tym pewne kłopoty - wymamrotałem.
- Źle się czujesz?
- Źle się czuję? - Próbowałem obrzucić go zdziwionym spojrzeniem, ale nigdzie nie mogłem znaleźć jego twarzy. - A dlaczego miałbym się źle czuć?
- Potrafisz uzbroić tę raketę?
- Jestem specjalistą od płynnych paliw - odparłem nie bez trudu.
- Ja wiem co innego. - Nareszcie znalazłem jego twarz, bo przysunął mi ją pod sam nos. - Byłeś asystentem Fairfielda w instytucie Hepwortha. Wiem, że zajmowałeś się paliwami stałymi.
- Czy ty aby nie za wiele wiesz?
- Potrafisz? - naciskał łagodnie.
- Whisky - oświadczyłem. - Muszę się napić whisky.
- Cholerny świat! - Dorzucił do tego jeszcze parę przekleństw, których w większości nie dosłyszałem, i zawołał jednego ze swych ludzi. Wysłał go pewnie do mesy oficerskiej, bo po chwili ktoś wcisnął mi szklankę do ręki. Spojrzałem na nią mętnie - whisky było na trzy palce. Wychyliłem ją dwoma haustami. Kiedy przestałem kaszleć i otarłem łzy z oczu, stwierdziłem, że odzyskałem wzrok.
LeClerc dotknął mojej ręki.
- Więc jak? Potrafisz uzbroić Krzyżowca?
- Nie wiem nawet, jak się do tego zabrać.
- Jesteś chory - stwierdził LeClerc łagodnie. - Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. Powinieneś się przespać.

Piątek, 10.00 - 13.00

Spałem dwie godziny. Kiedy się obudziłem, słońce już stało wysoko, a doktor Hargreaves, spec od hipersoniki, łagodnie potrząsał mnie za ramię. A raczej zdawało mu się, że robi to łagodnie; prawdopodobnie z powodu koca, którym się przykryłem, zapomniał, że nie powinien mnie szarpać za lewą rękę. Gdy mu zwróciłem uwagę, że mógłby bardziej uważać, obruszył się, choć może to tylko mój ton mu się nie spodobał. Odrzuciłem koc i usiadłem. Byłem zdrętwiały, obolały, ramię i bark pulsowały mi wściekle, ale zmęczenie ustąpiło i nareszcie umysł mi się rozjaśnił. Na to właśnie liczył LeClerc - komuś, kto ze zmęczenia zatacza się jak pijany i ledwie widzi na oczy, trudno zlecić uzbrojenie i okablowanie rakiety o potencjale wybuchowym równym stu tonom konwencjonalnych materiałów wybuchowych. Czasami pozwalałam sobie na złudzenia, ale ani przez chwilę się nie łudziłem, że LeClerc odczepił się ode mnie raz na zawsze.

Hargreaves był błydy, zmartwiony i markotny. Wcale mu się nie dziwiłem. Jego spotkanie z żoną nie wypadło chyba najlepiej, nie sprzyjały temu ani obecne okoliczności, ani najbliższe perspektywy. Ciekaw byłem, co zrobili z Marie. LeClerc, kiedy go o to zapytałem, powiedział, że zamknęli ją razem z innymi kobietami.

Rozejrzałem się po mikroskopijnej chatce o wymiarach osiem stóp na osiem. Dookoła same stojaki, a nad głową małe okratowane okienko. Przypomniałem sobie, że ktoś chyba wspominał, iż mieścił się tu ich magazyn broni i amunicji, ale nie byłem tego całkiem pewny, bo zasnąłem, jak suseł, zaledwie rzuciłem się na brezentowe łóżko, które mi tam wstawili. Znowu spojrzałem na Hargreavesa.

- Co tu się działo przez ten czas? To znaczy, od rana?

- Pytali - odparł zmęczonym głosem. - Bez przerwy pytali. Moich kolegów, mnie i marynarzy brali indywidualnie na przesłuchania, a potem podzielili nas na małe grupki i zabrali nasze żony. Rozlokowali nas po całym obozie tak, że w jednym domu przebywają najwyżej dwie, trzy osoby.

Filozofia LeClerc'a była nader przejrzysta. Rozbijając całe towarzystwo na małe grupki, uniemożliwiał opracowanie wspólnego planu i zgrany opór. Natomiast utrzymując naukowców w stałej niepewności i strachu o los żon, zapewniał sobie ich absolutną współpracę.

- O co pana pytali?

- O wiele różnych rzeczy. - Zawahał się i uciekł spojrzeniem w bok. - Głównie o to, czy ktoś z nas potrafiłby uzbroić raketę. W każdym razie mnie o to pytał, za innych nie mogę się wypowiadać.

- A czy pan albo któryś z was wie cokolwiek na ten temat?

- Znamy ogólne zasady. Każdy z nas z konieczności musi się orientować w zasadach działania wszystkich zespołów rakiet. Ale jeśli chodzi o szczegóły, wiem mniej niż zero. - Uśmiechnął się blado. - Prawdopodobnie wysłalibyśmy cały ten interes do Królestwa Niebieskiego.

- A jest taka możliwość?

- Jak dotąd nikt jeszcze nie udziela gwarancji na rakiety w stadium eksperymentalnym.

- I stąd się wziął ten betonowy bunkier na północy?

- Mieliśmy dokonać z niego pierwszego próbnego odpalenia. Ot, tak na wszelki wypadek. Także dlatego kwatery naukowców usytuowano tak daleko od hangaru.

- Marynarze niech sobie giną, ale luminarzom nauki włos z głowy spaść nie może, mam rację? - Widząc, że nie kwapi się z odpowiedzią, mówiłem dalej: - Nie wie pan czasem, dokąd

się wybierają z tą rakieta, naukowcami oraz ich małżonkami? Bo marynarzy i oficerów rzecz jasna nigdzie nie wezmą.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Doskonale pan wie. LeClerc każe ich zlikwidować, bo do niczego już nie są mu potrzebni.

- Hargreaves mimowolnie potrząsnął głową i ukrył twarz w dłoniach. – Nie wspominał, dokąd się wybiera?

Jeszcze raz potrząsnął głową i odwrócił się. Był wyraźnie nieswój, unikał mojego wzroku, ale nie miałem mu tego za złe.

- Może do Rosji?

- Nie. - Wbił wzrok w podłogę. - Nie wiem gdzie, ale na pewno nie tam. Rosjanie nawet by nie spojrzeli na ten przestarzały złom.

- Przestarzały złom? - Wybałuszyłem oczy. – Zdawało mi się, że to najnowocześniejsza...

- Na Zachodzie, owszem. Ale od kilku miesięcy w kręgach naukowych jest tajemnicą poliszynela, choć nikt tego głośno nie mówi, że Rosjanie skonstruowali - albo właśnie konstruują - rakieta absolutną. Protonową. Niedyskrecje profesora Staniukowicza, największego radzieckiego specjalisty od dynamiki gazów, nie pozostawiają, niestety, żadnych wątpliwości. Jakimś sposobem odkryli oni tajemnicę wykorzystywania i magazynowania antyprotonów. My również znamy tę antymaterię, ale nie mamy pojęcia, jak można ją zmagazynować. A Rosjanie wiedzą. Niewiele tego potrzeba żeby wysłać Mrocznego Krzyżowca na orbitę.

Nie wnikałem w znaczenie tego, co mi powiedział, ale zgodziłem się, że w tej sytuacji Rosjan nasza rakieta nie interesuje. A więc kogo? Chiny, Japonię? Obecność chińskich robotników i chińskie radio LeClerc'a na pozór świadczyły, że jestem na dobrym tropie, ale czy to nie zbyt grubymi nićmi szyte? Wiele azjatyckich - i nie tylko azjatyckich - krajów chciałoby zdobyć Mrocznego Krzyżowca. Jednakże identyfikacja tego kraju mogła poczekać, chwilowo ważniejsza była odpowiedź na pytanie, skąd się ów kraj dowiedział, że pracujemy nad taką rakieta. Coś zaświtało mi w głowie, zacząłem się zbliżać do nieprawdopodobnego rozwiązania... Nagle zdałem sobie sprawę, że Hargreaves coś mówi.

- Chciałbym pana przeprosić za moje idiotyczne zachowanie dziś rano - oświadczył z wahaniem. - Jak ten głupi upierałem się, że jest pan ekspertem od paliw stałych. To tak, jakbym własnymi rękami założył panu stryczek na szyję. Widocznie z przejęcia zupełnie przestałem myśleć. Ale sądzę, że strażnik nie zwrócił na to uwagi.

- Nie ma o czym mówić. Według mnie też tego nie zauważył.

- Nie zamierza pan chyba współpracować z LeClerc'em? - zapytał Hargreaves. Przez cały czas zaciskał pięści, jego nerwy nie dorównywały intelektowi. - Wiem, że gdyby pan chciał, potrafiłby pan spełnić ich żądania.

- Dwie godzinki nad notatkami, wykresami i szyfrem Fairfielda, sprawdzenie instalacji i pewnie bym sobie poradził. Ale czas jest naszym sprzymierzeńcem, Hargreaves... tylko czas. LeClerc'a obchodzi wyłącznie jedno - uzbrojenie rakiety. Inaczej nie odjedzie. W Londynie wiedzą, gdzie jestem, na *Neckarze* mogą nabrać podejrzeń w związku ze zwłoką, może się wydarzyć tysiąc i jeden różnych rzeczy, z których każda będzie działała na naszą korzyść. - Próbowałem sobie wyobrazić jedną z nich, ale bez skutku, nic mi nie przychodziło do głowy. - Dlatego będę trzymał język za zębami. LeClerc podejrzewa wprawdzie, że znam się na paliwach stałych, ale nie wie tego na pewno.

- Oczywiście - mruknął Hargreaves. - Czas działa na naszą korzyść...

Usiadł na pustej skrzyni po amunicji i bez słowa wbił wzrok w podłogę. Najwyraźniej stracił ochotę na pogawędkę. Ja także nie miałem nastroju do rozmowy.

W drzwiach szcęknął klucz i do chaty weszli LeClerc i Hewell.

- Jak się czujesz, lepiej? - spytał LeClerc.

- Czego chcecie?

- Ciekaw jestem, czy nie zmieniłeś przypadkiem zdania na temat twojej rzekomej nieznanymości paliw stałych.

- Nie wiem, o czym ty mówisz.

- Oczywiście. Hewell? - Olbrzym postawił na podłodze skrzynkę w skórzanym futerale... magnetofon. – Chcesz przesłuchać nasze ostatnie nagranie?

Wstałem powoli i spojrzałem na Hargreavesa. Nie odrywał wzroku od podłogi.

- Dziękuję Hargreaves. Najmocniej dziękuję.

- Musiałem to zrobić - odparł głucho. – LeClerc powiedział, że zastrzeli moją żonę.

- Przepraszam. - Oparłem mu dłoń na ramieniu. – To nie pańska wina. I co teraz, LeClerc?

- Czas, żebyś sobie obejrzał Mrocznych Krzyżowców. - Co rzekłszy odstepił na bok, przepuszczając mnie do drzwi.

Drzwi hangaru były otwarte na oścież, a w środku paliły się górne światła. Przez całe pomieszczenie biegły tory kolejowe.

Oba egzemplarze Mrocznego Krzyżowca były na miejscu, a jakże - grube, przypominające ołówki cylindry z wypolerowanej stali, o chłodzonych wodą porcelanowych kapturach ponad wielkimi nawiewnikami powietrza w kształcie muszli. Miały około czterech stóp średnicy, a wysokością przypominały jednopiętrowy budynek. Spoczywały na stalowych ośmiokątowych wózkach. Każdą z nich przytrzymywały dwie kratownice, zaopatrzone u góry i u dołu w potężne łapy. Obie rakiety wraz z czterema kratownicami stały na tym samym torze.

LeClerc nie tracił czasu ani słów. Podszedł wprost do pierwszej rakiety i wszedł do otwartej windy, zainstalowanej po wewnętrznej stronie jednej z kratownic. Hewell wpakował mi pistolet w krzyż. Zrozumiałem, w czym rzecz, i stanąłem w windzie obok LeClerc'a. Hewell został na dole. LeClerc nacisnął guzik, zaszumił elektryczny silnik i winda płynnie podjechała pięć stóp w górę. LeClerc wyciągnął z kieszeni kluczyk, wsunął go w niewielki otwór w ścianie rakiety, pociągnął wpuszczoną klamkę i otworzył wysokie na siedem stóp drzwi w obudowie Mrocznego Krzyżowca. Były tak idealnie dopasowane, wykonane tak precyzyjnie, że wcześniej ich nie zauważyłem.

- Przyjrzyj się - rzekł LeClerc. - Właśnie po to tu jesteś... żeby się dobrze przyjrzeć.

Przyjrzałem się. Zewnętrzna obudowa była całkiem zwyczajną, po prostu osłona z utwardzonej stali, i tyle. Pod nią, w odstępnie pięciu cali, znajdowała się osłona wewnętrzna.

Dokładnie przed sobą ujrzałem przyspawane do niej dwie płaskie stalowe skrzynki o wymiarach sześć na sześć cali. Ta z lewej, w kolorze zielonym, miała napis „Paliwo”, a poniżej „Włączone - Wyłączone”. Druga, o barwie jasnoczerwonej, miała po bokach dwa białe napisy: „Zabezpieczone” i „Uzbrojone”. Obie skrzynki zaopatrzone były u góry w przełączniki.

Ze skrzynek wychodziły elastyczne kable opancerzone, otoczone dodatkowo plastikową powłoką. Prawdopodobnie miało to chronić przewody elektryczne przed nadmierną temperaturą podczas lotu i przegrzania. Lewy kabel miał półtora cala grubości, prawy tylko pół cala. Pierwszy biegł po wewnętrznej ścianie i trzy stopy poniżej skrzynki rozdzielał się na siedem mniejszych kabli, także opancerzonych i otoczonych plastikiem. Drugi prowadził do szczeliny między wewnętrzną a zewnętrzną obudową rakiety i skręcał w górę, ginąc z widoku.

Były tam jeszcze dwa kable. Jeden krótki, o grubości pół cala, który łączył obie skrzynki, oraz gruby, dwucalowy kabel, prowadzący od skrzynki z napisem „Paliwo” do trzeciej, znacznie większej, umocowanej od środka zewnętrznej osłony rakiety. Ta trzecia skrzynka miała drzwiczki na zawiasach, mocowane dwiema nakrętkami motylkowymi. Nie wychodziły z niej żadne przewody elektryczne.

Obejrzałem to wszystko w równe dziesięć sekund. LeClerc zerknął na mnie i spytał:

- Zapamiętasz?

Bez słowa skinąłem głową.

- Fotograficzna pamięć - mruknął tajemniczo. Zamknął drzwi na klucz, uruchomił windę i z szumem silnika podjechaliśmy w górę o dalsze sześć stóp. Nastąpił znany mi już ceremoniał otwierania drzwi - tyle, że te miały raptem dwie stopy wysokości - i zaproszenie do inspekcji.

Tutaj było jeszcze mniej do oglądania. Okrągły otwór w wewnętrznej ścianie ukazywał kilkanaście zwężających się rurek, spośród których wystawał koniec jakiegoś okrągłego przedmiotu o średnicy sześciu cali, przedziurawiony na samym środku. Do zewnętrznej ścianki prowadził opancerzony kabel o średnicy pół cala. Najprawdopodobniej był to ten sam, który wychodził z czerwonej skrzynki na dole. Zakończony miedzianą wtyczką, zwisał swobodnie w otworze między dwiema ścianami rakiety, więc na logikę należało go podłączyć do centralnego cylindra. Tu jednak logika zawodziła - otwór w cylindrze był ze cztery razy szerszy od wtyczki.

LeClerc zamknął drzwi, nacisnął guzik i wróciliśmy na dół. Kolejne drzwi, kolejny klucz i tym razem mogłem sobie obejrzeć raketę u samej podstawy, nieco poniżej końca ostatniej rurki w wewnętrznej osłonie. W przeciwieństwie do galimatiasu na górze, tutaj wszystko było systematycznie rozplanowane i ułożone: z dziewiętnastu zapieczętowanych jakimś plastikiem cylindrów o średnicy siedmiu cali, osiemnaście tworzyło dwa koncentryczne koła, wypełniając całą przestrzeń w wewnętrznej obudowie. Od dołu ścianki cylindrów były karbowane, a nacięcia te służyły niewątpliwie do podłączenia przewodów, które zwisały bezładnie między dwiema ścianami. Policzyłem je - dziewiętnaście przewodów wychodzących z siedmiu opancerzonych kabli, stanowiących przedłużenie kabla prowadzącego do zielonej skrzynki u góry. Z trzech kabli wychodziły po dwa przewody, z następnych trzech po trzy i wreszcie cztery przewody z ostatniego kabla.

- Zapamiętałeś wszystko, Bentall? - spytał LeClerc.

- Wszystko. - Skinąłem głową. A cóż w tym trudnego?

- To dobrze. - Zamknął drzwi i ruszył do wyjścia z hangaru. - A teraz rzucisz okiem na notatki Fairfielda, jego wykaz szyfrów i pomoce naukowe. Chociaż to udało nam się uratować.

Uniosłem brew - była to jedna z niewielu rzeczy, które nie sprawiały mi bólu.

- A czego się nie udało?

- Kompletnych planów rakiety. Przyznaję, że nie podejrzewaliśmy Anglików o taką zapobiegliwość. Trzymali je w metalowej skrzynce, pod szklanym zbiornikiem stężonego chlorowodoru. To stara sztuczka jeszcze z okresu wojny, o wiele pewniejsza niż palenie. Przy próbie otwarcia szkło zostało stłuczone i zanim się obejrzeliśmy, wszystko strawił kwas.

Przypomniałem sobie krew na twarzy kapitana.

- Kochany kapitan Griffiths. A więc teraz wszystkie wasze plany zależą od tego, czy zdobędziecie działający egzemplarz rakiety, mam rację?

- Owszem. - LeClerc najwyraźniej się nie przejmował. - Nie zapominaj, że mamy wszystkich naukowców.

Zaprowadził mnie do chaty za magazynem broni, prowizorycznie wyposażonej w kilka szafek, maszynę do pisania i zwykle drewniane biurko. Otworzył szafkę, wyciągnął górną szufladę i rzucił na blat plik papierów.

- O ile wiem, to są wszystkie papiery Fairfielda. Wracam za godzinę.

- Za dwie, a pewnie będę potrzebował nawet więcej czasu.

- Powiedziałem: za godzinę.

- W porządku. - Wstałem z krzesła, na którym dopiero co usiadłem, i odsunąłem papiery na bok. - Znajdź sobie kogo innego do tej roboty.

Przez dłuższą chwilę przyglądał mi się beznamiętnie szarymi, mlecznymi oczami.

- Nielicho ryzykujesz, Bentall - stwierdził spokojnie.

- Nie gadaj bzdur. - Z braku lepszego pomysłu, mogłem się z nim chociaż podroczyć. - Ryzykuje się wtedy, gdy można coś zyskać lub stracić. Nie bardzo wiem, co jeszcze mógłbym zyskać w tej sytuacji, a Bóg mi świadkiem, że nie mam też nic do stracenia.

- Mylisz się - odparł uprzejmie. - Możesz coś stracić. Życie. Mogę cię go pozbawić w każdej chwili.

- Ależ nie krępuj się. - Próbowałem złagodzić jakoś palący ból w lewym ramieniu i barku. - Weź je sobie. Czuję się tak, że bez żalu mogę się z nim rozstać.

- Widzę, że dopisuje ci poczucie humoru – stwierdził cierpko i wyszedł, trzaskając drzwiami. Nie zapomniał jednak przekręcić w zamku klucza.

Zanim rzuciłem okiem na dokumenty Fairfielda, minęło pół godziny, ale też miałem na głowie dużo ważniejsze rzeczy. Nie powiem, żeby to było najprzyjemniejsze trzydzieści minut w moim życiu, Bentallowi wreszcie spadły łuski z oczu. Miałem przed sobą wszystkie dowody, widziałem wszystko jak na dłoni. Kontrwywiad, pomyślałem z goryczą, a to dobre! Nie powinni mnie wypuścić z przedszkola, Bentall nie nadaje się do zmagania ze złymi ludźmi na tym złym świecie, jedyne, czego można od niego wymagać, to żeby nauczył się chodzić, nie łamiąc sobie przy tym nóg. Oczywiście po płaskim. Wkrótce moje morale i szacunek do samego siebie skurczyły się tak, że trzeba by ich szukać pod mikroskopem elektronowym, dokonałem więc powtórnego przeglądu ostatnich wydarzeń, w nadziei, że znajdę coś, co mnie podtrzyma na duchu. Ale nie - dzierżyłem wspaniały, niezrównany rekord: przez cały czas popełniałem tylko i wyłącznie błędy. Ciekawe, czy ktoś mi w tym kiedyś dorówna?

Pocieszające było tylko to, że myląc się w stu procentach, myliłem się także jeśli chodzi o Marie. Nie miała żadnych specjalnych poleceń od pułkownika Raine'a, nigdy też mnie nie oszukała. Wiedziałem, że nie są to tylko czcze domysły z mojej strony, lecz sprawdzalny fakt. Inna sprawa, że doszedłem do tego ciut za późno, zdawałem sobie sprawę, że teraz już niczego to nie zmieni, choć w innych okolicznościach... Oddałem się rozkoszom wizjom tego, jak by to było w innych okolicznościach, i właśnie skończyłem stawiać ostatnie fortyfikacje wyjątkowo uroczego zamku na lodzie, gdy w zamku przekręcił się klucz. Zaledwie rozłożyłem przed sobą pierwsze z brzegu papiery, wszedł LeClerc w towarzystwie chińskiego strażnika. Spojrzał na biurko, leniwie wymachując trzcinką.

- Jak leci, Bentall?

- To trudna i skomplikowana robota, ale jeśli mnie będziesz co chwila nachodził, może być tylko gorzej.

- Nie utrudniaj sprawy, Bentall. Ta rakietka musi być gotowa do odpalenia za dwie i pół godziny, to moje ostatnie słowo.

- Żebym ci nie powiedział, gdzie ja mam twoje ostatnie słowo - odciąłem się. - A w ogóle to skąd ten pośpiech?

- Marynarka wojenna czeka, Bentall - przypomniał mi spokojnie. - Nie możemy jej sprawić zawodu, prawda?

Przemyślałem sobie jego słowa.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że macie czelność prowadzić łączność radiową z *Neckarem*?

- Nie bądź dzieckiem. To przecież oczywiste. Nikt bardziej ode mnie nie pragnie, żeby Mroczny Krzyżowiec o ustalonej porze trafił w wybrany cel. Nie mówiąc już o tym, że zerwanie łączności byłoby gwarantowaną metodą na wzbudzenie ich podejrzeń. Przyplłynęliby tu pełną parą. Tak, że lepiej się pośpiesz.

- Robię, co mogę - oświadczyłem zimno.

LeClerc wyszedł, a ja zabrałem się do roboty. Gdyby nie szyfr, schemat instalacji mógłby rozpracować pierwszy lepszy elektryk. Tyle, że żaden elektryk nie poradziłby sobie z ustawieniem zegara regulującego kolejność zapłonu dziewiętnastu cylindrów z paliwem.

Notatki Fairfielda wskazywały, że on sam nie był do końca pewien swych danych. Wynikały one z obliczeń teoretycznych, ale teoria i praktyka to dwie różne rzeczy. Problem brał się z właściwości samego paliwa, które w ograniczonych ilościach i normalnej temperaturze było całkowicie stabilne, natomiast przy zmianie temperatury i ciśnienia oraz po przekroczeniu masy krytycznej stawało się nieobliczalne. Trudno zaś było precyzyjnie określić granicę tych czynników i wpływ, jaki wywierały na siebie wzajemnie. Wiadomo było tylko tyle, że przekroczenie granicy bezpieczeństwa natychmiast zmienia paliwo w mieszanekę wybuchową, pięciokrotnie silniejszą od takiej samej ilości TNT.

Dlatego też podzielono paliwo na dziewiętnaście osobnych ładunków i wprowadzono siedmiostopniowy zapłon. Stanowiło to jakieś zabezpieczenie przed nadmierną masą i ciśnieniem, ale pozostawał nie rozwiązany problem przegrzania. Paliwo wyposażono wprawdzie w utleniacz, który jednak nie zapewniał całkowitego spalania. Dwie szybkoobrotowe turbiny, włączając się dwie sekundy przed odpaleniem pierwszych czterech cylindrów, tłoczyły sprężone powietrze przez piętnaście sekund, po czym – gdy rakieta nabierze odpowiedniej prędkości - ich rolę przejmowały ogromne nawiewniki. Mroczny Krzyżowiec był całkowicie uzależniony od dopływu powietrza, dlatego też w pierwszej fazie lotu poruszał się po spłaszczonej trajektorii, by nie wylecieć przedwcześnie poza atmosferę. Dopiero po wyczerpaniu całego paliwa rakieta samoczynnie skręcała ostro w górę. Ale nawet w ciągu tych trzydziestu sekund wytwarzały się olbrzymie ilości ciepła, z którym trzeba było coś zrobić. Część miała pochłaniać chłodzony wodą porcelanowy kaptur, lecz nikt nie mógł przewidzieć, jaka temperatura zapanuje we wnętrzu Krzyżowca. Krótko mówiąc, na dwoje babka wróżyła.

Przed startem rakiety należało nastawić obie skrzynki przyspawane do jej wewnętrznej obudowy. Jedna umożliwiała odpalenie, druga samozagładę Krzyżowca - w wypadku awarii, na przykład odchylenia toru lotu, można było elektronicznie nakazać samozniszczenie pocisku. W raketach o napędzie tradycyjnym przerwanie lotu załatwiano wysyłając przez radio polecenie odcięcia dopływu paliwa. Paliwa stałego jednak nie można odciąć w ten sposób. Cylinder, który widziałem w górnej części rakiety, zawierał sześćdziesiąt funtów TNT i spłonkę z otworem na elektronicznie odpalany piorunian rtęci, umieszczony we wtyczce wiszącego tam kabla. Obwód ten, tak jak i wszystkie pozostałe, uruchamiano drogą radiową. Odpowiedni sygnał nadany na odpowiedniej fali detonował ładunek TNT, lecz w tym wypadku Fairfield nie mógł się pozbyć wątpliwości. W założeniu rakieta powinna się rozpaść, ale Fairfield nie wykluczał, że raptowna zmiana ciśnienia i temperatury spowoduje jednoczesne eksplozje paliwa i wybuch rakiety.

Pomyślałem, że gdyby zaproponowano mi jako pierwszemu człowiekowi na świecie lot na Księżyc, to zgodziłbym się tylko pod warunkiem, że nie leciałbym Mrocznym Krzyżowcem. Jak nie, to niech sobie leci kto inny, a Bentall z Ziemi będzie wypatrywał eksplozji.

Na maszynie wypisałem sobie, które kable odpowiadają którym cylindrom z paliwem, zrobiłem rozpiskę czasową według sugestii Fairfielda i właśnie chowałem kartkę do kieszeni, gdy w drzwiach pojawił się Hewell.

- Nie, psiakrew, jeszcze nie skończyłem - warknąłem, zanim zdążył otworzyć usta. - Dajcie mi wreszcie święty spokój i pozwólcie pracować.

- Długo jeszcze? - zapytał swym dudniącym, grobowym głosem. - Powoli tracimy cierpliwość, Bentall.

- Umrę ze zmartwienia. Jeszcze kwadrans. Zostaw za drzwiami jednego z twoich ludzi, to zastukam, jak skończę.

Skinął głową i wyszedł bez słowa, a ja zacząłem dumać o sobie i swoim podejściu do życia. Przypomniałem sobie zachwyty psychologów nad siłą umysłu człowieka, nad potęgą myślenia pozytywnego, polegającego na tym, że jeśli po tysiącokrotnie wmawiać sobie optymizm i pogodę ducha, to osiągnie się i jedno, i drugie. Spróbowałem więc tej metody, z tą tylko

różnicą, że usiłowałam wyobrazić sobie Bentalla jako zgrzybiałego staruszka, ale w moim wypadku myślenie pozytywne najwyraźniej nie skutkowało, oczyma duszy widziałem jedynie Bentalla z przestrzeloną głową. Podejrzywałam, że nastąpi to jeszcze dzisiaj, bo wiedziałem, że tak być musi. Inni naukowcy mogli zostać przy życiu, ale nie ja. Ja musiałem umrzeć i wiedziałem dlaczego. Podeszedłem do okna i urwałem sznur od żaluzji. Nie zamierzałem się jednak wieszać, zanim LeClerc i Hewell wezmą mnie na tortury albo zastrzelą. Zwinąłem sznurek w kłębek, schowałem go do kieszeni spodni i zastukałem w drzwi. Usłyszałem oddalające się kroki strażnika.

Wkrótce w progu stanęli LeClerc i Hewell, tym razem w towarzystwie dwóch Chińczyków.

- Skończone? - zapytał LeClerc bez żadnych wstępów.

- Skończone.

- Dobrze. Natychmiast uzbrajaj raketę. - Ani słowa podziękowania, żadnych peanów na cześć Bentalla, którego cięty umysł tak sprawnie poradził sobie z zawiłym problemem. Bierz się, Bentall, do roboty, i kropka.

Potrząsnąłem głową.

- Nie tak prędko, LeClerc. Najpierw muszę zajrzeć do bunkra.

- Do bunkra? - Przez dłuższą chwilę przyglądał mi się oczami ślepego. - Po co?

- A po to, że właśnie tam znajduje się pulpit sterowniczy.

- Pulpit sterowniczy?

- Taka skrzynka z gałkami i guzikami do zdalnego sterowania poszczególnymi elementami rakiety - wyjaśniłem cierpliwie.

- Wiem - odparł zimno. - Ale nie musisz jej oglądać przed uzbrojeniem Krzyżowca.

- Ja chyba lepiej wiem, co muszę, a czego nie - rzekłem wyniośle.

Z braku wyboru ustąpił, choć mógłby to zrobić z większym wdziękiem. Wysłał strażnika po klucze do biura kapitana i ruszyliśmy w drogę. Mieliśmy do pokonania pół mili. Żaden z nas nie odzywał się, ale ta wroga cisza wcale mi nie przeszkadzała, nie miałem nastroju do rozmowy. Chciałem tylko patrzeć, sycić oczy widokiem białego piasku, szmaragdowej, rozmigotanej laguny i bezchmurnego błękitu nieba. Spoglądałem na to wszystko z tęsknotą człowieka, który przeczuwa, że może to już po raz ostatni.

Solidnością konstrukcji bunkier przywodził na myśl średniowieczną fortecę, z tą tylko różnicą, że wystawał spod ziemi zaledwie na dwie stopy. Ze szczytu sterczały trzy skanery radarowe, trzy anteny oraz - co zauważyłem dopiero teraz - cztery peryskopy, które można było przesuwac w płaszczyźnie pionowej i poziomej.

Do bunkra prowadziło kilka schodków. Masywne stalowe drzwi osadzone na równie masywnych stalowych zawiasach ważyły pewnie z pół tony. Nic dziwnego - nie projektowano ich z założeniem, że mają bronić wstępu muchom, lecz tak, aby chroniły ludzi na wypadek eksplozji o sile stu ton TNT w odległości niewiele większej niż tysiąc jardów.

Chińczyk przyniósł dwa płaskie, chromowane klucze tego samego typu co yale, tyle że wielokrotnie większe. Wsunął jeden z nich w zamek, przekręcił dwa razy i powoli pchnął drzwi, które otworzyły się gładko na dobrze naoliwionych zawiasach. Weszliśmy do środka.

- Rany boskie! - mruknałem. - Toż to lochy!

Rzeczywiście tak to wyglądało - pomieszczenie o wymiarach dziesięć stóp na dwadzieścia, z betonową podłogą, betonowymi ścianami i takim samym sufitem. Na wprost wejścia były drugie, lżejsze drzwi. Ławy pod ścianami i udający lampę robaczek świętojański na suficie stanowiły cały wystrój tej celi.

Nikt nie podjął tematu, który zagaiłem. Chińczyk podeszedł do drugich drzwi i otworzył je drugim kluczem.

Prowadziły one do drugiej części bunkra, tej samej wielkości co pierwsza, tyle że jasno oświetlonej. W jednym rogu wydzielono sklejką kabinę o wymiarach pięć na pięć stóp, niewątpliwie po to, by światło nie odbijało się na ekranach radarów. W drugim rogu mrucała

cicho prądnicą benzynową, usuwająca spaliny przez dach. Pod sufitem znajdowały się dwa małe wentylatory, pośrodku zaś, między kabiną radarową a prądnicą, stał pulpit sterowniczy. Podeszedłem, by mu się przyjrzeć.

Był to całkiem zwyczajny pulpit - ukośnie ścięta metalowa skrzynka, połączona z nadajnikiem radiowym i wyposażona w szereg oznakowanych przycisków i lampek sygnalizacyjnych. Pierwszy guzik był podpisany: „Hydraulika”, drugi - „Urządzenia pomocnicze”. Służyły one do sprawdzania przed samym startem oleju i elektryki. Trzeci przycisk - „Wyłącznik mocy” - odcinał zewnętrzne źródła elektryczności. Czwarty przycisk oznaczono jako „Kontrola lotu” - wysyłał on do elektronicznego „mózgu” Krzyżowca rozkaz włączenia mechanizmu samosterującego. Piąty guzik, z napisem „Łapy”, po naciśnięciu sygnalizował zapaleniem się kontrolki, że łapy podtrzymujące raketę są gotowe do natychmiastowego cofnięcia się w momencie startu. Szósty guzik odsuwał kratownice od rakiety, natomiast siódmy uruchamiał turbiny tłoczące powietrze do rakiety. Wiedziałem, że dwie sekundy później następuje odpalenie pierwszych czterech cylindrów, a po upływie dalszych dziesięciu sekund włącza się obwód destrukcyjny... jeżeli dyżurny przy pulpicie sterowniczym naciśnie ostatni guzik.

Ostatni guzik... Nie sposób go było pomylić z innymi. Umieszczony na środku sporego czerwonego kwadratu, z dala od innych, był biały, kwadratowy i podpisany stalowymi literami: ENSAD. Elektroniczny naziemny system automatycznej destrukcji. Aby nikt nie nacisnął go przez pomyłkę, zabezpieczała go gruba metalowa siatka, którą najpierw trzeba by odpiąć z dwóch stron, ale i tak przed uruchomieniem tego przycisku trzeba go było jeszcze przekręcić o sto osiemdziesiąt stopni.

Pogapiłem się na pulpit, pogmerałem przy radiu, wyciągnąłem notatki i zacząłem je wertować. Hewell zaglądał mi przez ramię. Gdybym nawet musiał się skupić w tych warunkach, nic by z tego nie wyszło, na szczęście jednak nie musiałem. LeClerc stał na uboczu i przyglądał mi się tymi swoimi oczami ślepeca. W pewnej chwili jeden ze strażników szepnął coś do niego i wskazał na drzwi.

LeClerc wyszedł. Wrócił po trzydziestu sekundach.

- Pośpiesz się, Bentall - rzekł zwięźle. - *Neckar* właśnie zawiadomił, że wpływa w strefę sztormu i wkrótce pogoda uniemożliwi obserwację eksperymentu. Obejrzałeś już wszystko?

- Obejrzałem.

- I dasz sobie radę?

- Jasne.

- Ile ci to zajmie?

- Piętnaście minut. Góra dwadzieścia.

- Piętnaście? - Zamilkł na chwilę. - Doktor Fairfield twierdził, że czterdzieści.

- Nie obchodzi mnie, co on twierdził.

- Też racja. Możesz zaczynać.

- Niby co?

- Uzbrowanie rakiety, idioto.

- Ktoś tu się chyba pomylił - rzekłem. - Nigdy nie mówiłem, że uzbroję wam raketę. Przypominasz sobie coś takiego? Nie kiwnę przy tym małym palcem.

Przestał kołysać łagodnie trzcinką i zbliżył się do mnie o krok.

- Nie zrobisz tego? - wycedził ochryplym z gniewu głosem. - To po kiego diabła traciłeś czas, udając przez dwie i pół godziny, że nad tym pracujesz?

- Trafiłeś w sedno, LeClerc. O to mi właśnie chodziło. Żeby zmarnować jak najwięcej czasu. Słyszałeś, co powiedziałem Hargreavesowi. Czas działa na naszą korzyść. Macie to nagrane na taśmie.

Wiedziałem, co teraz nastąpi, byłem na to przygotowany, ale czułem się jak dziewięćdziesięciolatek i refleks miałem odpowiednio zwolniony. Zdradziecki cios, w który

LeClerc włożył całą swoją furię i siłę, rozplatał mi lewy policzek aż po oko, jak gdyby trzcinką zmieniła się w ostry jak brzytwa miecz. Zdławiłem jęk bólu, zatoczyłem się i skoczyłem na mającą przede mną postać. Jeszcze na dobre nie wystartowałem, a już Hewell chwycił mnie w swe olbrzymie łapska, wyrывая mi lewą rękę z barku (późniejsze oględziny wykazały, że obie ręce miałem na swoim miejscu, widocznie przytrzymał mi ją z powrotem). Odwróciłem się, wyprowadzając prawy sierpowy, ale zaślepiiony wściekłością, trafiłem w próżnię. Nim odzyskałem równowagę, któryś ze strażników przytrzymał mnie z drugiej strony, a trzcinka ze świstem zbliżyła się do mojej twarzy. Wyczuwając to, skuliłem się i przyjąłem uderzenie czubkiem głowy. Trzcinka cofnęła się i znów nabierała rozmachu, ale tym razem nie dotarła do celu. Hewell puścił mnie, skoczył do przodu i chwycił LeClerca za nadgarstek. Opadająca do ciosu ręka zatrzymała się raptownie, niczym na uwięzi. LeClerc uwiesił się na ręce Hewella, próbując się oswobodzić. Hewell nawet nie drgnął, a jego ręka nie przesunęła się ani o włos.

- Puszczaj, Hewell! - syknął LeClerc rozedrganym z wściekłości szeptem. - Mówię ci, zabierz rękę!

- Dość tego, szefie. - Tubalny, autorytatywny głos rozproszył atmosferę obłędu, zaprowadził codzienny spokój. - Nie widzisz, że facet ledwo zipie? Chcesz go wykończyć? Kto nam wtedy uzbroi rakiety?

Przez kilka sekund panowała cisza. Wreszcie LeClerc odezwał się zupełnie innym tonem:

- Dziękuję ci, Hewell. Oczywiście masz rację. Ale mnie sprowokował.

- Fakt - przyznał Hewell swym grobowym głosem. - Bez dwóch zdań. To kawał cwaniaka. Sam chętnie bym mu skręcił kark.

Nie byłem wśród przyjaciół, to jasne. Ale nie przejmowałem się nimi, nawet o nich nie myślałem. Chwilowo martwiłem się o siebie. Moje lewe ramię i lewy policzek uparły się, żeby mnie wykończyć, i toczyły zażartą walkę o palmę pierwszeństwa, po chwili jednak zrezygnowały z rywalizacji, połączyły swe siły i w rezultacie odniosłem wrażenie, że cały mój lewy bok tonie w morzu nieopisanego bólu. Gapiłem się na pulpity sterownicze. Wszystkie przyciski rozplywały mi się przed oczami, skakały przede mną jak pchełki. Hewell nic a nic nie przesadzał, z całą pewnością długo bym już nie wytrzymał. Powoli się rozsypywałem. Choć bo ja wiem, czy powoli?

Słyszałem głosy, a nie wiedziałem, czy skierowane są do mnie, czy nie. Potknąłem się o stółek i przysiadłem na nim, trzymając się pulpitu, żeby nie zlecieć na podłogę.

Znów usłyszałem głosy, ale tym razem rozpoznałem LeClerca, który podszedł i stanął przede mną. Trzcinkę trzymał oburącz; kostki jego dłoni zbieleły, jak gdyby chciał przełamać ją na pół.

- Bentall, słyszysz mnie? - mówił cichym, zimnym głosem. Z dwojga złego wolałem już jego niedawny wybuch wściekłości. - Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Spojrzałem na krew kapiącą na betonową podłogę.

- Lekarza - wybełkotałem. Zdrętwiała szczeka i spuchnięte usta utrudniały mi mówienie. - Rany mi się otworzyły.

- Mam gdzieś twoje rany. - Szkoda gadać, dobry Samarytanin do szpiku kości. - Bierz się do roboty, ale już.

- Naprawdę? - Wyprostowałem się z wysiłkiem i zmrużyłem oczy. Udało mi się skupić wzrok na tyle, że widziałem go w sześciu powtórzeniach, niczym w źle wyregulowanym telewizorze. - Jak mnie do tego zmusisz? Bo wiesz, że inaczej nic z tego. Więc jak? Torturami? To przyniesie obcegi do zrywania paznokci, przekonasz się, czy cokolwiek zwojujesz z Bentallem. - Zamroczony z bólu, nie bardzo wiedziałem, co mówię. - Jeden twój ruch i Bentall przeniesie się na lepszy świat. Zresztą i tak nic bym nie poczuł. Patrz, jak mi się trzęsą ręce. - Uniosłem dłoń, by mógł się o tym przekonać. - Chcesz, żebym w takim stanie dłużej w precyzyjnym...

Uderzył mnie na odlew w usta.

- Zamknij się! - rzekł zimno. Florence Nightingale pewnie by się w nim zakochała, widząc tak znakomite podejście do chorego. - Są inne sposoby. Pamiętasz, co się stało, kiedy ten dumny porucznik nie odpowiedział mi na pytanie? Pamiętasz?

- Tak. - Działo się to zaledwie kilka godzin temu, a miałem wrażenie, że minął już miesiąc.

- Pamiętam. Strzeliłeś jednemu z marynarzy w głowę. Porucznik już ci się więcej nie stawiał.

- I ty też nie będziesz się stawiał. Sprowadzę tu któregoś z marynarzy i każę mu poprosić cię o uzbrojenie rakiety. Jeśli odmówisz, zastrzelę go. Ot, tak. - Pstryknął palcami.

- Naprawdę?

Zamiast odpowiedzi zawołał jednego ze swych ludzi i wydał mu jakieś polecenie. Tamten skinął głową i odwrócił się.

- Zawołaj go z powrotem - odezwałem się, gdy Chińczyk zrobił pięć kroków.

- Już lepiej. Będziesz współpracował?

- Powiedz mu, żeby przyprowadził wszystkich marynarzy. I oficerów. Jeśli o mnie chodzi, możesz ich wszystkich wystrzelać.

Wytrzeszczył oczy.

- Czyś ty zwariował, Bentall? - wykrztusił wreszcie. - Nie widzisz, że ja nie żartuję?

- Ja też nie - odparłem z wysiłkiem. - Zapominasz, kim jestem, LeClerc. Jestem agentem kontrwywiadu i mam gdzieś cały humanitaryzm. Powinieneś coś o tym wiedzieć. Zresztą i tak zdaję sobie sprawę, że zanim opuścisz wyspę, wymordujesz ich wszystkich. Więc co za różnica, czy się przeniosą na tamten świat teraz, czy dopiero jutro? No, dalej, nie żałuj amunicji.

Patrzył na mnie bez słowa. Mijały sekundy. Serce łomotało mi w piersi, dłonie ociekały potem. W końcu odwrócił się. Uwierzył mi, on też by tak rozumował w swym bezzwzględny, zbrodniczym umyśle. Powiedział coś cicho do Hewella, który wyszedł ze strażnikiem, po czym odwrócił się do mnie.

- Każdy ma swoją piętę achillesową, Bentall – odezwał się swobodnie. - Mam wrażenie, że kochasz swoją żonę?

W tym betonowym bunkrze panował nieprawdopodobny upał, było gorąco jak w piecu, a jednak miałem wrażenie, jakbym wszedł do zamrażarki. Zapomniałem o bólu, przez chwilę czułem tylko zimne ciarki przechodzące mi po kręgosłupie. Zaszło mi w ustach, w żołądku poczułem obezwładniający skurcz zapowiadający te najgorsze mdłości, które są skutkiem strachu. Bałem się, bałem się jak nigdy. Czułem ten strach, czułem go w dotyku i w ustach. Smakował tak, jak wszystkie najgorsze paskudztwa zebrane do kupy. Czułem jego zapach w powietrzu - cuchnął tak, jak wszystkie najgorsze smrody razem wzięte. Powiniennem był przewidzieć, że do tego dojdzie. Wyobraziłem sobie jej wykręconą w udręce twarz i piwne, pełne bólu oczy. Mogłem się tego spodziewać, to było jasne jak słońce. Tylko Bentall mógł tego nie zauważyć.

- Ty głupku żaloszny. - Słowa z trudem przechodziły mi przez suche, opuchnięte usta, tym bardziej więc miałem kłopoty z dobraniem odpowiedniego tonu, ale zabrzmiało to dostatecznie pogardliwie. - Ona nie jest moją żoną. Nazywa się Marie Hopeman i znamy się zaledwie od kilku dni.

- Nie jest twoją żoną, powiadasz? - Wcale go to nie zdziwiło. - Czyżby więc koleżanka po fachu?

- Czyżby. Panna Hopeman świadomie podjęła to ryzyko. Pracuje w kontrwywiadzie od lat. Powiedz jej, że ma posłużyć jako straszak na mnie, a roześmieje ci się w twarz.

- Całkiem możliwe, całkiem możliwe. Agentka kontrwywiadu, no proszę. Waszemu rządowi należą się gratulacje, przeciętna urody brytyjskich agentek nie jest najwyższa, ale panna Hopeman zdecydowanie ją poprawia. Prześliczna dziewczyna. Osobiście uważam, że

jest urocza. – Zawiesił głos. - Skoro nie jest twoją żoną, to chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby towarzyszyła pozostałym paniom tam, dokąd się wybieramy.

Przyglądał mi się bacznie, ciekaw mojej reakcji. Wyraził się dostatecznie jasno, ale chyba go rozczarowałem. Trzymał mnie na muszce pistoletu, strażnik celował mi w brzuch z karabinu, więc nic bym nie zyskał reagując tak, jak bym sobie życzył. Dlatego też spytałem zimno:

- A dokąd to się wybieracie, LeClerc? Do Azji?

- Myślałem, że to oczywiste.

- A rakieta? Prototyp dla setek następnych?

- Właśnie. - Wyraźnie nabrał ochoty do rozmowy, jak wszyscy lubił rozprawiać o swych obsesjach. – Moją przybraną ojczyznę, jak zresztą wiele innych krajów azjatyckich, cechuje geniusz właściwy nie tyle wynalazcom, co imitatorom. Za pół roku będziemy produkować te rakiety na pęczki. Rakiety są dziś najlepszym argumentem w przetargach dyplomatycznych, Bentall. Potrzebujemy *lebensraum* dla - jak to elegancko określa prasa światowa - nieprzebranych milionów naszych rodaków. Pustynię australijską można przekształcić w prawdziwy raj. Chcielibyśmy się tam przenieść w miarę spokojnie, na ile to możliwe.

Wytrzeszczyłem oczy. Ten facet kompletnie zszedł z umiarkowania.

- *Lebensraum*? Australia? Rany boskie, tyś chyba zwariował. Australia! Nigdy w życiu nie osiągniecie potencjału militarnego ZSRR czy USA.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czy sądzisz, że któreś z tych mocarstw będzie się biernie przyglądać, jak grasujecie po Pacyfiku? Tyś naprawdę zwariował!

- Nie będą się biernie przyglądać, i tu się z tobą zgadzam. Ale my się z nimi dogadamy. Załatwi nam to Mroczny Krzyżowiec. Do jego największych zalet należy fakt, że można go łatwo przenosić i że nie wymaga stałych wyrzutni. Przygotujemy kilkanaście statków – oczywiście nie naszych, skądże znowu, weźmiemy jednostki pływające pod banderą panamską, liberyjską albo Hondurasu - i każdy z nich wyposażymy w dwie, trzy rakiety. Trzydzieści parę pocisków wystarczy aż nadto. Rozlokujemy te statki na Bałtyku i koło Kamczatki u wybrzeży ZSRR oraz koło Alaski i u wschodnich wybrzeży USA. Statki u wybrzeży radzieckich wezmą na cel wyrzutnie rakiet dalekiego zasięgu na terytorium Stanów Zjednoczonych, a te wokół USA wycelują swe rakiety w takie same wyrzutnie na terytorium ZSRR. Po czym odpalimy je mniej więcej równocześnie. Bomby wodorowe spadają na Rosjan i Amerykanów. Ich systemy wczesnego ostrzegania wykażą, że bomby te zrzuciły rakiety wystrzelone z terytorium USA i ZSRR. Ewentualne wątpliwości Moskwy i Waszyngtonu rozwieją depesze radiowe, wysłane na pozór z obu stolic, wzywające drugą stronę do złożenia broni. I wtedy oba wielkie mocarstwa zniszczą się nawzajem. Dwadzieścia cztery godziny później nikt na świecie nie przeszkodzi nam w zrealizowaniu naszych planów. A może widzisz jakiś błąd w moim rozumowaniu?

- Tyś oszalał. - Nawet ja słyszałem, jak napięty i ochrypły jest mój głos. - Tyś całkiem zwariował!

- Gdybyśmy zamierzali postąpić dokładnie tak, jak to przedstawiłem, byłbym skłonny się z tobą zgodzić. Inna sprawa, że w ostateczności może się to i tak skończyć. Ale to by było ze wszech miar niewskazane. Pomijając fakt, że z powodu chmury radioaktywnej na półkuli północnej zrobiłoby się nieprzyjemnie, to przecież chcemy prowadzić wymianę handlową z tymi bogatymi i potężnymi krajami. Nie, nie, Bentall, aż nadto wystarczy nam sama groźba, świadomość, do czego może dojść.

Zaprosimy amerykańskich i radzieckich obserwatorów na przekonujący pokaz mocy, łatwości obsługi, celności oraz zasięgu Krzyżowca... którego pewnie przemianujemy - ciągnął LeClerc. - Później nastąpi przeciek informacji o strategicznym rozmieszczeniu naszych

statków i o naszym zamiarze wywołania wojny, w której oba mocarstwa zniszczą się wzajemnie. A potem przeniesiemy się do Australii.

Zwróć uwagę na niezwykle ciekawą i delikatną sytuację, jaka się wówczas wytworzy. Któreś z mocarstw może chcieć się do nas dobrać. Ale w takim wypadku na jego terytorium spadną bomby wodorowe. Powiedzmy, że zaatakowali nas Amerykanie. Bomby zniszczą ich wyrzutnie raketowe i lotniska floty szybkiego reagowania. Ale kto je wystrzelił? My, bo zwrócili się przeciwko nam, czy Rosjanie, którzy zwietrzyli szansę unicestwienia USA bez groźby odwetu z ich strony, skoro Amerykanie nie wiedzą, kto ich właściwie zaatakował? Zważ dalej, że bez względu na to, co pomyślą Amerykanie, i tak będą musieli zaatakować ZSRR wszystkimi siłami, bo a nuż to Rosjanie ich napadli, a nie my? W takim wypadku zwlekając z kontratakami ryzykowaliby, że USA zniknie z powierzchni ziemi. Z kolei gdybyśmy zbombardowali ZSRR, wytworzyłaby się dokładnie taka sama sytuacja, tylko w odwrotnym układzie. Innymi słowy, Bentall, wszystko sprowadza się do tego, że oba mocarstwa będą świadome, iż jakakolwiek akcja przeciwko nam może je wmanewrować w nuklearną zagładę, która zniszczy obie strony. Dlatego też nie tkną nas palcem, wręcz przeciwnie, dołożą wszelkich starań, użyją wszystkich wpływów, żeby inne kraje, na przykład Anglia czy Francja, nie zechciały nas ruszyć. Pytam się więc, czy w moim rozumowaniu widzisz jakiś błąd?

- Oszalałeś - powtórzyłem. - Jesteś kompletny, nieuleczalny wariat. - Były to jednak puste słowa, bez pokrycia. LeClerc nie wyglądał na wariata. Nie mówił jak wariat. Zwariowane wydawały się jego słowa, ale to tylko dlatego, że były niedorzeczne, bo niedorzeczny był ów gigantyczny, bezprecedensowy blef i szantaż oraz przerażająca groźba, która się za tym kryła. Tyle że blef, szantaż i groźby wcale jeszcze nie znaczą, że ktoś zwariował, a zatem nie oznaczają tego także i wtedy, gdy podniesie się je do entej potęgi. Może więc nie miałem do czynienia z wariatem?

- To się okaże, Bentall, to się okaże. - Słyszając, że ktoś wchodzi do bunkra, odwrócił się i szybko pogasił światła, zostawiając tylko małą żarówkę nad pulpitem.

W półmroku pojawiła się Marie w asyście Hewella. Ujrzała mnie stojącego tyłem do światła i z uśmiechem ruszyła w moją stronę, lecz zatrzymała się nagle, gdy LeClerc trzcinką zagroził jej drogę.

- Przepraszam, że panią tu ściągnąłem, pani Bentall. A może powinienem powiedzieć: panno Hopeman? Jak wiem, nie jest pani mężatką.

Marie spojrzała na niego tak, że powinien paść trupem na miejscu. Nie odpowiedziała.

- Nieśmiałość czy niechęć do współpracy? – zastanawiał się LeClerc. - Całkiem jak Bentall. On też nie chce z nami współpracować. Nie chce uzbroić Mrocznego Krzyżowca.

- To dobrze - odparła.

- Czy ja wiem? Może mu to nie wyjść na zdrowie. Chyba że pani go przekona, panno Hopeman.

- Nie.

- Nie? Więc może przekonamy go dzięki pani.

- Traci pan tylko czas - rzuciła z pogardą. – Zupełnie nas pan nie zna. My zresztą też się nie znamy. Ani on dla mnie nic nie znaczy, ani ja dla niego.

- Rozumiem. - Odwrócił się do mnie. - Buta i wyniosłość, zgodnie z najlepszymi tradycjami angielskiego kontrwywiadu. I co ty na to, Bentall?

- To samo, co panna Hopeman. Tracisz czas.

- Trudno. - Wzruszył ramionami. - Zabierz ją, Hewell. Marie uśmiechnęła się do mnie raz jeszcze, co dowodziło niezbitcie, iż w ciemności nie dostrzegła mojej zmasakrowanej twarzy, i wyszła dumnie wyprostowana. LeClerc ze zwieszoną głową dreptał tam i z powrotem, na pozór zatopiony w myślach. Wreszcie po jakimś czasie powiedział coś strażnikowi i wyszedł.

Dwie minuty później otworzyły się drzwi i zobaczyłem Marie. Hewell i LeClerc podtrzymywali ją z dwóch stron. Sama nie utrzymałaby się na nogach. Jej stopy wlokły się bezwładnie po podłodze. Z zamkniętymi oczami i opadającą na ramię głową, jęczała cichutko. Ale najbardziej przerażał fakt, że nie było po niej widać żadnych śladów przemocy.

Nie zważając na dwa karabiny i pistolet Hewella, próbowałem rzucić się na LeClerca, próbowałem go dopaść, by zmiażdżyć mu twarz, rozplatać, okaleczyć, by go zabić i zniszczyć, ale nawet tego nie potrafiłem zrobić jak należy. Któryś ze strażników podciął mi nogi karabinem i wyciągnąłem się jak długi na betonie. Zamroczony upadkiem, nie mogłem się podnieść o własnych siłach.

Strażnicy postawili mnie na nogi i czekali obok w pogotowiu. Hewell i LeClerc stali tam, gdzie przedtem. Marie zwiesiła głowę do przodu, tak nisko, że mogłem dojrzeć jej szyję. Już nie jęczała.

- Uzbrosisz Krzyżowca? - zapytał cicho LeClerc.

- Zabiję cię.

- Uzbrosisz Krzyżowca?

- Uzbroję. A potem cię zabiję.

Gdyby udało mi się spełnić tę obietnicę choćby w połowie, pomyślałem z goryczą, byłaby to nareszcie jakaś odmiana.

Piątek, 13.00 - 18.00

Powiedziałem LeClercowi, że uzbroję Krzyżowca w ciągu kwadransa. W rzeczywistości zajęło mi to równą godzinę. Jak zwykle, Bentall się pomylił, choć tym razem akurat nie z własnej winy.

Nie moja wina, że ból nie pozwalał mi się skoncentrować. Nie moja wina, że byłem zaślepiony gniewem, że wszystko latało mi przed oczami tak, że nie mogłem odcyfrować własnych notatek, że prawa ręka - lewą w ogóle się nie posługiwałem - drżała mi do tego stopnia, że to prawdziwy cud, iż udało mi się nastawić zegar, umieścić kable w odpowiednich rowkach i podłączyć zapalniki do cylindrów z paliwem. Nie moja wina, że w trakcie uzbrajania ładunku trotylu wypuściłem ze spoczonej dłoni zapalnik z piorunianem rtęci, który eksplodował z takim błyskiem i hukiem, że mało brakowało, a nadzorujący moje poczynania Hewell kropnąłby mnie z pistoletu.

I wreszcie nie moja wina, że LeClerc kazał mi pracować jednocześnie przy obu rakietach, a w dodatku ściągnął Hargreavesa i jeszcze jednego naukowca nazwiskiem Williams, którzy sprawdzali każdy mój ruch i zapisywali wszystko w notesach. Pracowałem na wąskiej platformie i cały czas wchodzili mi pod rękę.

Rozumiałem upór LeClerc'a, by prowadzić podwójne zapiski. Z pewnością ostrzegł on Hargreavesa i Williamsa, że jeśli zamienią ze sobą choćby słówko, dostaną kulkę w łeb, a to samo spotka ich żony, jeżeli notatki nie będą się pokrywać. Gdyby odpalenie pierwszej rakiety przebiegło pomyślnie, a niezależnie prowadzone notatki byłyby identyczne, to wówczas miałby gwarancję, że i druga rakietka została uzbrojona prawidłowo.

Dla mnie równoczesne uzbrajanie obu rakiet było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Gdyby LeClerc chciał mnie zabrać razem z innymi, nie kazałby mi się bawić z drugą rakieta, zwłaszcza że przecież czas naglił. Ostatnia depesza z *Neckara* mówiła o ewentualnym przełożeniu eksperymentu z powodu zbyt silnej fali. Inna sprawa, że nikt mi nie musiał o tym wyroku przypominać, od dawna zastanawiałem się, kiedy przyjdzie mi umrzeć. Zaraz po uzbrojeniu rakiet czy później, razem z kapitanem Griffithsem i jego ludźmi, kiedy już naukowcy wraz z żonami znajdą się na pokładzie? Sądziłem, że dopiero potem. Nawet LeClerc nie chciałby chyba urządzić jatki na oczach tyłu świadków. Ale nie postawiłbym na to złamanego grosza.

Dochodziła druga.

- Gdzie są klucze od skrzynki z obwodem destrukcyjnym? - zapytałem Hewella.

- Skończyliście już? - odpowiedział pytaniem. Ostatnim krokiem przed odpaleniem rakiet powinno być ustawienie przełączników w skrzynkach zamykających obwód paliwa i destrukcyjny, tyle że do tego ostatniego potrzebny był klucz otwierający blokadę na tyłach przełącznika.

- Niezupełnie. Zaciął się przełącznik obwodu destrukcyjnego. Chciałbym rzucić na niego okiem.

- Poczekaj, sprowadzę LeClerc'a. - Wyszedł, zostawiając nas pod strażą Chińczyka, a po chwili wrócił ze swym szefem.

- Długo to potrwa? - spytał LeClerc niecierpliwie.

- Dwie minuty. Masz klucz?

Dał znak, żeby opuścić windę, kazał naukowcom wynosić się razem z ich notesami i stanął obok mnie. Kiedy podjechalismy znów w górę, zapytał podejrzliwie:

- Co się stało? Chcesz się porwać na jakiś desperacki krok?

- Sam zobacz - warknąłem. - Ten przełącznik ani drgnie.

- Bez klucza można go przesunąć tylko o pół obrotu - odparł gniewnie.

- Wcale się nie przesuwaj. Sprawdź sam.

Sprawdził. Przesunął gałkę przełącznika o ćwierć cala, skinął głową i dał mi klucz. Otworzyłem zamek, usunąłem nakrętki motylkowe i zdjąłem wieko skrzynki, niepostrzeżenie wydłubując przy tym kawałek miedzianego rdzenia kabla, którym zablokowałem wcześniej gałkę.

Był to najprostszy przełącznik, jaki sobie można wyobrazić. Po przesunięciu umocowanej na sprężynie gałki w prawo, dwie miedziane końcówki przeskakiwały ze ślepych zacisków na zaciski po lewej stronie skrzynki, włączając obwód. Tak szybko, jak pozwalała mi na to rozedrgana ręka i zamglony wzrok, odkręciłem gałkę, wyciągnąłem przełącznik i udałem, że prostuję miedziane końcówki, po czym włożyłem wszystko z powrotem.

- Kiepsko pomyślane - stwierdziłem zwięźle. - W drugiej rakiemie pewnie jest to samo. - LeClerc bez słowa skinął głową, bacznie obserwując, jak zakładałem wieko skrzynki. Przesunąłem gałkę w tę i z powrotem kilka razy, żeby się przekonał, jak lekko teraz chodzi.

- Czy to już wszystko? - zapytał.

- Nie całkiem. Muszę jeszcze nastawić zegar w drugiej rakiemie.

- To może poczekać. Najpierw musimy wystrzelić tę, i to szybko. - Przeniósł wzrok na Farleya, który ze swym asystentem manewrował przy układach samosterowania i naprowadzania na cel. - Co on tam jeszcze robi, do cholery?

- Nic - odparłem. Farley i ja tworzyliśmy dobraną parę. Obaj mieliśmy na lewych policzkach ciemnoczerwone pręgi. Jego twarz, we wszystkich kolorach tęczy, wyglądała wprawdzie jeszcze gorzej niż moja, ale to tylko dlatego, że miała więcej czasu, by dojrzeć. Dajcie mi dwadzieścia cztery godziny, a nikt nie zauważy między nami najmniejszej różnicy. Dwadzieścia cztery godziny. Ciekawe, kto mi da dwadzieścia cztery godziny. - On już dawno zrobił, co do niego należało. Po prostu to jeden z tych, co to wiecznie się martwią, że przed wyjściem z domu nie wyłączyli żelazka. - Gdybym tak pchnął LeClerc'a dostatecznie mocno, to może by zleciał dziesięć stóp w dół i skrzył kark na betonowej podłodze, pomyślałem sobie. Z drugiej strony mógł wyjść z tego cało, a wtedy nie zostałyby mi nawet dwadzieścia cztery sekundy życia, nie mówiąc już o dwudziestu czterech godzinach. Poza tym Hewell cały czas celował we mnie ze swej armaty.

- Dobrze. A więc jesteśmy gotowi. - LeClerc wsunął klucz w zamek przełącznika, przesunął gałkę na prawo, wyciągnął klucz, po czym innym kluczem zamknął drzwi rakiety. Gdy zjechaliśmy na dół, przywołał jednego ze strażników. - Powiedz telegraficznie, żeby wysłał depeszę. Start za dwadzieścia minut.

- A teraz dokąd, LeClerc? - zapytałem. - Wracamy do bunkra?

Przyjrzał mi się zimno.

- Żebyś mógł stamtąd bezpiecznie obserwować, jak rakieta rozlatuje się, bo wyciąłeś nam jakiś numer?

- O czym ty gadasz?

- O tobie, Bentall, o tobie. Nie mam złudzeń, lepiej się ciebie wystrzegać. Jesteś niebezpieczny. - Jasne, że byłem niebezpieczny, ale tylko dla siebie i przyjaciół. - Potrafiłbyś uszkodzić raketę tak, że nikt by się nie zorientował. Chyba nie jesteś na tyle naiwny, by sądzić, że przegapię taką możliwość? Podczas startu rakiety ty, naukowcy i marynarze zostaniecie na otwartym terenie. Już ich tam zebrałem. Tylko my schronimy się w bunkrze.

Obrzuciłem go stekiem wyzwisk. Uśmiechnął się.

- A więc nie pomyślałeś o tym, że podejmę środki ostrożności?

- Zostawisz tych ludzi na otwartym terenie, morderco? Nie możesz tego zrobić!

- Naprawdę? - Nie spuszczał ze mnie ciemnoszarych, mleczyńskich oczu. - A może jednak coś uszkodziłeś, Bentall?

- Gówna prawda! - ryknąłem na niego. - Po prostu paliwo jest niestabilne. Przeczytaj notatki Fairfielda, a sam się przekonasz. Nikt nie wie, co się może wydarzyć. Tego paliwa

nigdy nie testowano na taką skalę. Niech cię diabli, LeClerc, jeżeli to draństwo wybuchnie, to nikt w promieniu mili nie ma prawa przeżyć.

- Zgadza się - przytaknął z uśmiechem. Uświadomiłem sobie jednak, że wcale mu nie jest do śmiechu. Ręce schował wprawdzie do kieszeni, ale widziałem, że dłonie zacisnął w pięści. W kąciu ust pojawił mu się nerwowy tik, w dodatku pocił się bardziej niż dotychczas. LeClerc znalazł się w krytycznym momencie, w momencie, gdy wszystko mógł wygrać lub przegrać. Nie wiedział, jak dalece potrafię być bezwzględny, podejrzewał jednak, że nie cofnę się przed niczym, że poświęcę życie niewinnych ludzi, byleby go powstrzymać, ostatecznie już raz mu powiedziałem, że może wystrzelać wszystkich marynarzy i oficerów. Może liczył trochę na to, że nie poświęcę własnego życia, ale też słaba to była nadzieja, zdawał sobie sprawę, iż wiem, że tak czy inaczej umrę. Wszystkie jego plany, jego nadzieje i obawy zależały od najbliższych minut. Czy Mroczny Krzyżowiec wystartuje, czy też rozleci się w drobny mak, a wraz z nim jego sny i marzenia? Tego nie mógł przewidzieć. Musiał zaryzykować, nie pozostawało mu nic innego jak tylko hazard. Ale licząc się z możliwością przegranej, chciał być pewien jednego: że ominie mnie satysfakcja ze zwycięstwa.

Wyszliśmy za róg hangaru. Sto jardów przed nami siedzieli na ziemi wszyscy marynarze i naukowcy z bazy. Ale tylko mężczyźni, kobiet nie zauważyłem. Pilnowali ich dwaj Chińczycy z gotowymi do strzału karabinami.

- A jak się zapatrują strażnicy na taką perspektywę, że będą musieli sterczeć w chwili odpalenia rakiety? - zapytałem.

- Oni schowają się z nami.

- I ty naprawdę wierzysz, że będziemy tu siedzieli jak grzeczni chłopcy, jeżeli strażnicy odejdą?

- Oczywiście - odparł obojętnie. - W bunkrze mam siedem kobiet. Zginą, jeśli któryś z was się stąd ruszy. Ja nie żartuję.

Ostatnie słowa mógł sobie darować, nikt by go nie posądził o żarty.

- Siedem kobiet? - powiedziałem. - A gdzie jest panna Hopeman?

- W magazynie broni.

Nie pytałem, dlaczego ją tam zostawili, znałem gorzką odpowiedź na to pytanie: prawdopodobnie nadal nie odzyskała przytomności albo nie można jej było przenieść w takim stanie. Nie prosiłem LeClerca, żeby ją zabrał do bunkra - w wypadku eksplozji Krzyżowca miałyby nie większe szansę niż my, skład broni dzieliło od hangaru niecałe sto jardów, ale z dwójga złego lepsze to, niż gdyby miała zostać z LeClerkiem.

Przysiadłem się do zgromadzonych w dwuszeregu mężczyzn, obok Farleya. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, wszyscy patrzyli na drzwi hangaru, czekając na Mrocznego Krzyżowca.

Nie czekali długo. Trzydzieści sekund po odejściu LeClerca i Hewella Mroczny Krzyżowiec, uwięziony między dwiema wielkimi kratownicami, wyjechał powoli na zewnątrz. Dwaj technicy sterowali jazdą całej konstrukcji, której sztywność zapewniały żelazne sztaby łączące wózki kratownic z wózkiem rakiety. Pół minuty później Krzyżowiec zatrzymał się dokładnie na środku betonowej płyty. Obaj technicy zeskoczyli na ziemię, usunęli sztaby łączące trzy wózki i na znak chińskiego strażnika podeszli do nas. Od tej pory wszystkie etapy operacji miały być zdalnie sterowane przez radio. Strażnicy zostawili nas i pognali do bunkra.

- No proszę, trafiły nam się miejsca na trybunie honorowej - parsknął Farley. - Cholerny morderca.

- A gdzież to się podział pański duch naukowca? - zażartowałem. - Nie chce się pan przekonać, czy to draństwo w ogóle działa?

Zmierzył mnie tylko wzrokiem i odwrócił głowę. Po chwili oświadczył z naciskiem:

- Zespoły przygotowane przeze mnie na pewno działają. O to jestem spokojny, ale inne...

- Jakby co, proszę nie mieć do mnie pretensji - rzekłem. - Ja tu tylko robię za elektryka.
- Przedyskutujemy to ewentualnie tam na gorze – odparł z wisielczym humorem. - Jak pan ocenia szansę?

- Doktor Fairfield uważał, że powinno działać. Mnie to nie wystarcza. Mam tylko nadzieję, że nie poplątał pan jakichś przewodów i że cały ten interes nie zleci nam na łeb.

- Nie zleci. - Podobnie jak wszyscy dookoła, wyraźnie nabrał ochoty do rozmowy, gdy ustąpiło napięcie spowodowane milczącym oczekiwaniem. - Sprawdzaliśmy to wielokrotnie i nigdy nie mieliśmy awarii. Nasz ostatni system naprowadzania pracujący w podczerwieni jest niezawodny. Ustawia się na gwiazdę i tak zostaje.

- Nie widzę żadnych gwiazd. Jest biały dzień.

- Pan nie widzi, ale ten układ owszem - wyjaśnił Farley cierpliwie. - Wykrywa źródła ciepła. Jeszcze trochę i sam pan zobaczy, Bentall. Trafi w cel oddalony o tysiąc mil co do jarda. Mówię panu, co do jarda.

- Tak? A w jaki sposób wyznacza się jard na środku Pacyfiku?

- No, ściślej mówiąc osiem stóp na sześć – przyznał wielkodusznie. - Tratwa magnezowa. Kiedy rakieta z powrotem wleci w warstwy atmosfery, układ sterowania gwiazdowego wyłączy się, a jego funkcję przejmie układ samosterujący w kapturze. Rakieta będzie się kierować na źródło ciepła. Statek, a zwłaszcza jego komin, również jest źródłem ciepła, dlatego też dziewięćdziesiąt sekund przed przylotem rakiety z *Neckara* wyślą sygnał radiowy zapalający tratwę magnezową. Rakieta skieruje się na większe źródło ciepła.

- Mam nadzieję. A jeśli się spóźnią o dziewięćdziesiąt sekund z zapaleniem tratwy?

- Nie spóźnią się. Zaraz po starcie rakiety wyślemy im sygnał radiowy... oczywiście jeżeli w ogóle wystartuje. Krzyżowiec potrzebuje na przelot dokładnie trzy i pół minuty, więc zapalą tratwę równo dwie minuty po otrzymaniu sygnału.

Nie słuchałem go. LeClerc, Hewell i ostatni strażnicy zniknęli już po drugiej stronie bunkra. Spojrzałem ponad błyszczącym piaskiem na zielone, gładkie jak stół wody laguny i zeszywniałem na widok statku, przemykającego się pośród raf w odległości około czterech mil. Moja radość nie trwała długo, żaden błędny rycerz nie spieszył nam na ratunek - to nieustraszony nawigator, kapitan Fleck, płynął po swoją zapłatę. Hargreaves wspominał, że spodziewają się go po południu. Pomyślałem o kapitanie Flecku i doszedłem do wniosku, że na jego miejscu skierowałbym się dokładnie w przeciwnym kierunku, byle dalej od LeClerca. On jednak nie wiedział tego, co ja, a w każdym razie tak mi się wydawało. Czeka tu pana niemiła niespodzianka, kapitanie Fleck, pomyślałem w duchu.

Odwrociłem się, słysząc turkot kół. Dwie wielkie kratownice, sterowane przez radio, rozjeżdżały się powoli w przeciwnych kierunkach. Ich górne łapy puściły rakiety, którą podtrzymywały już tylko dwie wysuwane łapy na samym dole. Do startu zostało dziesięć sekund, może nawet mniej. Nikt nie rozmawiał, mało kto potrafił prowadzić konwersację ze świadomością, że za osiem sekund może już nie żyć.

Nagle ożyły wielkie, szybkoobrotowe turbiny pod kapturem rakiety. Dwie sekundy, sekunda. Wszyscy zamarli, ze zmrużonymi oczami szykując się na druzgocący wstrząs, którego i tak by nie poczuli. Rozsunęły się dolne łapy, rozległ się pojedynczy grzmot i u podstawy Krzyżowca wystrzeliła wielka, ognista kula; kotłujące się pomarańczowe płomienie całkowicie zakryły wózek rakiety. Powoli, niezmiernie powoli Krzyżowiec oderwał się od ziemi, ciągnąc za sobą kulisty pomarańczowy ogon. Echo grzmotu zastąpił jednostajny, przenikliwy huk, aż dziw, że nie popękały nam bębniaki, natężenie dźwięku przypominało spotęgowany ryk silników odrzutowca. W tej samej chwili ognistą kulę u podstawy rakiety przeciął jaskrawoczerwony jęzor płomieni i Mroczny Krzyżowiec wystartował. Wznosił się powoli, niewiarygodnie powoli, wydawało się, że w każdej chwili może spaść na ziemię. Dopiero na wysokości stu pięćdziesięciu stóp nastąpiła kolejna eksplozja, oznaczająca odpalenie drugiego zestawu cylindrów z paliwem, i rakieta podwoiła szybkość. Na wysokości

około sześciuset stóp nastąpił trzeci wybuch i Krzyżowiec nabral niewiarygodnego przyspieszenia. Osiągnąwszy pułap pięciu, sześciu tysięcy stóp skreślił gwałtownie i skierował się na południowy wschód, niemal równoległe do powierzchni morza. Osiem sekund później straciliśmy go z oczu, a jedynym śladem świadczącym o jego istnieniu był cierpki swąd spalonego paliwa, osmalony wózek i biała smuga na błękitnym niebie.

Ból w piersiach przypominał mi, że powinienem znów zacząć oddychać.

- Działa, do kata! - wrzasnął Farley triumfalnie, uderzając pięścią w otwartą dłoń. Odetchnął głęboko, z satysfakcją; dłużej niż ja obywał się bez powietrza. - Działa. Bentall, to działa!

- Oczywiście. A czego się pan spodziewał? - Wstałem sztywno, wycierając w spodnie zlane potem ręce. Podeszedłem do kapitana Griffithsa, który siedział w otoczeniu pozostałych oficerów. - Podobało się panu przedstawienie, kapitanie?

Zmierzył mnie zimnym wzrokiem, nie starając się ukryć niechęci i pogardy. Zerknął na mój lewy policzek.

- LeClerc znowu popisywał się trzcinką? - zapytał.

- Co robić, taki już ma nawyk.

- I dlatego poszedł pan na kolaborację. - Spojrzał na mnie z takim entuzjazmem, jak koneser malarstwa, któremu zamiast obiecanego Cezanne'a przysłano pocztówkę z wakacji. - Nie spodziewałem się tego po panu, Bentall.

- Jasne, poszedłem na kolaborację. Brak kręgosłupa moralnego i tak dalej. Ale z sądem wojennym możemy poczekać, kapitanie. - Usiadłem, zdjąłem but i skarpetkę, wyciągnąłem kartkę papieru z folii, wygładziłem ją na zgięciach i podałem Griffithsowi. - Mówi to panu coś? Tylko szybko. Znalazłem to w gabinecie LeClerc'a i jestem pewien, że ma to jakiś związek z jego planami dotyczącymi drugiej rakiety. Ale nie wyznaję się na takich rzeczach.

Niechętnie wziął ode mnie kartkę.

- „Pelican” to statek, wiem o tym, bo LeClerc sam nam to powiedział. Przypuszczam, że pozostałe nazwy to również statki - dorzuciłem.

- „Pelican-Takishamaru 20007815” - przeczytał Griffiths na głos. - „Takishamaru” to z całą pewnością japoński statek. „Linkiang-Hawetta 10346925”. Wszystkie te nazwy odnoszą się chyba do statków. Zawsze występują w parach. Ciekawe dlaczego? I te liczby, za każdym razem ośmiocyfrowe. - Wyraźnie się zainteresował. - Czyżby chodziło o czas? 2000 mogłoby oznaczać dwudziestą zero zero, żadna z pierwszych dwóch cyfr nie daje liczby większej niż dwadzieścia cztery. Ale następne są większe. Do czego to się odnosi? Do statków? Co by to mogło... - zawiesił głos. Widziałem, jak porusza ustami bezdźwięcznie, po czym odezwał się powoli: - Chyba mam. Nie, nie chyba, a z całą pewnością. 2000 oznacza dwadzieścia zero zero. Szerokość południowa dwadzieścia. 7815 to siedemdziesiąt osiem stopni piętnaście minut długości wschodniej. Te współrzędne zbiegają się w punkcie oddalonym stąd o niecałe pięćdziesiąt mil na zachód.

Blisko minutę w milczeniu oglądał kartkę, a ja tymczasem zerkałem przez ramię, czy nie nadchodzi przypadkiem LeClerc. Nie zauważyłem nikogo, prawdopodobnie czekał na potwierdzenie z *Neckara*, że próba zakończyła się pomyślnie.

- Wszystko to są współrzędne geograficzne - oświadczył w końcu Griffiths. - Bez mapy trudno o całkowitą pewność, ale nie pomyślę się chyba, jeśli powiem, że połączenie tych współrzędnych daje linię biegnącą stąd łukiem na północny wschód, aż do wybrzeży Chin lub Tajwanu. Przypuszczam, że te statki - a raczej pary statków - znajdują się w tych właśnie punktach. Przypuszczam też, że mają eskortować statek wiozący rakietę albo patrolować okolicę i sprawdzać, czy droga wolna. Zakładam, że LeClerc postara się, żeby nikt przedwcześnie nie dowiedział się o kradzieży.

- Myśli pan, że te statki są uzbrojone? - spytałem powoli.

- Mało prawdopodobne. - Inteligentny był ten stary wyjadacz, umysł miał równie cięty jak język. - Na statku nie da się ukryć broni, która mogłaby się przydać na wypadek spotkania z okrętem patrolowym.

- Ale mogą mieć radary, przeszukujące okolicę w promieniu pięćdziesięciu czy stu mil?

- Mogą i pewnie mają.

- A nie sądzi pan, że statek, na który załadują rakietę, dysponuje własnym radarem?

Kapitan Griffiths oddał mi kartkę.

- Nie - odparł stanowczo. - LeClerc to ten typ człowieka, który zawsze dopina swego, bo podejmuje środki ostrożności zakrawające niemal na przesadę. Ale tylko niemal. Nic panu z tej kartki nie przyjdzie, nawet gdyby mógł pan wykorzystać zawarte w niej informacje. Te statki z pewnością mają eskortować statek z rakieta i przekazywać go co jakiś czas pod opiekę następnej pary. A to dlatego, że dwa statki płynące przez kilka dni w tym samym kierunku i w tej samej odległości od siebie mogłyby wzbudzić podejrzenie.

- Ale... chwileczkę, kapitanie, mózg mi się chyba roztopił. - Nie żartowałem, słońce prażyło wściekle, a w dodatku fakt, że nie opatrzone mi ran od czasu potyczki w bunkrze, nie wpływał najlepiej na stan mego umysłu. - No dobrze, ale co się stanie, jeżeli na scenie pojawi się jakiś okręt czy samolot wojskowy? Radarem się go nie zestrzeli. Co wtedy zrobi statek transportujący rakietę?

- Zanurzy się - odparł lakonicznie. - To będzie łódź podwodna, co do tego nie ma wątpliwości. Każda współczesna łódź podwodna pomieści Krzyżowca w przedziale torpedowym na dziobie, wystarczy tylko powiększyć luk. Dzięki eskorcie ta łódź będzie płynąć po powierzchni, z maksymalną szybkością, a w razie czego zejdzie pod wodę i zwolni. Ale prędzej czy później dopłynie do celu. Na Pacyfiku setka okrętów wyposażonych w Asdic może pływać przez okrągły rok, a i tak nie wykryje samotnej łodzi podwodnej. Niech pan przyjmie za pewnik, Bentall, że jeżeli Krzyżowiec opuści tę wyspę, to nigdy go już nie ujrzymy.

- Bardzo panu dziękuję, kapitanie. - Trudno, trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy. Wstałem z wysiłkiem, niczym wiekowy starzec dźwigający się po raz ostatni z łoża śmierci, podarłem kartkę na strzępy i rzuciłem ją na rzadką, spaloną przez słońce trawę. Spojrzałem w stronę bunkra - kilka osób właśnie wychodziło zza rogu. Na morzu Fleck przedarł się już przez pierścień rafy koralowej. - Jeszcze jedno, kapitanie - poprosiłem. - Kiedy wróci LeClerc, niech go pan namówi, żeby pozwolił panu i pańskim ludziom zostać do wieczora na dworze, a nie piec się w tych blaszanych piekarnikach. Niedługo zaczną chyba pakować rakietę - wskazałem na dwie stalowe obudowy o długości dwudziestu stóp, leżące przed hangarem - więc może mu pan powiedzieć, że dzięki temu zyska kilku ludzi więcej do pomocy, bo na dworze jeden strażnik wystarczy w zupełności. Niech mu pan da słowo, że nie będzie żadnych kłopotów. Jeżeli próba się powiodła, to powinien być w dobrym humorze i spełnić pańską prośbę.

- Dlaczego panu na tym zależy, Bentall? - W jego głosie odżyła niechęć.

- Nie chcę, żeby LeClerc zobaczył, że z panem rozmawiam. Jeśli panu życie miłe, niech pan robi, co mówię. - Odszedłem powoli w stronę płyty startowej, by obejrzeć spowodowane przez raketę zniszczenia. Dwie minuty później kątem oka ujrzałem, jak LeClerc rozmawia z Griffithsem, a później w towarzystwie Hewella kieruje się w moją stronę. Wyglądał nieomal jowialnie, tak jak człowiek, który widzi, że oto spełniają się jego najskrytsze marzenia.

- Więc jednak nic nie zmałostowałeś, Bentall. - Najwyraźniej nie chciał mnie wprawiać w zakłopotanie podziękowaniami za dobrze wykonaną pracę.

- Jak widać. - Czekaj, bracie, pomyślałem, żebyś ty wiedział, co ja ci zmałostuję przy następnej rakiecie. - Jak poszło?

- Znakomicie. Trafiała w cel idealnie... z odległości tysiąca mil! No, ale dość tego, Bentall, wracaj dokończyć drugą raketę.

- Najpierw chcę się zobaczyć z panną Hopeman.
Jego jowialność nagle się ulotniła.

- Powiedziałem: dokończ rakieta. Ja nie żartuję, Bentall.

- Najpierw chcę się zobaczyć z panną Hopeman. Tylko pięć minut, obiecuję. A jak nie, to sam sobie uzbuduj swoją cholerną rakieta. Ciekawe, ile ci to zajmie.

- Po co chcesz się z nią zobaczyć?

- Nie twój interes.

Spojrzał na Hewella, który ledwie dostrzegalnie skinął głową.

- Zgoda. Ale tylko pięć minut. Ani chwili dłużej. Rozumiesz? - Dał strażnikowi klucz i odprawił nas ruchem ręki.

Strażnik wpuścił mnie do magazynu broni. Zamknąłem za sobą drzwi, nie przejmując się, że poczyta to sobie za afront.

Zaciągnięte żaluzje sprawiały, że w pokoju było prawie całkiem ciemno. Marie leżała na tym samym łóżku, na którym spałem tam rano. Podszedłem do niej i ukląknęłem.

- Marie - szepnąłem. Delikatnie potrząsnąłem ją za ramię. - Marie, to ja, Johnny.

Widocznie spała głęboko, bo długo nie mogłem jej obudzić. W końcu drgnęła i odwróciła się pod kocem. W ciemności widziałem tylko jej bladą twarz i błyszczące oczy.

- Kto... kto to?

- To ja, Marie... Johnny.

Nie odpowiedziała, więc jeszcze raz się przedstawiłem, usta i szczęki miałem tak zmaltretowane, że chyba nie rozumiała mojego bełkotu.

- Jestem zmęczona - powiedziała cicho. - Taka jestem zmęczona. Zostaw mnie, proszę.

- Marie, tak mi strasznie przykro. Najchętniej bym się zastrzelił. Myślałem, że oni tylko blefują, wierz mi, naprawdę tak myślałem. - Milczała, więc mówiłem dalej:

- Co oni ci zrobili? Na miłość boską, Marie, powiedz mi, co ci zrobili?

Mruknęła coś, czego nie dosłyszałem, po czym odparła cicho:

- Nic mi nie jest. Proszę cię, odejdz.

- Marie! Spójrz na mnie!

Nie zareagowała.

- Marie. Spójrz na mnie. Johnny Bentall na klęczkach. - Spróbowałem się roześmiać, lecz wydobyłem z siebie tylko ochryple rechot żaby cierpiącej na chroniczny bronchit. - Kocham cię, Marie. To dlatego uzbudowałem im tę cholerną rakieta, dlatego uzbudowałbym choćby tysiąc, zrobiłbym wszystko, wszystko co dobre i co złe na tym świecie, byleby nikt cię już nigdy nie skrzywdził. Kocham cię, Marie. Długo trwało, zanim to zrozumiałem, ale chyba już wiesz, czego się można spodziewać po takim durniu jak ja. Kocham cię i jeżeli uda nam się wyjść z tego cało, chciałbym się z tobą ożenić. Marie, wyjdiesz za mnie? Po powrocie do domu?

Zapadła długa cisza.

- Wyjść za ciebie? - szepnęła w końcu. - Po tym, jak pozwoliłeś, żeby mnie... proszę cię, Johnny, zostaw mnie. Odejdz. Wyjdę za kogoś, kto mnie kocha, a nie... - przerwała i dokończyła ochryple.: - Idź już. Proszę.

Wstałem, podszedłem do drzwi i wpuściłem do pokoju nieco światła. Promień zachodzącego słońca padł na łóżko, na jasne, błyszczące włosy, rozrzucone po zwiniętym płaszczu, który służył jej za poduszkę, na wielkie piwne oczy i bladą wymizerowaną twarz. Patrzyłem na nią, patrzyłem długo, aż wreszcie nie mogłem znieść tego widoku. Nigdy już nie urońię łzy nad męczennikami pędzonymi na stos, taka śmierć była zbyt lekka. Patrzyłem na jedyną osobę, którą kiedykolwiek kochałem. Odwracając się - Bentall, twarzą do szpiku kości, nie pozwolił przecieżyć, żeby jego dziewczyna widziała, jak płacze - usłyszałem jej przerażony szept:

- O mój Boże! Twoja twarz!

- Drobiazg - odparłem. - Już niedługo przestanie mi być potrzebna. Przykro mi, Marie, nawet nie wiesz, jak strasznie mi przykro.

Zamknąłem za sobą drzwi. Strażnik zaprowadził mnie wprost do hangaru i dobrze się chyba stało, że nie spotkaliśmy po drodze LeClerca. Hewell już na mnie czekał, a z nim Hargreaves i Williams. Obaj trzymali nieodłączne notesy. Bez słowa wsiałem do windy, tamci dwaj poszli w moje ślady i zabraliśmy się do roboty.

Najpierw otworzyłem skrzynkę przyspawaną od środka do zewnętrznej ściany rakiety i nastawiłem zegar, a potem sprawdzając, czy obwód destrukcyjny jest wyłączony, rzuciłem okiem na drugą przerwę w tym obwodzie - umieszczony tuż nad zegarem przerywnik elektromagnetyczny, normalnie uruchamiany w chwili przepływu prądu przez cewkę. Szarpnąłem za przytrzymałą go sprężynę - na mój gust powinien opaść pod ciężarem około półtora funta. Nie zamykając skrzynki, zająłem się przełącznikiem obwodu destrukcyjnego. Udając, że sprawdzam gałkę, zablokowałem ją kawałkiem drutu tak samo, jak w pierwszej rakiecie.

- Masz klucz do tej skrzynki? - zawołałem do Hewella. - Gałka się zacięła.

Niepotrzebnie fatygowałem się z drutem.

- Mam - odparł. - Szef mówił, że mogą być z tym kłopoty. Trzymaj.

Zdjąłem wieko, odkręciłem przełącznik, udałem, że coś naprawiam i złożyłem wszystko z powrotem. Przedtem jednak odwróciłem przełącznik o sto osiemdziesiąt stopni, tak że mosiężne końcówki znalazły się w odwrotnej pozycji. W porównaniu z moimi rękami przełącznik był tak mały, że ani Hargreaves, ani Williams nie widzieli, co robię. Nie mieli zresztą powodu do podejrzeń, sądzili, że postępuję dokładnie tak, jak przy pierwszej rakiecie. Zamknąłem skrzynkę i ustawiłem gałkę w pozycji zabezpieczającej obwód przed włączeniem. Tyle że teraz oznaczało to uzbrojenie obwodu destrukcyjnego, a nie zabezpieczenie. Aby go uruchomić, należało już tylko włączyć przerywacz elektromagnetyczny. Normalnie służył do tego przycisk ENSAD na pulpicie sterowniczym, ale można też było to zrobić ręcznie...

Odwróciłem się do Hewella.

- W porządku, zwracam klucz.

- Nie tak prędko - warknął. Dał znak, żeby zjechać po niego, kazał się zawieźć na górę i wziął ode mnie klucz. Sprawdził gałkę przełącznika, upewnił się, że nie sposób jej przestawić, i pokiwał głową. - Długo jeszcze? - zapytał chowając klucz do kieszeni.

- Pięć minut. Już kończę.

Winda zjechała na dół i Hewell wysiadł. Kiedy wracaliśmy na górę, mruknąłem cicho do Hargreavesa i Williamsa: - Nic nie piszcie. - Szum silnika zagłuszył moje słowa, a ponieważ spuchnięte wargi i tak uniemożliwiały mi poruszanie ustami, Hewell niczego nie zauważył.

Oparłem się o wewnętrzną stronę drzwi, chowając w dłoni sznurek od żaluzji. Przywiązanie go do przerywnika powinno mi zająć góra dziesięć sekund, lecz bawiłem się z tym blisko dwie minuty. W końcu wyprostowałem się i zamykając drzwi lewą ręką, przepuszczałem sznurek między palcami prawej. Gdy drzwi dzieliły od ściany rakiety już tylko cztery cale, zajrzałem do środka. Hewell odniósł chyba wrażenie, że trzymam ręce po obu stronach drzwi, by zmniejszyć opór klamki. W równe trzy sekundy prawą ręką przywiązałem drugi koniec sznurka do wewnętrznej klamki, po czym zamknąłem drzwi na klucz i fajrant.

Ten, kto pierwszy uchylił te drzwi więcej niż o cztery cale i z siłą większą niż półtora funta, włączy obwód destrukcyjny i wysadzi raketę. A jeśli, jak podejrzewał Fairfield, wybuch trotylu spowoduje eksplozję paliwa, to w promieniu pół mili nie zostanie kamień na kamieniu. Tak czy inaczej, miałem nadzieję, że tym pierwszym będzie LeClerc.

Wygramoliłem się z windy. Przez otwarte drzwi hangaru ujrzałem naukowców i kilku marynarzy siedzących albo leżących na brzegu. Pięćdziesiąt jardów dalej przechadzał się strażnik.

- Pozwalacie skazańcom spędzić ich ostatnie godziny na słońcu? - spytałem Hewella.

- Ehe. Wszystko gotowe?

- Zapięte na ostatni guzik. - Ruchem głowy wskazałem ludzi na brzegu. - Mogę do nich dołączyć? Też bym chętnie odetchnął świeżym powietrzem i wygrzał się na słońcu.

- Nie będziesz próbował żadnych sztuczek?

- A co tu można próbować? - odparłem ze znużeniem. - Czy w takim stanie mógłbym cokolwiek zdziałać?

- Bóg świadkiem, że niewiele - przyznał. - Możesz iść. A wy - zwrócił się do Hargreavesa i Williama - pójdziecie teraz do szefa, chce porównać wasze notatki.

Ruszyłem na brzeg. Kilku Chińczyków przenosiło metalową obudowę rakiety na dwa wózki. Pomagało im kilkunastu marynarzy, zmuszonych do tego groźbą użycia broni. Fleck cumował właśnie przy moło; jego szkuner wydawał mi się jeszcze brudniejszy niż wtedy, kiedy go ostatnio widziałem. Kapitan Griffiths siedział na piasku, z dala od pozostałych. Położyłem się sześć stóp od niego, kładąc głowę na zgiętej prawej ręce. Czułem się okropnie.

Griffiths odezwał się pierwszy.

- Co słyhać, Bentall, przypuszczam, że właśnie uzbroił im pan drugą rakietę? - Przemawiając takim tonem, nie zjednałby sobie przyjaciół.

- Zgadza się, kapitanie. I zmajstrowałem taką pułapkę, że po otwarciu drzwi Krzyżowca nic z niego nie zostanie. Właśnie dlatego tak się starałem przy pierwszej rakiecie, ta już jest ostatnia. Nie mówiąc o tym, że zamierzali zastrzelić pana i wszystkich marynarzy, a także wziąć pannę Hopeman na tortury. Jej nie udało mi się uratować.

Zapadła cisza. Już myślałem, że nie zrozumiał mojego bełkotu, gdy nagle odezwał się spokojnie:

- Cholernie przepraszam, mój chłopcze. Nigdy sobie tego nie daruję.

- Proszę postawić kilku pańskich ludzi na straży - rzekłem. - Niech nas ostrzegą, w razie gdyby nadchodził LeClerc, Hewell albo któryś ze strażników. A potem niech pan tam siądzie i patrzy na morze. Proszę jak najmniej mówić. Ja w tej pozycji mogę mówić bezpiecznie, nikt nic nie zauważy.

Pięć minut później zdałem mu relację z tego, czego się dowiedziałem od LeClerca na temat dalszych planów związanych z produkcją Krzyżowca. Kiedy skończyłem, milczał przez dobrą minutę.

- I co pan na to? - spytałem.

- Absurd - mruknął. - To nie do wiary!

- Prawda? Absurd. Ale czy jest to możliwe do przeprowadzenia?

- Jest - przyznał z westchnieniem. - Dobry Boże, to jest całkiem możliwe!

- Tak myślałem. A zatem uważa pan, że mój sabotaż jest... no, usprawiedliwiony?

- Co pan ma na myśli, Bentall?

- Kiedy dotrą z Krzyżowcem na miejsce przeznaczenia, to nie zabiorą go na żaden poligon, zawiozą go do fabryki, prawdopodobnie w jakimś gęsto zaludnionym okręgu przemysłowym, gdzie będą go mogli rozłożyć na czynniki pierwsze i przebadać. Jeżeli wybuch trotylu zdetonuje paliwo... wolę nie myśleć o tym, ile setek czy tysięcy niewinnych ludzi poniesie śmierć.

- Ja natomiast wolę nie myśleć, ile milionów ofiar pociągnie za sobą wojna atomowa - odparł Griffiths spokojnie. - Nie ma co szukać usprawiedliwienia, to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Pozostaje jedynie kwestia, czy nie wyczerpią się baterie zasilające obwód destrukcyjny?

- To baterie niklowo-kadmowe. Wystarczą na sześć miesięcy, może nawet na rok. Kapitanie Griffiths, nie mówię tego wszystkiego tylko po to, żeby naświetlić panu obraz sytuacji, ani dlatego, że muszę się przed kimś wygadać. Najchętniej nie otwierałbym ust. Mówię to panu po to, żeby powtórzył pan wszystko Fleckowi. Za chwilę powinien zejść na ląd.

- Kapitanowi Fleckowi? Temu zdrajcy?!

- Na miłość boską, ciszej. Czy wie pan, co czeka nas wszystkich, zanim LeClerc stąd odpłynie?

- Panu chyba nie muszę tego mówić.

- Fleck jest naszą ostatnią deską ratunku.

- Człowieku, czyś ty zwariował?

- Proszę posłuchać, kapitanie. Fleck to łotr, kanalia i kawał łobuza, ale nie obłąkany megaloman. Dla pieniędzy podejmie się wszystkiego... z wyjątkiem morderstwa. Nie mógłby zabić człowieka, to nie ten typ. Sam zresztą mi o tym powiedział, a ja mu wierzę. W nim cała nasza nadzieja.

Nie doczekałem się komentarza.

- Za chwilę zejdzie na ląd - podjąłem. - Niech pan z nim pogada. Niech go pan zwymyśla od zdrajców, jak można by się tego po panu spodziewać, niech się pan na niego rzuci. Nikt nie zwróci na to uwagi oprócz LeClerca i Hewella, ale ich to tylko rozbawi. A wtedy niech mu pan opowie to, czego się pan ode mnie dowiedział. Proszę mu uświadomić, że on też długo nie pożyje, że LeClerc nie zostawi przy życiu żadnych świadków. Zobacz pan, że on nie ma pojęcia o tym, co tu się dzieje. LeClerc na pewno nie powiedział mi o rakiemie i swoich planach, Fleck i jego załoga zbyt często zawijają do Suva i innych portów na Fidzi. Jedno nieostrożne słowo po kielichu w jakimś barze, a plany LeClerca wzięłyby w łeb. Czy sądzi pan, kapitanie, że LeClerc zdradził mu prawdę?

- Nie. Ma pan rację, nie mógłby sobie na to pozwolić.

- Czy Fleck widział już kiedyś te rakiety?

- Oczywiście, że nie. Gdy tu zawijał, zawsze zamykaliśmy hangar, a zresztą wolno mu było rozmawiać tylko z oficerami i podoficerami nadzorującymi wyładunek. Rzecz jasna, wiedział, że to jakaś grubsza sprawa, zbyt często widywał tu *Neckara*.

- Jasne. Ale teraz zobaczy Krzyżowca; z miejsca, gdzie zacumował, nie sposób go nie zauważyć. Zrozumiałe, że się tym zainteresuje, a bardzo bym się zdziwił, gdyby LeClerc nie chciał mu się pochwalić. Spełniło się jego marzenie, a zresztą wie, że Fleck i tak zginie, więc przed nikim się nie wygada. Ale na wypadek, gdyby Fleck miał jeszcze jakieś wątpliwości, niech go pan wyśle... nie, on nie powinien stąd znikać, niech mu pan powie, żeby posłał Henry'ego, swojego mata, to się przekona, do czego jest zdolny LeClerc. - Wyjaśniłem Griffithsowi, jak odnaleźć miejsce, gdzie Hewell i jego ludzie przebili wylot tunelu, i jak trafić stamtąd do jaskini ze zwłokami Witherspoona i innych. - Nie zdziwiłbym się, gdyby doszły tam jeszcze trupy dwóch krajowców. Niech Henry sprawdzi, czy LeClerc nie zostawił w domu radia. Po jego powrocie Fleck pozbędzie się resztek wątpliwości.

Griffiths milczał. Miałem nadzieję, że udało mi się go przekonać, bo nie mógłbym oddać sprawy w lepsze ręce. To był szczywany lis, bez dwóch zdań. W końcu usłyszałem, że wstaje, i zobaczyłem kątem oka, jak odchodzi powoli. Odwróciłem się i spojrzałem na molo. Fleck i Henry w pełnej gali schodzili ze statku. Zamknąłem oczy. Może się to wydawać niewiarygodne, ale zmorzył mnie sen. Choć bo ja wiem, czy to takie dziwne - byłem ledwie żywy ze zmęczenia i bólu. Zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, mogłem dorzucić jeszcze jeden ból do kolekcji. Ktoś kopał mnie w zębra, bynajmniej nie pieszczotliwie. Obejrzałem się. LeClerc. Za późno już, żeby go uczyć podstaw dobrego wychowania. Zamrugąłem, oślepiiony słońcem, i odwróciłem się, by się podeprzeć zdrową ręką. Nagle znów zamrugąłem, gdy coś miękkiego uderzyło mnie w twarz i spadło mi na pierś. Sznurek, sznurek od żaluzji, starannie zwinięty w kłębek i zawiązany.

- Pomyślałem, że pewnie chciałbyś go odzyskać, Bentall. Nam już nie będzie potrzebny. - Ani śladu furii, czy żądzy odwetu, jak bym się tego spodziewał, jedynie coś na kształt satysfakcji. Spojrzał na mnie z namysłem. - Powiedz, Bentall, czy ty naprawdę myślałeś, że na to nie wpadnę? Przyjąłem za pewnik, że skoro nic ci już nie grozi, nie zawahasz się

uszkodzić drugiej rakiety, to przecież oczywiste. Nie doceniasz mnie, Bentall, i dlatego wyglądasz tak, jak wyglądasz.

- Taki sprytny to ty nie jesteś - stwierdziłem powoli. Zbierało mi się na mdłości. - Nie sądzę, żebyś coś podejrzewał. Nie wziąłem tylko pod uwagę, że przesłuchasz Hargreavesa i Williamsa, każdemu z osobna grożąc, że zabijesz jego żonę, jeżeli nie opowie ci ze szczegółami, co się tam działo. Zagroziłeś im pewnie rozłąką z żonami, jeżeli ich zeznania nie będą idealnie zbieżne. Chyba cię rzeczywiście nie doceniałem. Rozumiem, że zaprowadzisz mnie teraz gdzieś na ubocze i zastrzelisz. Nie mam nic przeciwko temu.

- Nikt cię nie zastrzeli, Bentall. Ani ciebie, ani nikogo. Jutro odpływamy i daję ci słowo honoru, że zostawimy was przy życiu.

- Oczywiście - parsknąłem. - Ile lat trzeba praktykować, żeby nauczyć się kłamać tak gładko?

- Jutro się przekonasz.

- Jutro, zawsze jutro. A jak zamierzasz nas utrzymać przez ten czas pod kontrolą? - Miałem nadzieję, że jego umysł pracuje na tej samej fali co mój, inaczej traciłem tylko czas wysyłając Griffithsa do Flecka.

- Sam nam podsunąłeś rozwiązanie, Bentall. W bunkrze. Powiedziałeś, że to prawdziwe lochy. Ucieczka stamtąd nie wchodzi w rachubę. Wszyscy moi ludzie będą mi potrzebni do pomocy przy pakowaniu Krzyżowca, a w bunkrze nikt was nie musi pilnować. - Spojrzał na Hewella i uśmiechnął się. - Odnoszę wrażenie, Bentall, że nie kochacie się z kapitanem Griffithsem. Wiesz na tobie psy za to, żeś nam uzbroił raketę.

Nie odezwałem się. Czekałem, kiedy to wreszcie powie.

- Pewnie cię ucieszy wiadomość, że przytrafiła mu się drobna nieprzyjemność. Nic poważnego. Najwyraźniej wbił sobie do głowy, że musi pogadać z Fleckiem jak mężczyzna z mężczyzną i objechać go za zdradzieckie poczynania. Fleck z kolei poczuł się dotknięty posądzeniami. Oba wilki morskie dobrały się w kocu maku, ten sam wiek, wzrost i waga, i wprawdzie kapitan Griffiths ma lepszą kondycję, za to Fleck stosuje więcej nieczystych chwytów. W końcu musiałem ich rozdzielić, odrywali moich ludzi od pracy.

- Mam nadzieję, że się nawzajem zatłukli - warknąłem. LeClerc uśmiechnął się tylko i odszedł z Hewellem. Im los wyraźnie sprzyjał.

Ale nie mnie. Pułapka wykryta, Griffiths i Fleck drą koty, ostatnie szansę pogrzebane, Marie nie chce mnie znać, LeClerc górą na całej linii, a w dodatku Bentalla lada chwila czeka kulka w łeb. Byłem chory, słaby, pobity i wyczerpany. Może należało się poddać? Znow odwróciłem się na brzuch i ujrzałem nadchodzącego Griffithsa. Usiadł tam, gdzie przedtem. Koszulę miał brudną i podartą, czoło podrapane, a z kącika ust spływała mu krew.

- Gratuluję - powiedziałem z goryczą.

- I słusznie - odparł spokojnie. - Fleck mi uwierzył. Przekonałem go bez trudu. Rano przepływał z tamtej strony wyspy i zauważył na rafie trupa - a raczej już tylko szczątki - krajowca z Fidzi. Myślał, że to sprawka rekinów, ale zmienił zdanie. Wysłał swojego mata, żeby się tam rozejrzał.

- Ale... ale ta walka?

- LeClerc wyszedł nagle z hangaru. Coś za bardzo nam się przyglądał. Musieliśmy jakoś uśpić jego podejrzenia. - Zobaczyłem, że się uśmiechnął. - Turlając się tam i nazad wymieniliśmy całkiem sporo informacji.

- Kapitanie Griffiths, zasłużył pan na statek flagowy - oświadczyłem.

Słońce opadało ku morzu. Dwaj Chińczycy przynieśli nam trochę konserw i piwo. Inni zanieśli żywność do bunkra, gdzie nadal przetrzymywano siedem kobiet w charakterze zakładniczek. Porucznik Brookman opatrzył mi ramię; widziałem, że nie jest zachwycony moim stanem. Przez całe popołudnie Chińczycy i połowa marynarzy, nadzorowani przez Hewella, demontowali dwie kratownice i układali je wzdłuż torów, szykując się do

przeniesienia Mrocznego Krzyżowca do metalowej skrzyni, zamontowanej już na wózkach. Ja zaś przez cały czas myślałem o Marie. Zastanawiałem się, czy śpi w swej samotni, czy czuwa, jak się czuje i czy o mnie myśli, czy jest przybita choć w połowie tak jak ja.

Tuż przed zachodem słońca od strony molo nadeszli Fleck i Henry. Zatrzymali się przede mną. Fleck podparł się pod boki. Griffiths pogroził mu pięścią - w oczach postronnych obserwatorów wyglądało to pewnie na wstęp do kolejnej awantury. Podparłem się na prawym łokciu - każdy by tak postąpił, gdyby jacyś dwaj zaczęli mu się awantuować nad głową. Śniada twarz Flecka była zacięta, ponura.

- Henry trafił gdzie trzeba - powiedział ochryplym z gniewu głosem. - Jedenaście trupów. To kawał zakłamanego mordercy! - Zaklął siarczyście. - Bóg mi świadkiem, że też potrafię grać ostro, ale nie aż tak. Powiedział, że ich uwięził i żebym jutro tam zajrzał, niby przypadkowo, i zabrał ich na Fidzi.

- Naprawdę wierzysz, że dożyjesz do jutra, Fleck? - odezwałem się. - Widzisz tego strażnika na molo? Pilnuje, żebyście stąd przypadkiem nie zwiali. Nie rozumiesz, że czeka cię to samo, co nas wszystkich? Że on nie może zostawić żadnych świadków?

- Wiem. Ale dziś jeszcze nic mi nie grozi, tę noc spędzę na szkunerze. O świcie przyplywa tu z Fidzi kabotażowiec. Jego załoga to Azjaci. Zabijaki, że drugich takich nie znajdziesz na całym Pacyfiku. Mam ich przeprowadzić przez rafy. - Pomimo gniewu, Fleck znakomicie odgrywał swą rolę, gestykulując zawzięcie przy każdym słowie.

- Po co oni tu przypluwają? - spytałem.

- To chyba oczywiste? - wtrącił Griffiths. - Duży statek nie może zawinąć do molo, woda ma tam najwyżej dziesięć stóp. Mogliby wprowadzić załadować rakietę na szkuner Flecka, ale z braku odpowiedniego dźwigu nie mieliby jej jak przenieść do łodzi podwodnej. Założę się, że ten kabotażowiec ma dźwig, dobrze mówię, Fleck?

- Tak, ma. O co chodzi z tą łodzią podwodną?

- Potem - przerwałem mu. - Czy Henry znalazł radio?

- Nie - odpowiedział Henry swym grobowym głosem. - Zawalili strop po tamtej stronie tunelu i zablokowali wyjście.

A jutro zagonią nas wszystkich do tunelu z tej strony, pomyślałem, i też zablokują wylot. Kto wie, może LeClerc nie kłamał, mówiąc, że nas nie zastrzelą - z głodu umiera się wprawdzie dłużej niż od kuli, ale ostateczny rezultat jest taki sam.

- I co ty na to, Fleck? - powiedziałem. - Twoja córka studiuje na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara, tuż obok jednej z największych na świecie wyrzutni rakiet dalekiego zasięgu w bazie lotniczej Vanderberry. Głowę daję, że pierwsza bomba wodorowa zleci właśnie tam. Azjaci planują atak na twoją nową ojczyznę, Australię. Ile trupów...

- Na miłość boską, zamknij się! - warknął. Dłonie zacisnął w pięści, na jego twarzy strach i desperacja mieszały się z gniewem. - Co mam zrobić?

Powiedziałem mu co.

Słońce dotknęło krawędzi morza, nadeszli strażnicy i odprowadzono nas do bunkra. Po drodze obejrzałem się. Przed hangarem paliły się już reflektory. LeClerc i jego ludzie szykowali się do całonocnej pracy. A niech tam. Jeżeli Fleckowi uda się przemknąć, to bardzo możliwe, że Mroczny Krzyżowiec nigdy nie dotrze do celu.

Jeżeli się przemknie.

Sobota, 3.00 - 8.00

Kiedy się obudziłem, było całkiem ciemno. Spałem cztery, może sześć godzin, ale wcale nie czułem się lepiej - w przedsionku bunkra panował obezwładniający upał, duszne, zatęchłe powietrze zwałało z nóg, a w dodatku za materac służyła mi betonowa podłoga.

Usiadłem sztywno. Tylko resztki jedynej rzeczy, jaka mi jeszcze została, to znaczy dumy, powstrzymały mnie przed wyciem, kiedy mimowolnie podparłem się lewą ręką. Choć niewiele brakowało, a rozdarłbym się wniebogłosy. Usiadłem przy ścianie, opierając się o nią zdrowym ramieniem.

Obok mnie ktoś się poruszył.

- Nie śpisz, Bentall? - Był to kapitan Griffiths.

- Uhm. Która godzina?

- Po trzeciej.

- Co takiego?! - Kapitan Fleck obiecał, że się uwinie do północy. - Trzecia? Dlaczego mnie pan wcześniej nie obudził, kapitanie?

- A po co?

Właśnie, po co. Pewnie po to, żebym ze zdenerwowania zbaraniał do reszty. Jeżeli cokolwiek mogłem przyjąć za pewnik, to fakt, że ani ja, ani nikt z nas nie wymyślił metody na wydostanie się z tego bunkra. Przez pierwsze pół godziny Griffiths, Brookman i ja przy świetle zapalek drobiazgowo oglądaliśmy drzwi i ściany, wykazując tym samym nieuleczalny optymizm, skoro tę masywną konstrukcję ze zbrojonego betonu projektowano z założeniem, że ma się oprzeć fali uderzeniowej i naciskowi rzędu tysięcy ton. Nie pozostawało nam jednak nic innego. Zgodnie z przewidywaniami, nic nie znaleźliśmy.

- Czy z zewnątrz coś słyhać? - spytałem.

- Nic, kompletnie nic.

- No i dobrze - stwierdziłem z goryczą. - Szkoda by było popsuć tak wspaniały rekord.

- O czym pan mówi?

- O tym, że schrzaniłem wszystko, czego się tylko dotknąłem. Konsekwencja godna podziwu. Trochę już za późno, żebym miał nagle wypaść z roli. - Potrząsnąłem głową w ciemności. - Trzy godziny spóźnienia. Co najmniej. Albo go złapali na gorącym uczynku, albo zamknęli na wszelki wypadek. Teraz to zresztą obojętne.

- Myślę, że nie wszystko jeszcze stracone - rzekł Griffiths. - Co piętnaście minut jeden z moich ludzi staje na ramionach drugiego i wygląda przez wentylator. Nic ciekawego stamtąd nie widać, z jednej strony góra, z drugiej morze, ale rzecz w tym, że prawie cały czas świeci księżyc. W tych warunkach Fleck nie mógł się pewnie wymknąć ze statku niepostrzeżenie. Ale może mu się to jeszcze uda.

- Prawie, powiada pan? Prawie całą noc?

- Faktycznie, około pierwszej ściemniło się na pół godziny - przyznał niechętnie.

- A na co mu pół godziny? Piętnaście minut wystarczyłoby mu aż nadto - stwierdziłem ponuro. - Nie ma się co oszukiwać, w ten sposób daleko nie zajedziemy.

Nigdzie nie zajedziemy, pomyślałem. Zbyt wiele wymagałem od Flecka. Oczekiwać, że wymknie się ze statku w jasną noc, pomimo strażnika na molo i ludzi pracujących sto jardów dalej w świetle potężnych reflektorów, to wcale nie miało. Ale wymagać, żeby przedostał się do domu kapitana, niecałe pięćdziesiąt jardów od hangaru, ukradł klucze, uwolnił Marie z magazynu broni, a potem nas oswobodził... no, tego już za wiele. Tyle, że był to dla nas ostatni promyk nadziei, a tonący brzytwy się chwytą.

Czas włókł się w nieskończoność, miałem wrażenie, że ta noc nigdy się nie skończy, choć wiedziałem, że skończy się aż za szybko. Nikt chyba nie spał. Naukowcy rozmawiali cicho z

zonami. Z zaskoczeniem uświadomiłem sobie, że nie poznałbym żadnej z tych kobiet, że zawsze widywałem je w ciemności. Powietrze psuło się z minuty na minutę, oddychanie przyprawiało o ból. Upał wzrastał z każdą chwilą, pot zalewał mi twarz i spływał po piersi i plecach. Co jakiś czas podsadzano kogoś z marynarzy, by wyjrzał przez wentylator, i za każdym razem wieści były te same: jasno.

Trwało to do czwartej. O tej porze podsadzono kolejnego marynarza. Zaledwie przysunął twarz do wentylatora, zawołał:

- Ciemno choć oko wykol! Nie widzę...

Nie dowiedzieliśmy się jednak, czego nie widzi. Zza drzwi doleciał tupot nóg, odgłosy bójki, głośny łoskot i metaliczny dźwięk klucza w zamku. Potem już tylko jeden szcęk, drzwi stały otworem i pokój wypełniło chłodne, rześkie powietrze.

- Fleck? - rzucił cicho Griffiths.

- To ja. Przepraszam za spóźnienie, ale...

- Panna Hopeman? - przerwałem mu. - Jest z panem?

- Niestety nie. Nie było tam klucza do magazynu broni. Rozmawiałem z nią przez okno, kazała mi to panu doręczyć. - Wcisnął mi w dłoń kartkę papieru.

- Ma ktoś zapalki? - spytałem. - Chcę...

- To nic pilnego - rzekł Fleck. - Napisała to jeszcze po południu, mając nadzieję, że... - Urwał. - Chodźcie, nie ma czasu do stracenia. Ten cholerny księżyc nie będzie siedział za chmurami do samego rana.

- On ma rację - przyznał Griffiths. - Wychodzić, raz dwa - zawołał cicho. - Żadnych rozmów. Biegiem w kierunku góry. Tak chyba będzie najlepiej, co, Bentall?

- Owszem. - Wsadziłem kartkę do kieszeni koszuli, odsunąłem się na bok, przepuszczając innych przodem, i zerknąłem na Flecka. - Co ty tam masz?

- Karabin. - Odwrócił się i powiedział cicho parę słów. Zza rogu wyszli dwaj mężczyźni, ciągnąc trzeciego między sobą.

- LeClerc postawił tu strażnika. To jego karabin. Wszyscy już wyszli? Dobra. Krishna, dajcie go tu.

- Nie żyje?

- Chyba nie. - Sądząc z jego tonu, było mu to obojętne. Usłyszałem, jak dwaj Hindusi rzucają strażnika na podłogę. Gdy wyszli, Fleck cicho zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

- Chodźcie, szybciej - zniecierpliwiał się Griffiths. - Musimy uciekać.

- Uciekajcie sami - odparłem. - Ja wracam po pannę Hopeman.

Był już dziesięć stóp ode mnie, lecz zatrzymał się i odwrócił.

- Czyś pan oszalał? Nie słyszał pan, że nie ma klucza? Lada chwila może wyjść księżyc, zobaczą pana. Przepadnie ostatnia szansa. Chodźmy, niech pan się nie wygłupia.

- Zaryzykuję. Zostawcie mnie.

- Wie pan, że pana złapią, to prawie pewne - rzekł Griffiths cicho. - A skoro pan się wydostał, to znaczy, że i my również. Zorientują się, że możemy uciekać tylko w jedną stronę. Są z nami kobiety, do wylotu tunelu mamy półtorej mili, więc z całą pewnością odetną nam drogę. Innymi słowy, Bentall, chce pan nas wszystkich skazać na śmierć, byleby tylko z czysto egoistycznych pobudek zrobić coś dla panny Hopeman, choć nie ma pan nawet jednej szansy na tysiąc. Mam rację, Bentall? Jest pan aż takim egoistą?

- Jestem egoistą, to prawda - przyznałem po chwili. - Ale nie jestem aż taki zły, po prostu o tym nie pomyślałem. Odprowadzę was tak daleko, żeby nie mogli was już zatrzymać, i wtedy po nią wrócę. Nawet nie próbujcie mi w tym przeszkodzić.

- Tyś zupełnie zwariował, Bentall. - W jego głosie brzmiała i złość, i troska. - Bezsensownie straci pan tylko życie.

- Moje życie, moja sprawa.

Trzymając się w zbitej grupie, ruszyliśmy w kierunku góry. Nikt się nie odzywał, nawet szeptem, mimo iż od LeClerca i jego ludzi dzieliło nas pół mili. Trzysta jardów dalej wyszliśmy na strome zbocze. Skręciliśmy na południe, okrążając górę u podnóża. Zaczynał się najbardziej niebezpieczny odcinek naszej ucieczki, musieliśmy minąć hangar i inne budynki, a stromy występ skalny na wysokości hangaru zmuszał nas do przemykania się w odległości dwustu jardów od miejsca, gdzie pracowali ludzie LeClerca.

Przez pierwsze dziesięć minut wszystko układało się po naszej myśli. Księżyc siedział za chmurami dłużej, niż mieliśmy prawo się spodziewać, ale nie mogło to trwać wiecznie, osiemdziesiąt procent nieba było czyste jak łza, a zresztą pod tą szerokością geograficzną nawet światło gwiazd należało brać pod uwagę. Przytrzymałem Griffithsa za ramię.

- Księżyc wyjdzie lada chwila. Sto jardów dalej jest rozpadlina, w której moglibyśmy się schować. Jeśli się pośpieszymy, może zdążymy.

Zdążyliśmy. Dotarliśmy tam akurat w chwili, gdy księżyc wyszedł zza chmur, zalewając zbocze góry i równinę ostrym białym blaskiem. Chwilowo jednak nic nam nie groziło, rozpadlina, która zasłaniała nas przed ludźmi w hangarze, miała ledwie trzy stopy wysokości, ale spełniała swoje zadanie.

Dopiero teraz zobaczyłem, że Fleck i jego dwaj Hindusi są kompletnie przemoczeni.

- Musieliście się wykapać, zanim po nas przyszliscie? - spytałem.

- Ten cholerny strażnik sterczał na molo z karabinem - burknął Fleck. - Pilnował nas, żebyśmy się nie dobrali do radia. Musieliśmy wskoczyć do wody z drugiej strony, gdzieś tak około pierwszej, jak zaszedł księżyc. Przepłynęliśmy wpływ ćwierć mili wzdłuż plaży. Henry i jeszcze jeden chłopak popłynęli, rzecz jasna, w przeciwnym kierunku. - Poprosiłem Flecka, żeby wysłał Henry'ego wprost do tunelu. Chciałem, żeby odszukał jaskinię służącą za magazyn broni i wyniósł stamtąd amatoł, zapalniki, spłonki, detonatory, wszystko, co tylko znajdzie. Oczywiście, jeżeli cokolwiek tam zostało. Broń i amunicja z pewnością zniknęły, a choć materiały wybuchowe nie zastąpią karabinu, to jednak lepsze to niż nic. - Kradzież kluczy to pestka, ale były tylko dwa, do zewnętrznych i wewnętrznych drzwi bunkra. Wobec tego spróbowaliśmy sforsować okno i drzwi w magazynie broni, żeby wyciągnąć pannę Hopeman, ale to beznadziejna sprawa. - Przerwał. - Cały czas się tym gryzę, Bentall. Ale próbowaliśmy, jak Boga kocham próbowaliśmy. Nie mogliśmy jednak narobić hałasu, rozumiesz.

- To nie twoja wina, Fleck. Wiem, że się starałeś.

- No więc jak doszliśmy do bunkra, akurat wyszedł księżyc. I całe nasze szczęście. LeClerc zostawił tam wartownika. Czekaliśmy w ukryciu bite dwie godziny, aż się ściemni na tyle, żebyśmy mogli go rąbnąć. Ja i Krishna mamy pistolety, ale zamokły w wodzie, a zresztą i tak nie moglibyśmy ich użyć.

- Sprawileś się znakomicie, Fleck. Mamy teraz karabin. Jak sobie radzisz ze strzelaniem?

- Kiepsko. Chcesz go wziąć?

- Broń Boże. Dziś nie uniósłbym nawet korkowca. - Odwróciłem się i odszukałem Griffithsa. - Ma pan jakiegoś dobrego strzelca wśród swoich ludzi, kapitanie?

- Tak się składa, że mam. Chalmers - mówiąc to wskazał na rudego porucznika, który odmówił odpowiedzi na pytanie LeClerca, w wyniku czego zginął marynarz - jest jednym z najlepszych strzelców w marynarce. Nie chciałbyś kropnąć któregoś z nich, jeśli zajdzie taka potrzeba, Chalmers?

- Tak jest, kapitanie - odparł cicho porucznik. - Z miłą chęcią.

Do księżycyca podpływała chmura. Niewielka, nie taka, jak bym sobie tego życzył, ale musiała nam wystarczyć, innej w pobliżu nie było.

- Kapitanie - zwróciłem się do Griffithsa. - Ruszamy za pół minuty.

- Musimy się śpieszyć - powiedział ze zmartwieniem. - Najlepiej będzie, jeżeli pójdziemy gęsiego. Przodem Fleck, a za nim kobiety i naukowcy, żeby w razie czego przynajmniej oni zdążyli schronić się w tunelu. Dalej pójdą moi ludzie, a na końcu ja.

- Nie - sprostowałem. - Ja i Chalmers.

- Żebyś mógł się w odpowiednim momencie ulotnić i wrócić po dziewczynę? Mam rację?

- Chodźcie - odparłem. - Już czas.

Pewnie by nam się udało, niestety był tam Bentall, a w obecności Bentalla nic nie ma prawa się udać. Bezpiecznie minęliśmy hangar, gdzie opuszczano właśnie Krzyżowca do skrzyni, i oddaliliśmy się o dobre dwieście jardów, gdy naraz rozległ się przenikliwy krzyk bólu. Jak się później okazało, jedna z kobiet pośliznęła się i wybiła sobie nadgarstek. Obejrzałem się. Na zalanym ostrym światłem terenie przed hangarem wszyscy rzucili robotę. Trzy sekundy później tyluż Chińczyków biegle w naszą stronę, a pozostali skoczyli po broń.

- Uciekajcie! - krzyknął Griffiths. - Biegiem!

- Ty zostajesz, Chalmers - powiedziałem.

- Tak - mruknął. - Ja zostaję. - Przyklęknął na jedno kolano i płynnym ruchem podniósł karabin, zarepetował i wystrzelił. Ujrzałem, jak dwie stopy przed najbliższym Chińczykiem kula odbiła się od betonu. Jednym ruchem Chalmers poprawił celownik. - Źle ustawiony – wyjaśnił bez pośpiechu. - Teraz już będzie dobrze.

Nie mylił się. Po drugim strzale strażnik na czele pogoni wyrzucił swój karabin w powietrze i padł jak długi. Zginął następny strażnik, a trzeci związał się właśnie w agonii, gdy nagle wszystkie światła przed hangarem pogasły. Ktoś wreszcie wymyślił, że odcinając się na tle oświetlonego betonu, stanowili wymarzony cel.

- Wystarczy! - zawołał Griffiths. - Wracajcie. Zaraz nas otoczą. Wracajcie!

Dobrze mówił, trzeba było wracać raz dwa, zwłaszcza że otworzyli do nas ogień. Nie widzieli nas w ciemności, ale zdradziły nas błyski z karabinu Chalmersa i kule kilkunastu pistoletów i karabinów maszynowych zaczęły świstać koło nas, odbijając się rykoszetami od skał. Griffiths i Chalmers odwrócili się i puścili biegiem, a ja zrobiłem to samo, tyle że pogałem dokładnie w odwrotnym kierunku. Nie wiedziałem, czy uda mi się dotrzeć do magazynu broni, gdzie uwięzili Marie, księżyc znów zaczął wychodzić zza chmur, lecz gdyby mi się powiodło, to zgiełk strzelaniny pozwoliłby mi włamać się do środka. Zrobiłem cztery kroki i wyciągnąłem się jak długi, gdy coś ze straszliwą siłą rąbnęło mnie w kolano. Wstałem oszołomiony i zaraz zwałem się znowu. Nie czułem bólu, po prostu noga odmówiła mi posłuszeństwa.

- Idioto! Idioto skończony! - Griffiths doskoczył do mnie, a zaraz za nim Chalmers. - Co się stało?

- Noga, trafili mnie w nogę. - Nie przejmowałem się nogą, miałem ją gdzieś, teraz obchodziło mnie tylko to, że pogrzebałem ostatnią szansę na przedostanie się do magazynu broni. Do magazynu broni, gdzie czekała Marie, sama jak palec. Czekwała na mnie. Wiedziała, że po nią przyjdę, wiedziała, że trudno o większego niedojdę niż Johnny Bentall, ale wiedziała, że nie zostawię jej w rękach LeClerca. Griffiths pomógł mi się podnieść, lecz nie na wiele się to zdało, nogę miałem kompletnie bezwładną, sparaliżowaną.

- Głuchyś?! - ryknął Griffiths. - Pytałem, czy możesz iść o własnych siłach.

- Mogę, wszystko w porządku. Zostawcie mnie. Wracam po nią. - Nie bardzo wiedziałem, co mówię, przestałem rozróżniać pobożne życzenia od zamiarów. - Nic mi nie jest. Musicie się śpieszyć.

- Psiakrew! - Griffiths złapał mnie za ramię, Chalmers z drugiej strony i pospołu zawlekli mnie za załom skały. Pozostali zniknęli już z widoku, lecz po chwili Brookman i jeden z marynarzy nadbiegli sprawdzić, co się stało. Rzecz jasna, pomogli mnie wlec. Trudno przecenić pożytek z Johnny'ego Bentalla. Co ja takiego zrobiłem, że Bóg mnie pokarał takim pieskim szczęściem?

Dotarliśmy do tunelu prawie trzy minuty po ostatnich maruderach. Wiem, bo mi to powiedzieli, ale sam nic nie pamiętam, ostatnie pół mili taszczyli mnie nieprzytomnego. Dowiedziałem się, że na nasze szczęście księżyc znów wyszedł, dzięki czemu Chalmers powstrzymał pogoń, zabijając dwóch Chińczyków na ostatniej grani. Powiedzieli mi również, że przez całą drogę gadałem sam do siebie, a kiedy starali się mnie uciszyć, odpowiadałem z oburzeniem, że przecież ja nic nie mówię. Tak to podobno wyglądało, choć znam to tylko z opowieści.

Pamiętam natomiast, jak odzyskałem przytomność. Siedziałem oparty o ścianę tunelu, tuż przy wylocie. Pierwsze, co ujrzałem, to leżącego koło mnie człowieka. Jeden z Chińczyków. Nie żył. Podniosłem wzrok i po przeciwnej stronie zobaczyłem Griffithsa, Brookmana, Flecka, Henry'ego i jakiegoś nie znanego mi podoficera. Tak mi się w każdym razie wydawało, że to oni, choć w ciemnościach mogłem się pomylić. Siedzieli ściśnięci, przy samej ścianie, bo choć tunel na całej długości miał przekrój siedem stóp na cztery, to ostatni kawałek, wyrąbany przez ludzi Hewella, był o wiele węższy, jakieś trzy stopy na osiemnaście cali. Nikogo więcej nie zobaczyłem - mieli się schronić sto jardów dalej, w jaskini, do której Hewell usuwał wyrąbany wapień z tunelu. Wyrzależem na zewnątrz. Świtało.

- Długo tu leżę? - zapytałem nagle. Mój głos przypominał ochrypy, roztrzęsiony bełkot starca. To chyba wina echa, a może mojej wyobraźni?

- Mniej więcej godzinę. - Zabawne, Griffiths wcale nie mówił starym głosem. - Brookman twierdzi, że pan z tego wyjdzie. Odłupana rzepka, nic więcej. Za tydzień znów będzie pan chodził.

- Czy... czy wszyscy dotarli bezpiecznie.

- Wszyscy.

Wszyscy. Wszyscy oprócz Marie Hopeman. Co ich to zresztą obchodzi? To, co dla mnie jest wszystkim na świecie, dla nich było tylko pustym nazwiskiem. Marie Hopeman została sama w magazynie broni, już nigdy jej nie zobaczę, ale to tylko nazwisko i imię. Czy można żałować nazwiska? Nigdy już jej nie zobaczę, nigdy więcej. Nigdy to dużo czasu. Zawiodłem nawet przy tej ostatniej, najważniejszej dla mnie okazji. Zawiodłem Marie. Zostało już mi tylko nigdy. Zawsze już będzie nigdy.

- Bentall! - rzucił ostro Griffiths. - Co z panem?

- W porządku, nic mi nie jest.

- Znowu pan gada do siebie.

- Niemożliwe. - Dotknąłem leżącego koło mnie trupa. - Co się stało?

- LeClerc go wysłał. Pewnie myślał, że wycofaliśmy się na drugą stronę tunelu, bo chyba nie przyszedł popełnić samobójstwa. Chalmers zaczekał, aż wejdzie tu do środka. No i mamy już dwa karabiny.

- Co jeszcze się działo? Godzina to szmat czasu.

- Potem otworzyli do nas ogień. Musieliby jednak stanąć na wprost tunelu, żeby nie strzelać na oślep, więc szybko zrezygnowali. A potem spróbowali wysadzić wylot i zablokować wyjście.

- Nie sądzę, nic by im to nie dało - rzekłem. - I tak moglibyśmy się przebić na zewnątrz. Raczej starali się spowodować zawał stropu na odcinku jakichś stu jardów. Wtedy rzeczywiście byłoby po nas. - Nie bardzo wiedziałem, po co ja to właściwie mówię, teraz i tak już nie miało to znaczenia.

- Odpalili jeden ładunek nad wylotem - podjął Griffiths. - Bez specjalnych rezultatów. Potem słyszeliśmy, jak drążą kilofami otwory do zamontowania większej ilości ładunków. Podrzuciliśmy im kilka zapalonych kostek amatu. Chyba stracili kilku ludzi, w każdym razie więcej już nie próbowali?

- Depesza - wtrąciłem. - Powiedzieliście im o depeszy?

- Oczywiście. - Griffiths stracił cierpliwość. Wcześniej kazałem Fleckowi podrzucić obok radia kopię rzekomej depechy o następującej treści: „Wiadomość przyjęto. HMS *Kandahar* kieruje się pełną parą na Suva-Vardu. Spodziewajcie się go o ósmej trzydzieści”. Miało to stworzyć wrażenie, że Fleck nadał przez radio SOS. – Powiedzieliśmy LeClercowi, że okręt wojenny płynie już na odsiecz - ciągnął kapitan. - Nie chciał uwierzyć, stwierdził, że strażnik przez cały czas pilnował, żeby nikt się nie dobrał do radia, ale Fleck powiedział, że strażnik zasnął. Być może to jeden z tych, którzy zginęli, nie wiem. Gdy się LeClerc dowiedział, że kopia leży na szkunerze, posłał tam jednego ze swych ludzi. Nie mógł tego zignorować, gdyby to była prawda, to zostałyby mu trzy godziny. A nawet mniej, bo Fleck twierdzi, że bez jego pomocy kapitan *Grasshoppera* za żadną cenę nie zpuści się między rafy.

- Już widzę, jak się ucieszył.

- Wpadł w szal. Słyszeliśmy, że głos mu się trzęsie z wściekłości. Dopytywał się o pana, ale wyjaśniliśmy, że jest pan nieprzytomny. Zagroził, że zastrzeli pannę Hopeman, jeżeli pan nie wyjdzie, więc powiedziałem, że pan umiera.

- Pewnie piał z radości - mruknąłem posepnie.

- Tak jakby - przyznał Griffiths. - Potem odszedł. Możliwe, że zabrał swoich ludzi, ale tego już nie wiemy.

- Zabrał! - parsknął ponuro Fleck. - Odstrzelał łeb każdemu, kto spróbuje wystawić nos.

Czas mijał. Wylot tunelu przeszedł przez wszystkie odcienie szarości, aż wreszcie ujrzeliśmy czysty błękit. Wstało słońce.

- Griffiths! - Głos LeClerca poderwał nas na nogi. - Słyszysz mnie?

- Słyszę.

- Jest tam Bentall?

- Jestem - odkrzyknąłem, ignorując Griffithsa, który starał się mnie uciszyć. - Przyjdź po mnie.

- Podobno zdychasz, Bentall? - Nigdy nie słyszałem w jego głosie tyle skondensowanego jadu.

- Czego chcesz?

- Ciebie, Bentall.

- Jestem. Przyjdź po mnie.

- Słuchaj, Bentall. Chcesz uratować pannę Hopeman? A jednak! Powinienem był przewidzieć, że po raz ostatni spróbuje mnie szantażować w ten sam sposób. Zależało mu na mnie, jeszcze jak mu zależało.

- Ja wyjdę, a ty jej i tak nie puścisz, co? – Nie wątpiłem, że tylko o to mu chodzi.

- Uwolnię ją, Bentall. Daję słowo.

- Nie słuchaj go - szepnął kapitan Griffiths natarczywie. - Jeżeli wyjdiesz, to w ten sam sposób wszystkich nas stąd wyciągnie. Albo po prostu zabije was oboje.

Wiedziałem, którą możliwość wybierze. Zabije nas oboje. Inni go nie obchodzili, ale nas musiał zabić. A w każdym razie mnie. Musiałem jednak zaryzykować. Być może nie zlikwiduje nas od razu, może zabierze nas ze sobą na statek. Była to wprawdzie szansa jedna na milion, ale zawsze. O nic więcej mi nie chodziło, jak tylko o cień szansy. Może nas jeszcze uratują. Zastanowiłem się i zrozumiałem, że nic z tego, że nie mam nawet jednej szansy na milion. To tak, jak nadzieja skazańca siedzącego na krześle elektrycznym, o którym mówiła Marie.

- W porządku, LeClerc - powiedziałem. - Wychodzę. Nie widziałem, żeby dawali sobie jakieś znaki, a jednak Fleck, Henry i Griffiths dopadli mnie w tym samym momencie i przydusili do ziemi. Przez kilka sekund walczyłem jak szalony, dopóki całkiem nie opadłem z sił.

- Puśćcie mnie - wyszeptałem. - Na miłość boską, puśćcie mnie!

- Nic z tego - odparł Griffiths. Podniósł głos. – Możesz się zbierać, LeClerc! - zawołał. - Nie puścimy Bentalla. Sam wiesz dlaczego.

- A zatem będę musiał zabić pannę Hopeman - oświadczył LeClerc jadowicie. - Zabiję ją, słyszysz mnie, Bentall? Zabiję. Ale nie dziś, nawet nie jutro. Kto wie, może prędzej zabije się sama. Żegnaj, Bentall. Dziękuję ci za Mrocznego Krzyżowca.

Usłyszeliśmy, jak odchodzi, i zapadła cisza... Trzy pary rąk puściły mnie i usłyszałem głos Flecka:

- Przykro mi, chłopcze. Nie potrafię wyrazić, jak strasznie mi przykro.

Nie odpowiedziałem. Zastanawiałem się, dlaczego nie nastąpił koniec świata. Po jakimś czasie dźwignąłem się i na czworakach oświadczyłem.

- Wychodzę.

- Przestań się wreszcie wygłupiać. - Twarz Griffithsa zdradzała, że jego pierwotna opinia na mój temat, nieszczerze pochlebna, zaczyna brać górę. - Tylko na to czekają.

- LeClerc nie może sobie pozwolić na dalszą zwłokę. Która godzina?

- Dochodzi siódma.

- Jest już w drodze. Nie będzie ryzykował utraty Krzyżowca tylko dlatego, że chętnie by mnie zabił. Proszę was, nie próbujcie mnie zatrzymać. Mam coś do załatwienia.

Wyczołgałem się przez wąski wylot tunelu i rozejrzałem. Przez kilka sekund nic nie widziałem, klujący ból w kolanie nie pozwalał mi skupić wzroku. Wreszcie przejrzałem na oczy i stwierdziłem, że nikogo tam nie ma. To znaczy, nikogo żywego.

Przed sobą ujrzałem zwłoki trzech ludzi – dwóch Chińczyków i Hewella. Jasne, któżby mógł nadzorować zakładanie ładunków wybuchowych, jeśli nie on? Eksplodujące kostki amantolu wyrwały mu pół klatki piersiowej, chyba tylko to mogło pozbawić go życia. Zobaczyłem metaliczny błysk lufy pistoletu, wystającej spod jego cielska. Pochyliłem się i wyszarpnąłem broń. Magazynek był pełny.

- W porządku - rzuciłem. - Już poszli.

Dziesięć minut później wracaliśmy wszyscy do hangaru. Brookman miał rację, pomyślałem mętnie, minie tydzień albo i więcej, zanim znów będę chodził normalnie. Na szczęście chłopaki z marynarki taszczyli mnie przez całą drogę.

Minęliśmy ostatnią grań dzielącą nas od równiny. Teren wokół hangaru był pusty, wyludniony. Mały statek przybrzeżny przedzierał się przez rafę. Usłyszałem, jak Fleck zaklął siarczyście, i nagle zrozumiałem dlaczego: pięćdziesiąt jardów od molo wystawał z wody maszt i szczyt nadbudówki jego szkunera. LeClerc myślał o wszystkim.

Wszyscy rozmawiali, dowcipkując i wybuchając nerwowym, histerycznym śmiechem. Nie miałem im tego za złe, była to typowa reakcja ludzi, którzy żyjąc w cieniu śmierci wyszli nagle na słońce. Napięcie ostatniej nocy, koszmar ostatnich tygodni uwięzionych kobiet, strach, lęk i niepewność, wszystko to minęło, świat, który na pozór się skończył, odżył teraz na nowo. Spojrzałem na siedmiu naukowców oraz ich żony, którym nie miałem dotąd okazji się przyjrzeć. Uśmiechnięci, zapatrzeni w siebie, szli mocno przytuleni. Oderwałem wzrok, nie mogłem na nich patrzeć. Już nigdy nie ujrzę oczu Marie. Ale szliśmy kiedyś przytuleni, jeden jedyny raz. Tylko raz i tylko przez dwie minuty. Mało. A mogło być więcej.

Jedynie Fleck był przygnębiony, ponury, jedynie on odstawał! od reszty. I to chyba nawet nie z powodu utraty szkunera, w każdym razie nie tylko. Z nich wszystkich on jeden znał Marie. Gdy nazwał ją ładniutką dziewczyną, obraziłem go bez powodu. Miał córkę niemal w jej wieku. Fleck był smutny, smutny z powodu Marie. Nie musiał się martwić o swoje dawne przewinienia, odkupił je wszystkie z nawiązką.

Dotarliśmy do hangaru. Ściskając pistolet, modliłem się, żeby LeClerc zostawił komitet powitalny, mający nas przyjąć, gdy wrócimy wywabieni z tunelu odpłynięciem statku. Najlepiej, żeby sam na nas czekał. Nie zastaliśmy jednak nikogo. Ani tam, ani w pozostałych barakach; zostawili nam tylko pogruchotany nadajnik radiowy. Doszliśmy do magazynu

broni. Wszedłem do środka przez otwarte okno i spojrzałem na łóżko. Pomacałem zwinięty płaszcz, który służył jej za poduszkę - był jeszcze ciepły. Podniosłem go odruchowo. Leżała pod nim obrączka, zwykła złota obrączka, którą nosiła na serdecznym palcu lewej ręki. Obrączka ślubna. Włożyłem ją na mały palec i wyszedłem.

Griffiths kazał swym ludziom pochować zmarłych i wraz ze mną i Fleckiem, który mnie holował, wrócił do bunkra. Za nami szło dwóch uzbrojonych marynarzy.

Statek minął już rafę i kierował się dokładnie na zachód. A z nim Mroczny Krzyżowiec i Marie. Mroczny Krzyżowiec, perspektywa milionów ofiar, dziesiątek miast obróconych w proch, rzezi, smutku i nieszczęścia, jakich ludzkość nie zaznała od początków istnienia. Mroczny Krzyżowiec. I Marie. Marie, która patrzyła w przyszłość i widziała jedynie pustkę. Ta sama, która powiedziała kiedyś, że nadejdzie dzień, kiedy moja wiara w siebie na nic mi się nie zda. Ten dzień właśnie nadszedł.

Fleck otworzył drzwi bunkra, wyprowadził Chińczyka nie spuszczać z niego lufy pistoletu i przekazał go marynarzom. Otworzyliśmy drugie drzwi i zapaliliśmy światła. LeClerc zniszczył wszystkie nadajniki na terenie bazy, ale nie ruszył pulpitu sterowniczego, bo nie miał się do niego jak dostać. Wcałe mu na tym zresztą nie zależało, on nie wiedział tego, co ja - że obwód destrukcyjny Mrocznego Krzyżowca jest uzbrojony.

Przeszliśmy przez pokój. Kiedy pochyliłem się nad prądnicą, po raz pierwszy ujrzałem wystającą mi z kieszeni koszuli kartkę, którą dostałem od Flecka. Zupełnie o niej zapomniałem. Rozprostowałem ją teraz i wygładziłem.

Treść była krótka: *Wybacz mi, Johnny. Zmieniłam zdani ena temat naszego małżeństwa, ktoś musi się tobą opiekować, bo do końca życia nie wybrniesz z kłopotów. PS. Ja też cię chyba trochę kocham.* I jeszcze jeden dopisek, na samym dole: *PPS. Ty i ja, i światła Londynu.*

Złożyłem kartkę i schowałem ją z powrotem. Wyjrzałem przez peryskop. *Grasshopper* był już prawie na horyzoncie; płynął wprost na zachód, wlokąc za sobą chmurę czarnego dymu. Zdjąłem siatkę ochronną z przycisku ENSAD, przekręciłem biały kwadratowy przycisk o sto osiemdziesiąt stopni i nacisnąłem siódmy z kolei guzik, zamykający obwód destrukcyjny. Rozbłysła zielona kontrolka – zegar Krzyżowca zaczął odliczać czas.

Dwanaście sekund. Od chwili naciśnięcia guzika do pełnego uzbrojenia obwodu destrukcyjnego mijało dwanaście sekund. Dwanaście sekund. Wpatrując się w zegarek, w monotonnie przeskakujący sekundnik, zastanawiałem się mętnie, czy wybuch tylko rozerwie raketę, czy – jak podejrzewał Fairfield - zdetonuje paliwo i Mroczny Krzyżowiec przestanie istnieć. Czy to zresztą ważne? Dwie sekundy. Patrząc przez peryskop, widziałem tylko zamazaną mgiełkę.

Z całej siły nacisnąłem biały kwadratowy przycisk.

Mroczny Krzyżowiec przestał istnieć. Nawet z tej odległości wybuch wyglądał przerażająco, olbrzymi bryzgający wulkan, wrząca biała kipiela wodna w mgnieniu oka pochłonęły szczątki statku, a pod niebo wystrzelił kolosalny słup dymiących płomieni, który znikł w jednej chwili. Koniec Mrocznego Krzyżowca. Koniec wszystkiego.

Odwróciłem się i z pomocą Flecka chwiejnie ruszyłem do drzwi. Nowy dzień iskrzył się w porannym słońcu. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, po morzu przetoczył się potężny grzmot eksplozji i odbił echem od milczącej góry za nami.

Epilog

Mały zakurzony człowieczek w małym zakurzonym pokoju. Zawsze tak o nim myślałem - ot, mały zakurzony człowieczek w małym zakurzonym pokoju.

Gdy wszedłem, zerwał się na równe nogi, wybiegł zza biurka i podtrzymując mnie za zdrowe ramię, odeskortował do krzesła. Traktował powracającego bohatera po królewsku, gotów byłem iść o każdy zakład, że zdarzyło mu się to po raz pierwszy; kiedy Marie Hopeman w mojej obecności weszła do tego pokoju, nawet nie raczył zwlec tyłka z fotela.

- Siadaj, mój chłopcze, siadaj. - Szarą, pomarszczoną twarz przepełniała troska; czujne zielone oczy odzwierciedlały przejęcie, którego ten człowiek nigdy nie okazywał.

- Dobry Boże, Bentall, wyglądasz okropnie.

Spojrzałem w lustro nad jego biurkiem - małe, upstrzone przez muchy i zakurzone jak cały ten pokój. Faktycznie, nie przesadzał. Lewa ręka na czarnym płóciennym temblaku, w prawej gruba laska, dzięki której mogłem jako tako kuśtykać, a do tego przekrwione oczy i blade, zapadnięte policzki z wielką, siną szramą biegnącą od skroni do podbródka - gdybym się pośpieszył, mógłbym zbić majątek wynajmując się właścicielom domów, w których straszy.

- Wyglądam gorzej, niż się czuję, pułkowniku. Jestem tylko trochę zmęczony. - Bóg jeden wiedział, jak byłem skonany. Przez ostatnie dwa dni, bo tyle mi zajął powrót z Suva, nie zmrużyłem oka.

- Jadłeś już, Bentall? - Zastanawiałem się sucho, kiedy ostatnio ten gabinet był świadkiem takiego popisu troskliwości. Na pewno nie za czasów Raine'a.

- Nie, pułkowniku. Przyjechałem tu prosto z lotniska. Nie jestem głodny.

- Rozumiem. - Podeszedł do okna. Zgarbiony, z kościstymi rękami założonymi do tyłu, wyglądał przez chwilę na zamazane światła, odbijające się od mokrej ulicy. Wreszcie westchnął, zaciągnął zasłony, usiadł przy biurku i splótł dłonie na blacie. - A więc Marie Hopeman nie żyje - powiedział bez wstępów.

- Tak. Nie żyje.

- Zawsze odchodzą najlepsi - mruknął pod nosem. - Zawsze najlepsi. Dlaczego nie spotyka to takich bezużytecznych starców jak ja? Ale to się nie zdarza, prawda? Nawet po stracie własnej córki nie mógłbym... - Urwał i wbił wzrok w dłoń. - Już nigdy nie zobaczymy Marie Hopeman.

- Nie, pułkowniku. Już nigdy jej nie zobaczymy.

- Jak zginęła, Bentall?

- Zabiłem ją. Musiałem.

- Zabiłeś ją. - Powiedział to tak, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. - Otrzymałem twój telegram z *Neckara*. Admiralicja poinformowała mnie w ogólnych zarysach, co się zdarzyło na wyspie Vardu. Wiem, że spisaliście się tam wspaniale, ale nie znam szczegółów. Opowiedz mi wszystko od początku.

Opowiedziałem mu wszystko po kolei. Długa to była opowieść, ale nie przerwał mi ani razu. Kiedy skończyłem, przetarł oczy i oburącz przesunął powoli po wysokim, pomarszczonym czole i rzadkich, szpakowatych włosach.

- Niewiarygodne - mruknął. - Nasłuchałem się w tym gabinecie różnych nieprawdopodobnych historii, ale... - Urwał w pół zdania, sięgnął po fajkę i scyzoryk i zaczął czyścić cybuch. - Doskonała robota, doskonała... ale za jaką cenę. Żadne przemówienia, żadne podziękowania nie wynagrodzą ci tego, co zrobiłeś, mój chłopcze. A w naszym zawodzie nie dają medali, chociaż postarałem się już dla ciebie o specjalną, hm... niespodziankę. Dostaniesz ją już wkrótce. - Jego usta drgnęły. W ten sposób dawał mi do zrozumienia, że się uśmiecha. - Spadniesz z krzesła, jak ją zobaczysz.

Milczałem.

- Oczywiście, mam do ciebie tysiąc i jeden pytań, a i ty pewnie chciałbyś mnie spytać o kilka drobiazgów związanych z małym oszustwem, którego musiałem się dopuścić. Ale to może poczekać do rana. - Zerknął na zegarek. - Mój Boże, już wpół do jedenastej. Za długo cię przetrzymałem, stanowczo za długo, wyglądasz jak śmierć.

- Nic nie szkodzi.

- Szkodzi, mój drogi, szkodzi. - Odłożył fajkę i scyzoryk i zmierzył mnie spojrzeniem lodowatych oczu. - Mam bardzo dobre pojęcie o tym, ile się wycierpiałeś, nie tylko zresztą fizycznie. Wiem, przez co przeszedłeś. Czy po tym wszystkim nadal chcesz pozostać w wywiadzie?

- Bardziej niż kiedykolwiek. - Spróbowałem się uśmiechnąć, ale zrezygnowałem, efekt nie wart był bólu. - Pamięta pan, pułkowniku, co pan mówił przed moim wyjazdem o tym fotelu? Wciąż chciałbym w nim kiedyś zasiąść.

- Jestem zdecydowany zrobić wszystko w tym kierunku - stwierdził spokojnie.

- Ja również. - Wsunąłem prawą dłoń pod temblak, by ulżyć lewej ręce. - Ale to nie jedyna sprawa, w której jesteśmy tak zgodni.

- Nie? - Szare brwi uniosły się o milimetr.

- Nie. Obaj jesteśmy zdecydowani jeszcze na co innego. Obaj jesteśmy zdecydowani, że tylko jeden z nas może opuścić ten pokój żywy. - Wyciągnąłem prawą rękę spod temblaka i pokazałem mu mój pistolet. - Nie sięgaj przypadkiem po tego lugera pod fotelem.

Wlepił we mnie wzrok; jego usta ściągnęły się powoli.

- Czyś ty postradał rozum, Bentall?

- Wręcz przeciwnie, odnalazłem go cztery dni temu. - Niezdarnie wstałem z krzesła i pokuśtykałem na drugą stronę biurka. Nie spuszczałem go z oka i z muszki pistoletu. - Wstań z fotela.

- Jesteś przemęczony - stwierdził spokojnie. - Miałeś ciężkie przejścia...

Uderzyłem go w twarz lufą pistoletu.

- Wstawaj!

Otarł krew z policzka i podniósł się powoli.

- Postaw fotel na boku. - Wykonał polecenie. Luger był na swoim miejscu, a jakże, wsunięty pod zatrzask. - Wyciągnij go kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki. Za lufę. I połóż go na biurku.

I tym razem wykonał polecenie.

- Podejdź do okna i odwróć się.

- Cóż ty, na miłość boską...

Kołysząc pistoletem, zbliżyłem się do niego o krok. Cofnął się szybko o cztery kroki, aż poczuł za plecami zasłonę, i odwrócił się. Spojrzałem na lugera. Odbezpieczony, z grubym tłumikiem na lufie i pełnym magazynkiem. Schowałem swój pistolet, podniosłem lugera i pozwoliłem Raine'owi się odwrócić. Zważyłem lugera w dłoni.

- To jest ta niespodzianka, na widok której miałem spaść z krzesła? - zapytałem. - Mając w brzuchu kulkę kalibru 7.65 każdy by zleciał ze stołka. Tyle że ja nie jestem tak łatwowierny jak ten pechowiec, którego zastrześliłeś, gdy siedział na tym właśnie krześle.

Powoli wypuścił powietrze z płuc i pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz, Bentall.

- Na twoje nieszczęście, tak. Siadaj. - Zaczekałem, aż ustawi fotel i usiądzie, po czym oparłem się o róg biurka. - Od jak dawna prowadzisz tę podwójną grę, Raine?

- O czym ty, u licha, gadasz? - spytał ze znużeniem.

- Wiesz przecież, że i tak cię zastrzelę. Z tego ślicznego lugera z tłumikiem. Nikt cię nie usłyszy. W całym budynku nie ma żywej duszy. Nikt nie widział, jak wchodziłem, i nikt mnie

nie zobaczy wychodzącego. Znajdą cię dopiero rano, Raine. Nieżywego. Powiedzą, że to samobójstwo. Nie wytrzymałeś ciężaru odpowiedzialności.

Raine obliznął się. Już nie mówił, że zwariowałem.

- Przypuszczam, że parałeś się zdradą przez całe życie. Bóg jeden wie, jak ci się udało nie wpaść przez tyle lat. Widać masz coś z geniusza, inaczej dawno już by cię złapali. Nie chcesz mi o tym opowiedzieć, Raine?

Przeszyły mnie zielone oczy. Nigdy nie widziałem na czyjejs twarzy tyle skondensowanego jadu. Milczał.

- Trudno, wobec tego sam ci opowiem. Opowiem ci bajeczkę na dobry sen. Słuchaj uważnie, Raine, to ostatnia bajeczka, jaką usłyszysz, zanim zapadniesz w swój ostatni sen.

Spędziłeś na Dalekim Wschodzie dwadzieścia pięć lat, z czego ostatnie dziesięć jako szef kontrwywiadu. Przypuszczam, że przez cały czas grałeś na dwie bramki. Bóg jeden wie, ilu ludzi przez ciebie zginęło, ilu przez ciebie cierpiał. Aż wreszcie dwa lata temu wróciłeś.

Przedtem jednak skontaktowało się z tobą mocarstwo, dla którego pracowałeś w okresie, gdy byłeś tam naszym szefem kontrwywiadu. Powiedzieli ci, że naukowcy angielscy pracują podobno nad zastosowaniem paliw stałych do napędzania rakiet i pocisków samosterujących. Spytałeś, czy mógłbyś im dostarczyć informacji na ten temat. Zgodziłeś się. Nie będę udawał, że wiem co ci zaproponowali, pieniądze, władzę czy co innego.

Nie zamierzam też udawać, że wiem, w jaki sposób założyłeś swoją siatkę. Bez trudu załatwiłeś sobie kontakty w całej Europie, a skrzynką kontaktową był Istambuł, dokąd w końcu zaprowadziło mnie moje śledztwo. Podejrzewam, że zdobywałeś informacje lokując w Instytucie Badawczym i Zakładach Paliwowych Hepwortha ludzi, których, zgodnie ze swoją oficjalną funkcją, osobiście „prześwietliłeś”.

Z upływem czasu coraz więcej informacji trafiało do Istambułu, a stamtąd na Daleki Wschód. Tyle, że twój poprzednik zwietrzył pismo nosem, domyślił się, że przeciek następuje na naszym podwórku i powiadomił rząd. Wyobrażam sobie, że kazali mu nadać tej sprawie natychmiastowy bieg i potraktować ją jako pierwszoplanową. Ale gdy za bardzo zbliżył się do prawdy, samolot, którym leciał, rozbił się nad Morzem Irlandzkim i przepadł bez śladu. Zgadnij, kto go odprowadzał na lotnisko? Ty, Raine. Przypuszczam, że podrzuciłeś mu do bagażu bombę zegarową... nasz bagaż jest zwolniony od kontroli celnej. Trochę szkoda, że tym samolotem leciało trzydziestu innych pasażerów, ale jakie to ma w końcu znaczenie, prawda, Raine?

I wówczas awansowałeś. Wybór był oczywisty - genialny, oddany pracownik, który całe życie poświęcił służbie swego kraju. Postawiło cię to w niezwyklej sytuacji, kiedy musiałeś wysyłać agentów, aby tropili ciebie samego. Tyle że jeden z nich wywahał zbyt wiele. Przyszedł do tego gabinetu z bronią w ręku, żeby skonfrontować cię z dowodami. Ale on nie wiedział o ukrytym lugerze, prawda, Raine? Później rozpuściłeś pogłoski o tym, jak to przeszedł na stronę obcego wywiadu i chciał cię zlikwidować. I jak mi idzie, pułkowniku?

Nie skomentował tego.

- W końcu rząd zaniepokoił się nie na żarty. Wy tłumaczyłeś, że problem polega na złożonym charakterze przekazywanych informacji, które jedynie naukowiec mógłby w pełni zrozumieć. Twoi agenci, oczywiście ci uczciwi, nadawali się do tej roboty znakomicie, gdyby nie to, że mieli paskudny zwyczaj docierania do prawdy. Dlatego też nabiłeś rząd w butelkę i zająłeś się poszukiwaniami najgłępszego naukowca pod słońcem. Takiego, który z pewnością nic nie wykryje. Wybrałeś mnie i rozumiem, co tobą kierowało.

Wybrałeś także Marie Hopeman. Próbowaleś mnie przekonać, że jest pierwszorzędną agentką, twardą, zdolną i doświadczoną. Nic podobnego. Była po prostu miłą dziewczyną o pięknej twarzy i zgrabnej figurze, a także o dużych zdolnościach aktorskich, dzięki czemu idealnie nadawała się do przekazywania i odbierania informacji w sposób nie budzący

podejrzeń. Ale to wszystko. Nie była ani szczególnie inteligentna, ani pomysłowa, a już na pewno nie była bezwzględna i twarda w stopniu niezbędnym w naszym zawodzie.

Wysłałeś więc nas oboje do Europy, żebyśmy dowiedzieli się czegoś na temat tego przecieku. Byłeś przekonany, że jeżeli istnieje na świecie taka para, która nigdy niczego nie wykryje, to właśnie Marie Hopeman i ja.

Ale popełniłeś jeden jedyny błąd, pułkowniku. Sprawdziłeś moją inteligencję i pomysłowość, i uznałeś, że od tej strony nie masz się czego obawiać. Zapomniałeś jednak sprawdzić inne rzeczy. Wytrzymałość i bezwzględność. Jestem twardy i potrafię być absolutnie bezlitosny. Przekonasz się o tym, kiedy nacisnę spust. Nic nie jest w stanie mnie powstrzymać przed dokończeniem tego, co raz zacząłem. Kiedy wykryłem zbyt wiele, wystraszyłeś się i odwołałeś nas z powrotem do Londynu.

Pułkownik Raine zupełnie nie reagował na moje słowa. Ani na chwilę nie spuszczał zielonych oczu z mojej twarzy. Czekał, wypatrywał swojej szansy. Wiedział, że jestem chory i skonany. Jeden fałszywy ruch, jedna zwolniona reakcja z mojej strony, a dopadłby mnie jak ekspres. Tej nocy zaś czułem się tak, że nie pokonałbym pluszowego misia.

- Z powodu mojej działalności - ciągnąłem – przeciek informacji na temat paliw praktycznie ustał. Twoi mocodawcy zaczęli się niepokoić. Ale ty miałeś jeszcze jednego asa w rękawie, prawda, pułkowniku Raine? Kilka miesięcy wcześniej rząd założył na Vardu poligon do prac nad Mrocznym Krzyżowcem. Naturalnie, trzeba było podjąć odpowiednie środki ostrożności, których organizację powierzono, rzecz jasna, tobie. Przy pomocy profesora Witherspoona znalazłeś więc znakomity, nie budzący najmniejszych podejrzeń powód, by odciąć wyspę od świata i ludzi. Wymyśliłeś, jak przerzucić naukowców i ich żony do Australii. Wydałeś czyste świadectwo kapitanowi Fleckowi - bo któż inny przepuściłby takiego łobuza? - po czym zawiadomiłeś swoich przyjaciół ze wschodu, z LeClerkiem na czele, że mają wkroczyć na wyspę, a Witherspoona zlikwidować i zastąpić kim innym. No i wreszcie zorganizowałeś transport żon naukowców na Vardu, prawdopodobnie obiecując im, że wkrótce połączą się ze swymi mężami, i podkreślając konieczność zachowania ścisłej tajemnicy. Tyle tylko, że trafiły na niewłaściwą stronę wyspy.

Teraz więc miałeś już dwa atuty. Gdyby nie udało ci się przekazać wszystkich szczegółów dotyczących nowego paliwa, to mógłbyś im dostarczyć samo paliwo. Był tylko jeden sęk. Doktor Fairfield dał się zabić i musiałeś zastąpić go kimś, kto potrafiłby uzbroić raketę.

Przyznaję, że to było genialne posunięcie. Pozwalało ci to upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Ja i tak już za dużo wykryłem w Europie, a nareszcie wiedziałeś, że należę do tych, którzy nie zawracają w pół drogi. Powiedzieliś Marie Hopeman, że jestem jedynym człowiekiem, którego mógłbyś się bać, i może po raz pierwszy w życiu udało ci się nie skłamać. Za dużo wiedziałem i należało mnie zlikwidować. Marie Hopeman również. Mnie jednak czekało najpierw zadanie. Zanim zostanę zlikwidowany, który to obowiązek nałożyłeś na LeClerca, miałem uzbroić Krzyżowca.

Mogłeś mnie wprawdzie wysłać na poligon całkiem oficjalnie, gdy jeszcze przebywała tam marynarka. Wiedziałeś jednak, że stałbym się cholernie podejrzliwy, gdybyś odwołał mnie nagle z misji wywiadowczej i przeniósł do pracy cywilnej. Tym bardziej że mamy wielu lepszych fachowców w tej dziedzinie. No i w takim wypadku nie miałbyś żadnego pretekstu, żeby wysłać ze mną Marie Hopeman. A przecież ją też chciałeś zgładzić. Dlatego zamieściłeś ostatnie, fałszywe ogłoszenie w „Telegraph”, nafaszerowałeś mnie kłamstwami i wysłałeś nas oboje na Pacyfik.

Istniało tylko jedno zagrożenie, kluczowa sprawa, od której wszystko zależało, a którą rozegrałeś po mistrzowsku. Problem ten - na który musiałeś znaleźć jakąś metodę, bo inaczej wszystko by wzięło w łeb - sprowadzał się do tego, w jaki sposób zmusić mnie do uzbrojenia rakiety. Owieczka, którą sobie upatrzyłeś, zmieniła się tymczasem w tygrysa. Wiedziałeś już, jak uparty i bezlitosny potrafię być w razie potrzeby. Domyśliłeś się, że ani groźba tortur, ani

same tortury nic by tu nie dały. Wiedziałaś, że gdybym to uznał za konieczne, potrafiłbym spokojnie przyglądać się męczarniom innych. Ale wiedziałaś też, że zakochany mężczyzna zrobi wszystko dla tej, którą kocha. Więc postarałeś się, żebym się zakochał w Marie Hopeman. Całkiem słusznie uznałeś, że nie sposób się w niej nie zakochać po dwóch dniach spędzonych wspólnie w samolocie, nocy w tym samym pokoju, dniu i nocy w ładowni statku, nocy na rafie koralowej i jeszcze dwóch dni pod jednym dachem. Mój Boże, kazałeś nawet fałszywemu Witherspoonowi wzbudzać we mnie zazdrość. Niech diabli porwą ciebie i twoje kamienne serce, Raine, stworzyłeś nam wszelkie warunki do tego, żebyśmy się zakochali. I tak się stało. A oni wzięli ją na tortury. Pokazali mi ją potem i zagrozili, że zrobią to jeszcze raz. Wtedy, niech mi to Bóg wybaczy, uzbroiłem Mrocznego Krzyżowca. Ty też proś Boga o wybaczenie, Raine, bo z powodu Marie za chwilę umrzesz. Nie za innych, którzy zginęli przez ciebie, nie za ludzkie cierpienia, tragedie i nieszczęścia, które spowodowałeś. Umrzesz za Marie.

Wstałem z wysiłkiem i pokuśtykałem wokół biurka. Zatrzymałem się trzy stopy od Raine'a.

- Nic z tego nie udowodnisz - powiedział ochryple.

- Dlatego muszę cię zabić - odparłem obojętnie. – Żaden sąd w tym kraju nie wydałby na ciebie wyroku. Brak dowodów. Ale wiele poszlak świadczy o twojej winie, poszlak, których w porę nie zauważyłem. Skąd Fleck wiedział, że Marie nosi broń w podwójnym dniu torebki? Żony naukowców zwykle się bez tego obywają. Dlaczego LeClerc - którego znałem wtedy jako Witherspooona - twierdził, że jesteśmy młodym małżeństwem, choć wcale się tak nie zachowywaliśmy? Więcej, dlaczego się nie zdziwił, kiedy mu powiedziałem, że ona nie jest moją żoną? Mówił, że mam fotograficzną pamięć... skąd mógł to wiedzieć, u licha, jeśli nie od ciebie. Dlaczego razem z Hewellem próbował mnie okulać przy pomocy sejfu? Oni wiedzieli, że jestem agentem kontrwywiadu, wiedzieli to od ciebie i nie chcieli, żebym tam węszył. Kto wydał Fleckowi opinię? Skąd mogli wiedzieć, kiedy ma nastąpić próba odpalania Krzyżowca, jeżeli nie z Londynu? Dlaczego nikt się nie zainteresował moim telegramem, który wysłałem do Londynu, dlaczego nikt nam nie przyszedł z pomocą? LeClerc próbował mi wmówić, że wysłał drugą depeszę, anulującą poprzednią, ale sam wiesz najlepiej, że wszystkie depesze trafiające na to biurko, obojętnie, czy szyfrowane, czy nie muszą zawierać w tekście słowo „Bilex”, mój znak rozpoznawczy. Dlaczego po naszym zniknięciu z hotelu „Grand Pacific” nikt się tym nie zainteresował? Wracając do Anglii sprawdziłem, że nikt się nie zwracał do władz ani do policji z prośbą o wyjaśnienie tej sprawy. Opiekun, który miał nam towarzyszyć w drodze do Australii nigdy nie doniósł o naszym zniknięciu... ponieważ w ogóle nie istniał. Chyba się nie mylę, pułkowniku Raine? Ale to tylko poszlaki, same poszlaki. Masz rację, nic z tego nie mógłbym udowodnić.

Raine uśmiechnął się. Ten człowiek miał nerwy jak postronki.

- Do diabła, człowieku, ja mam dowód! - krzyknął. - Mam go tu, w portfelu...

Lewą ręką odchylił klapę marynarki, prawą sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął mały czarny pistolet. Zdążył jeszcze położyć palec na spuście, zanim przystawiłem mu lugera do głowy i wypaliłem. Pistolet wypadł mu z ręki, głowa opadła na oparcie fotela, po czym pochylił się do przodu i runął na zakurzone biurko.

Wyciągnąłem chusteczkę z kieszeni. Wraz z nią wypadła kartka papieru i sfrunęła na podłogę. Zostawiłem ją tam. Podniosłem czarny pistolet przez chusteczkę, wsunąłem Raine'owi do wewnętrznej kieszeni i dokładnie wytarłem lugera. Wcisnąłem go pułkownikowi w dłoń, zaciskając mu palce na kolbie i spuście, po czym puściłem jego rękę, która opadła na blat biurka. Następnie wytarłem klamki poręczki krzesła, wszystko, czego tam dotykałem, i podniosłem z podłogi kartkę.

Był to liścik od Marie. Rozłożyłem go, ująłem za róg i trzymając go nad popielniczką Raine'a, zapaliłem zapalną. Patrzyłem, jak pali się powoli, jak nikły płomień nieubłaganie

pełnie w górę kartki, aż wkrótce zostały już tylko słowa *Ty i ja, i światła Londynu*. Ale i one spaliły się doszczętnie, zniknęły. Rozkruszyłem popiół w popielniczkę i wyszedłem.

Gdy cicho zamykałem za sobą drzwi, pułkownik Raine leżał bezwładnie na biurku - mały zakurzony człowieczek w małym zakurzonym pokoju.

KONIEC